

**NADZY
LUDZIE**



KIR BUŁYCZOW



SOKARIS

Kir Bułyczow

Nadzy ludzie

Gołyje ludzi

Tłumaczyła Agnieszka Chodkowska–Gyurics

Od autora

Przypadł mi w udziale zaszczyt opisanie pewnych niewiarygodnych zdarzeń, które miały miejsce w Ligonie, gdzie pracowałem przez kilka lat, zajmując się umacnianiem kulturalnych i przyjacielskich związków między narodami ligońskim i rosyjskim. Oprócz publikacji popularnonaukowych i dokumentalnych, spod mojego pióra wyszła także powieść dokumentalna „Trzęsienie ziemi”, wydana pod pseudonimem Kir Bułyczow, która jednak nie została dostrzeżona poza wąskim kręgiem specjalistów sejsmologów, wyrażających się o niej nader pochlebnie.

Wydarzenia opisane w mojej książce „Trzęsienie ziemi” miały miejsce w Ligonie w roku 1974, w czasie przewrotu wojskowego. Na jego czele stanął generał brygady Szoswe, który głosił populistyczne hasła i wprowadził wojskowe rządy twardej ręki. Szoswe, nadawszy sobie tytuł feldmarszałka, stanął na czele Komitetu Rewolucyjnego, który nie wypełnił obietnic poprawienia warunków życia narodu, walki z korupcją i przeprowadzenia wolnych wyborów. Nic więc dziwnego, że jesienią 1975 roku ten antyludowy reżim padł po masowych wystąpieniach studentów i młodzieży. Władzę przejął koalicyjny rząd tymczasowy Jah Wosenwoka.

Wbrew swej woli zostałem wciągnięty w dramatyczne wydarzenia związane z odnalezieniem dzikiego plemienia. W imię prawdy jestem zmuszony znowu chwycić za pióro. Ale tylko jako redaktor niniejszego zbioru. Aczkolwiek, zdaniem wielu obiektywnych świadków, moja rola wykracza daleko poza funkcję historiografa.

Oczekiwałem, że ktoś zwróci się do mnie z prośbą, bym podzielił się wspomnieniami o dramatycznych wydarzeniach, znanych obecnie całemu światu, dlatego — do czasu powrotu do ojczyzny — zdecydowanie odmawiałem udzielania wywiadów przedstawicielom prasy. Obecnie opublikowano już artykuły, prace naukowe i książki prawie wszystkich moich towarzyszy, w tym także opasły tom, który wyszedł spod niezwykle barwnego pióra dyrektora Matura. O ile w pracach Anity Kraszewskiej, Petera Nicholsona i profesora Seri Manguczoka występują co najwyżej drobne nieścisłości, wynikające z nieznamomości pewnych wydarzeń, o tyle praca szanownego Matura pozostawia wiele do życzenia.

Zarówno podczas pobytu w dolinie Prui, jak i potem, po powrocie do Ligonu, wielokrotnie rozmawiałem ze wszystkimi uczestnikami wydarzeń, a także poprosiłem ich o przedstawienie swych wspomnień w formie pisemnej lub nagranie ich na taśmę magnetofonową. Pewne skromne osiągnięcia lingwistyczne umożliwiły mi zdobycie informacji niedostępnych innym osobom. Dzięki temu, gdy otrzymałem dodatkowy urlop i wróciłem do Moskwy, musiałem tylko uporządkować notatki i taśmy, uzupełnić je komentarzami i kilkoma łączącymi rozdziałami (moimi osobistymi wrażeniami), by przygotować do druku niniejszy manuskrypt, który choć nie odznacza się wielką wartością literacką, za to jest cenny jako autentyczny dokument. W takiej właśnie postaci, nie zmieniając stylów poszczególnych rozdziałów, oddaję go pod osąd czytelników.

J.S. Wspólny

Ligon, Moskwa, Pieriediełkino

Etnografowie obradują

LigTa — APN. 20.4.1976. Dzisiaj, w stolicy Ligonu rozpoczęła się konferencja, na którą przybyli etnografowie i antropolodzy, zajmujący się badaniem azjatyckich plemion znajdujących się we wczesnym etapie rozwoju. W konferencji bierze udziału wielu specjalistów o światowej sławie.

„Uczeni sprawdzają”

Ligon, 22 (TASS). W oddalonym regionie tego niewielkiego, położonego w południowo-wschodniej Azji, kraju żyją ludzie z epoki kamienia — tak utrzymują ligońscy żołnierze, stacjonujący w dolinie rzeki Prui. Jak informuje agencja LigTa, opowiadają oni, że w pobliżu doliny Githan, odnaleziono jaskinię. Żyją w niej ludzie nieznający odzieży i niepotrafiący posługiwać się ogniem. W najbliższym czasie do doliny Githan uda się wyprawa naukowa, mająca za zadanie zweryfikowanie tych informacji.

Jurij Sidorowicz Wspolny

Dwudziestego pierwszego nie czytałem gazet, bo odbywało się posiedzenie plenarne, a ponadto atmosfera konferencji międzynarodowej wciągnęła mnie do tego stopnia, że przytłumiła moją zwykłą ciekawość, która w połączeniu z dyscypliną wewnętrzną zmusza mnie do czytania lokalnej prasy przed rozpoczęciem dnia pracy.

Dwudziestego drugiego podszedł do mnie Gienadij Frolikow, korespondent TASS w Ligonie i powiedział:

— Jura, wysłałem informacje do Moskwy. A co u was słyhać?

Pomyślałem, że chodzi mu o naszą konferencję, więc odpowiedziałem:

— Dzisiaj będzie wykład profesora Manguczoka o duńczykach w Ligonie i na Malajach, potem wystąpi doktor Koganowski z Paryża. Dopiero co wrócił z Mindanao.

Gienadij, z charakterystyczną dla przedstawicieli prasy pewnością siebie:

— To Duńczycy mieszkali tutaj?

— Duńczyk, czyli topór duński — odparłem — to rodzaj broni. I w ogóle nie rozumiem, dlaczego sam nie możesz wziąć programu na dziś i sam sobie przeczytać. Tam jest wszystko.

Nie należy wysnuwać wniosku, że zawsze jestem tak niekomunikatywny. Jednak moja sytuacja podczas konferencji była nieco nietypowa, co umożliwiała sceptykom, takim jak Gienadij Frolikow, podawać w wątpliwość moje kompetencje jako specjalisty w sprawach społeczności pierwotnych.

Chodzi o to, że do Ligonu nie przyjechała delegacja rosyjska, gdyż komitet organizacyjny zbyt późno wysłał zaproszenia. Gdy dowiedziałem się, że nie będziemy reprezentowani podczas tak ważnego wydarzenia*, zwróciłem się do naszej ambasady z prośbą o wyrażenie zgody na moje uczestnictwo w konferencji. Otrzymałszy zgodę bezpośrednio od samego towarzysza Sołomina, pojechałem na uniwersytet w Ligonie, do przedstawiciela komitetu organizacyjnego, profesora Manguczoka, z którym łączy mnie pełna wzajemnego szacunku znajomość. To właśnie on swego czasu rekomendował mnie na stanowisko członka-korespondenta Ligońskiego Towarzystwa Naukowego i to dzięki jego wstawiennictwu moje dwa artykuły, poświęcone zagadnieniom lingwistycznym, zostały opublikowane w gazecie wydawanej przez towarzystwo.

Profesor Manguczok wyraził szczery żal, że z winy komitetu organizacyjnego delegacja rosyjska nie będzie mogła uczestniczyć w pierwszej w historii Ligonu międzynarodowej konferencji tego typu i natychmiast, bez żadnych próśb z mojej strony zaproponował, bym uczestniczył w konferencji jako jego gość. Dlatego żart Aleksandra Gromowa, drugiego sekretarza naszej ambasady o tym, że „nasz Pickwick sam się zaprosił na konferencję”, nie ma żadnych podstaw.

— Wybacz, Juro — powiedział Frolikow — nie mówię o duńczykach. Chodzi mi o gołych ludzi.

— Jakich znowu gołych ludzi?

— Przecież mówię, posłałem rano informacje do Moskwy. A potem pomyślałem: pewnie jest to

tutaj ogromną sensacją.

— Pracujemy — odpowiedziałem. — Codzienna, wytrwała praca naukowców nie pozostawia czasu na tanie sensacje.

Gienadij był tak zbity z tropu, że aż zrobiło mi się go żal.

— Pokaż — powiedziałem — tę swoją informację.

Gienadij wyciągnął z teczki kopię teleksu, zacytowanego przeze mnie powyżej. Była do niej dołączona notatka na ten sam temat z wczorajszego „Ligon Times”.

— Niestety — powiedziałem — bardzo to przypomina kaczkę dziennikarską. Inaczej zwrócilibyśmy uwagę na ten fakt.

— To niemożliwe! — Gienadij przestraszył się. Nie po-głaszcza go po głowie za wysyłanie do Moskwy kaczek dziennikarskich. Widząc jego smutną twarz, obiecałem wykorzystać swoje znajomości, aby dowiedzieć się, skąd pochodzi wiadomość.

— Niestety — kontynuowałem — nie znasz historii ani geografii Ligonu. I nie rozumiesz, co to jest dolina Prui i dolina Githan. Właśnie przez tę dolinę przebiegał kiedyś szlak karawan, łączący południowochińskie państwa z Indiami, a dolina Githan jest wymieniana w wielu kronikach. To właśnie tamtędy, u schyłku drugiego wieku, przedostał się na terytorium Ligonu znany krzewiciel buddyzmu Fu Tzu.

— Czy to znaczy, że przebiega tamtędy starożytna droga? — zapytał Gienadij. Widziałem, że w duchu przeklina chwilę, gdy uwierzył w opublikowaną przez „Ligon Times” notatkę.

— Drogi przestano używać na początku dziewiętnastego wieku — poprawiłem go — w wyniku nasilenia się migracji plemion tybetańskich i umocnienia państwa Han Zhao. Piszą o tym we wszystkich podręcznikach historii. Wystarczy poszukać.

Mówiąc to wiedziałem, że tak dogłębne zainteresowanie tematem nie przekracza możliwości tego dziennikarza.

— A niech to diabli, ale wlażłem na minę! — powiedział korespondent. — Dziękuję, Pickwicku.

Jego wdzięczność była wymuszona. Rozumiałem to, nie na darmo w przeszłości zabijano gońców przynoszących złe wieści.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek oznajmiający rozpoczęcie porannego posiedzenia i delegaci, którzy podobnie jak ja i Gienadij spacerowali po chłodnym, hałaśliwym korytarzu uniwersytetu wybudowanego jeszcze za czasów kolonialnych, ruszyli w stronę głównej sali. Straciłem Gienadija z oczu, gdyż zawołała mnie urocza Anita Kraszewska, naukowiec z Polski, która, mimo młodości i urody, jest już autorką dwóch monografii poświęconych rdzennym mieszkańcom Borneo. Aby zebrać materiały musiała wziąć udział w trudnych i wyczerpujących ekspedycjach. Sądzę, że obdarzyła mnie sympatią głównie dlatego, że znałem podstawy polskiego. Zapytałem Anitę jak podobał się jej zespół świątyń Tangueh, który wczoraj zwiedzali delegaci.

— Zachwycający! — odpowiedziała Anita, poprawiając swe puszyste, kasztanowe włosy. — Czy słyszał pan o tym, że żołnierze znaleźli pierwotne plemię u źródeł rzeki...

— Prui? Myślę, że to zwykła kaczka dziennikarska — odpowiedziałem. — Przecież przez dolinę Prui przebiegał na początku naszej ery szlak karawan wiodący do Chin. To zamieszkana, dobrze znana okolica, znana już w starożytności. Właśnie tamtędy przybył do Ligonu pielgrzym Fu Tzu.

— A teraz? — zapytała Anita.

Siedliśmy obok siebie. Poprawiłem przypięty na piersiach zielony prostokąt — znak gościa konferencji. Anita miała błękitny znaczek delegata. Ale to nie miało znaczenia. Miałem takie same

prawa jak delegaci. Na przykład, moja nieobecność podczas wczorajszej wycieczki do kompleksu świątyni wynikała tylko z tego, że byłem tam już trzy razy, a wczoraj musiałem przeprowadzić pogadankę i pokaz filmów dla dzieci w Domu Przyjaźni.

— Teraz — powiedziałem — informacje o tym obszarze są dość skąpe. Ale nie można powiedzieć, że jest niezamieszkały.

— Szkoda, jeśli okaże się to nieprawdą — powiedziała Anita po polsku. — Takie odkrycie byłoby wspaniałym ukoronowaniem naszej konferencji.

Wzruszyłem ramionami. Gdyby to zależało ode mnie, odszukałbym dla pięknej Polki dziesięć pierwotnych plemion — przy takiej kobiecie chce się być dżentelmenem.

— Tak mało zostało na świecie zagadek, tak trudno dokonać jakiegoś odkrycia! — powiedziała Anita. — To mogłoby być ostatnie, nieznanie nauce plemię. Żywe laboratorium dla antropologów i etnografów. Juriju, czy byłby pan tak miły i poprosił tego młodego pana, by podał mi szklankę oranżady?

Zawołałem młodzieńca w malinowej marynarce, jednego z tych, którzy roznosili napoje chłodzące i nagle poczułem na sobie czyjś wzrok. Odwróciłem się. W oddalonym końcu korytarza stał, znany mi z poprzednich przygód w tym kraju, dyrektor Matur. Na mój widok zrobił zachwyconą minę. Jego czerwone od betelu wargi wygięły się przyjmując kształt cienkiego, przewróconego półksiężyca, czarne oczka zmrużyły się, ręce oderwały się od grubego brzucha i podniosły ku piersi. Cały dyrektor Matur — służalczy, zakłamaný i tchórzliwy. Kto go tutaj wpuścił? Ale natychmiast zauważyłem, że podbiegają do niego roznosiciele napojów i zrozumiałem, że pełni tu jakąś funkcję pomocniczą. Odkłoniłem się zdawkowo.

Z oszronioną szklanką w ręce wróciłem na swoje miejsce, przekazałem ją Anicie, która nagrodziła mnie za to olśniewającym uśmiechem.

Obradom przewodniczył Peter Nicholson, chudy, żyłasty, popędliwy, przygarbiony Anglik, urodzony jeszcze w kolonialnych Indiach i nie ukrywający konserwatywnych poglądów. Uderzył młotkiem w gong umieszczony przed nim na prezydialnym stole. Gong podtrzymywały dwa słoniki z czarnego drewna. Na mównicę wszedł profesor Seri Manguczok, zadbany, pulchny, dobroduszny, przypominający Buddę w chwili osiągnięcia nirwany. Otwarłem notatnik, żeby zrobić notatki z wystąpienia, ale, ku memu zdumieniu, profesor zaczął mówić na zupełnie inny temat.

— Szanowni koledzy — powiedział po angielsku. Mógłby mówić i po ligońsku — w języku, który opanowałem już do perfekcji — ale nie wszyscy delegaci byli w równie komfortowej sytuacji. — Muszę naruszyć porządek obrad, gdyż wydarzyło się coś zadziwiającego. W górnym biegu rzeki Prui odkryto pierwotne plemię, nie znające ani ognia, ani odzieży. Nawet gdyby los specjalnie chciał zgotować podarunek pierwszej międzynarodowej konferencji etnograficznej w naszym kraju, nie mógłby wymyślić nic lepszego.

Słuchałem słów profesora z pewną nieśmiałością. W sali mało kto wiedział, że już u zarania naszej ery doliną Prui przedostał się do Ligonu mnich Fu Tzu.

Profesor najpierw przeczytał komunikat z „Ligon Times”, a potem, przeczekawszy falę poruszenia, która przetoczyła się przez salę, zaproponował:

— Jako uczeni powinniśmy sceptycznie odnieść się do tego typu informacji, ale na szczęście znajduje się wśród nas człowiek, który na własne oczy widział pierwotnych ludzi. Pozwólcie, że przekażę głos majorowi Tilwi Kumtatonowi, komendantowi batalionu przeprowadzającego zwiad w dolinie Prui.

Mój Boże, pomyślałem, staruszek Tilwi! Mój stary znajomy, wspaniały człowiek! Jego świadectwo rzuciło zupełnie nowe światło na te wydarzenia.

Po ustąpieniu Komitetu Rewolucyjnego, który wyznaczył go na gubernatora okręgu Tangi, utracił oczywiście stanowisko i powierzono mu dowództwo batalionu na północnej granicy, co bez wątpienia było formą zesłania. Bez względu na to, jak oceniam rządy wojskowych, zachowałem wiele sympatii dla majora.

— Znam go — poinformowałem Anitę. W tej samej chwili poczułem wyrzuty sumienia — niesłusznie tak surowo potraktowałem Gienadija Frolikowa.

Tilwi Kumtaton, wychudzony, całkiem jeszcze niestary człowiek, o ciemnej ogorzalej twarzy i dużych, zmęczonych oczach, wszedł na mównicę. Wyraźnie czuł się nie w sosie, w wyszukanym, międzynarodowym towarzystwie, że aż chciałem krzyknąć do niego „Trzymaj się, Tilwi, są tu twoi przyjaciele!”

Ale Tilwi nie dostrzegł mnie na sali, w której zgromadziły się setki uczestników i gości konferencji. Odkaslnął, wypił szklankę wody podaną mu przez profesora i powiedział, jakby wygłaszał z pamięci dobrze wyuczoną lekcję:

— Na rozkaz dowództwa okręgu północnego mój oddział, wspierany przez dwa helikoptery, przeprowadzał rekonesans w dolinie rzeki Prui, w rejonie między wsią Bawon a doliną Githan. Ekspedycja została wysłana ze względu na konieczność sprawdzenia tych zamieszkałych rejonów, gdyż otrzymaliśmy informacje, że właśnie tamtędy przebiega szlak wykorzystywany przez przemytników opium.

Tilwi Kumtaton popatrzył na ministra oświaty — honorowego przewodniczącego konferencji — jakby w obawie, czy nie powiedział za dużo. Minister potakująco pokiwał głową, po czym Tilwi podjął przerwana opowieść:

— Zbocza wąwozu, którym płynie rzeka, są porośnięte lasem, dlatego obserwacja doliny jest utrudniona. Trudno jest znaleźć miejsce, gdzie mógłby wylądować helikopter. Rozdzieliliśmy się na dwie grupy. Pierwsza grupa załadowała żywność na muły i poruszała się pieszo, a druga grupa ubezpieczała ich z helikoptera i odpowiadała za obserwację trudno dostępnych miejsc. Ósmego dnia, w okolicy pagody Trzech Dusz, zauważyliśmy niewielką terasę.

Wszyscy słuchali z zapartym tchem. Miałem ochotę zapytać majora, czy nie natknęto się w dolinie na ślady pobytu Fu Tzu, ale wiedziałem, że w zaistniałej sytuacji takie pytanie byłoby nie na miejscu.

— Grupa piesza dotarła do terasy mniej więcej o dziesiątej trzydzieści i zatrzymała się na odpoczynek, informując nas przez radio o miejscu pobytu. W chwilę potem jeden z żołnierzy odszedł na stronę i poczuł, że nie jest sam w krzakach. Ostrożnie rozsunał gałęzie i zobaczył całkowicie nagiego dzikusa. Ten nie zauważył go, a żołnierz niczym nie zdradził swej obecności. Gdy dzikus oddalił się, żołnierz ruszył za nim. Po kilku metrach natknął się na polankę, znajdującą się między zaroślami bambusa a zboczem. Na zboczu żołnierz zauważył wejście do jaskini — tam właśnie skierował się dzikus. Żołnierz zaczął się w krzakach i zobaczył, że po jakimś czasie z jaskini wyszło dwóch dzikusów z bambusowymi dzidami, którzy wyruszyli na polowanie. Żołnierz wrócił do grupy i zameldował o wszystkim, co zobaczył dowódcy, który natychmiast skontaktował się ze mną przez radio...

Dyrektor Matur

W kwietniu, przed nastaniem pory deszczowej, w Ligonie powstała bardzo trudna sytuacja. Zaczął się ogromny, międzynarodowy kongres, na który przyjechało kilka tysięcy naukowców z całego świata. Rząd był w rozterce. Ktoś musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za światowe sławy. Jeden nie je wieprzowiny, drugi ma wrzody, piąty kłopoty z woreczkiem żółciowym, osiemnasty pije tylko mleko. Nie znalazł się w Ligonie ani jeden człowiek, który wziąłby na siebie to brzemień. Oprócz mnie.

Przyjechał do mnie sam Kumran Szalejezwami, właściciel fabryki napojów chłodzących, posiadający liczne znajomości w wyższych sferach i w imieniu narodu poprosił mnie, bym zgodził się ponieść tę ofiarę.

Tu muszę zrobić dygresję. Niektórzy nieprzychylnie nastawieni do mnie ludzie twierdzą, że nie mam obywatelstwa ligońskiego. Możecie plunąć w twarz tym oszczercom. Już mój ojciec był naturalizowanym obywatelem Ligonu, a mój cioteczny wujek Soni, ten sam, który swego czasu przyprowadził tu naszą rodzinę z Cöttogramu, poważnie ucierpiał gdy brał aktywny udział w ruchu narodowowyzwoleńczym — został uderzony w głowę pałką sługi brytyjskiego imperializmu — policjanta Pendzabczyka.

Tak więc, w trakcie rozmowy, szanowny Szalejezwami odwołał się do mojego bezinteresownego patriotyzmu i zaproponował, abym zajął się obsługą kongresu i spełnieniem wymagań zagranicznych profesorów. Wahałem się przez chwilę, gdyż jestem nadzwyczaj zajęty, ale w końcu zgodziłem się spełnić prośbę wysoko postawionych osób. I tak oto zrobiłem kolejny krok na drodze tworzenia pozytywnej karmy i działania dla dobra ludzkości.

Moje obowiązki podczas kongresu były liczne i różnorodne. Przed wszystkim musiałem obserwować kelnerów–krętaczy, uważać na machinacje dostawców, utrzymywać łączność z rządem i służbami medycznymi — jednym słowem robić wszystko, bez względu na wszelkie trudności, by honor naszego kraju pozostał nieskalany*.

Mimo natłoku obowiązków starałem się zaspokoić swą ciekawość. Muszę przyznać, że niektórzy profesorowie nie wywarli na mnie odpowiedniego wrażenia. Zdarzało mi się słyszeć poważne wywody jakiegoś Niemca na temat obyczajów malajskich dzikusów i myślałem: przydałoby się panu, profesorze, moje życiowe doświadczenie! Gdyby tak życie zmusiło pana do przebywania w takim plemienu! Zaraz zapomnieliby pan o haftach i matach, bo ci dzikusy są znacznie sprytniejsi od nas. Nie zapłacisz im — zamęczą cię na śmierć. Zapłacisz — ograbią. Odpowiada im chodzić nago, odpowiada im, gdy szaleni starcy piszą o nich artykuły, a rząd traci pieniądze na ich odzież i edukację. W rzeczywistości wszyscy oni handlują opium, zajmują się rozbojem w dolinach i bezwstydnie kłamią.

Tak więc, gdy profesor Manguczok zaczął głosić z mównicy jakoby w pobliżu doliny Githan

odnaleziono plemię nagich ludzi, splunąłem z odrazą. Muszę przy tym zauważyć, że nie byłem w tym osamotniony.

Jeszcze wczoraj zauważyłem na sali pana Jurija. Jest on ważnym pracownikiem ambasady rosyjskiej. Miałem okazję zetknąć się z nim i, mimo pewnej różnicy zdań, zostaliśmy, jak sądzę, szanującymi się nawzajem przyjaciółmi. Warto wspomnieć w tym miejscu, że Jurij przyzwocie włada ligońskim i, gdyby nie nadwaga, z powodu której kiepsko znosi tropikalny klimat, nazwałbym go prawdziwym dżentelmenem, o ile takie określenie pasuje do człowieka, któremu nie dane było urodzić się jako poddanemu korony brytyjskiej.

Nie umknęło mojej uwadze, że Jurij nie mógł ukryć sceptycznego stosunku do informacji o dzikusach, a nawet rozglądał się w poszukiwaniu moralnego wsparcia. Niestety, nie zauważył mego wyrazistego spojrzenia, inaczej widziałby, że znalazł we mnie sprzymierzeńca.

Jednakże już w następnej chwili czekało mnie ogromne zaskoczenie. Profesor przedstawił majora Tilwi Kumtatona, bardzo przyzwoitego, młodego człowieka, z którym zetknąłem się już wcześniej, i z którym osiągnęliśmy pełne zrozumienie.*

Z krótkiego i niezbyt eleganckiego wystąpienia majora zrozumiałem, że w dolinie Prui rzeczywiście ukrywają się goli tubylcy. Ukrywają się, czy nie ukrywają, wszystko jedno — to krętacze. Można z nimi zrobić tylko jedno — jak najszybciej zapomnieć.

Niestety, nic takiego się nie wydarzyło. Profesorowie podnieśli hałas, jakby dowiedzieli się, gdzie ukryto skarb wart milion funtów szterlingów. A pewien brytyjski dżentelmen, nazwiskiem Nicholson, zażądał natychmiast, aby wszyscy uczestnicy konferencji wybrali się bezzwłocznie w góry na poszukiwania parszywych dzikusów. I ani jeden rozsądny człowiek nie przeciwstawił mu się. Miałem nadzieję, że na tym skończy się ta cała historia, ale zdarzyło się coś nieoczekiwanego: profesor Manguczok zwrócił się do siedzącego na sali patrona kongresu, pana ministra oświaty, a ten niespodziewanie zgodził się, aby nie wszyscy, ale trzech lub czterech profesorów poleciało w tamte okolice. Miałem ochotę krzyknąć: co wy robicie?! Te miejsca aż kipią od wywołujących dyzenterię ameb, moskitów, węży i bandytów! Ale milczałem i moja skromność stała się kolejnym kamyczkiem w wielkiej górze ludzkich błędów, prowadzących do tragedii.

Ale czy ja, skromny wróg przemocy, mogę zabierać głos przeciw decyzjom naszego rządu?

Jurij Sidorowicz Wspolny

Gdy korespondent TASS, Gienadi) Frolikow, dowiedział się, że razem z profesorami Nicholsonem i Manguczokiem oraz Anitą Kraszewską, zostałem włączony w skład grupy, która wybiera się do doliny Githan, aż pozieleniał z zazdrości. Pocieszyłem go, mówiąc:

— Przynajmniej jesteś teraz spokojny, że informacja, którą wysłałeś, była prawdziwa.

— A co z chińskim pielgrzymem? — zapytał złośliwie.

— Chiński pielgrzym przebył tę drogę bardzo dawno temu — odpowiedziałem. — Obiecuję, że jako pierwszy otrzymasz informacje o naszej ekspedycji.

— Dobre i to. — Potem zapytał: — A może będzie ci trudno z taką nadwagą? Mogę cię zastąpić.

— Niestety — odpowiedziałem — w skład naszej grupy wchodzi tylko uczeni. Bez względu na stopień naukowy. Nie będzie z nami ani jednego dziennikarza. Jest to postanowienie rządu ligońskiego, więc nie nam z tym dyskutować.

Sądzę, że dobrze pokazałem Gienadijowi, gdzie jest jego miejsce. Nie wiadomo dlaczego dziennikarze uważają, że zawsze muszą mieć pierwszeństwo. Nie, nie zawsze!

Na konferencji zegnano nas, jakbyśmy wybierali się na Biegun Północny. Wiele osób zazdrościło nam. Rozumiem ich. Rzeczywiście, całkiem możliwe, że niedługo zobaczymy na własne oczy ostatnie w historii ludzkości, zapomniane, barbarzyńskie plemię. Kierownictwo konferencji, a także sam minister oświaty osobiście, zrobili wszystko co możliwe, by zapewnić komfort uczestnikom wyprawy. Do samolotu transportowego, który miał dostarczyć nas na miejsce, załadowano wszystko co niezbędne. Wojsko udostępniło nam namioty, żywność, towarzyszył nam wojskowy felczer, młody człowiek o szerokiej twarzy — Fan Kukan i, co mnie bardzo zdziwiło, marudny dyrektor Matur. Na lotnisku, gdy czekaliśmy na samolot, podszedł do mnie jak do starego znajomego i zaczął narzekać na los, który rzucił go w dzikie góry, a nawet robił aluzje, że dzikusy nie są żadnymi dzikusami, ale amerykańskimi hipisami albo sprzedawcami opium. Jestem przekonany, że major Kumtaton nigdy nie pomyliłby amerykańskich hipisów z prawdziwymi dzikusami. Dyrektor Matur oznajmił mi, że kieruje grupą administracyjną, która składała się z niego, chińskiego kucharza, którego imienia nie zapamiętałem i kilku skrzynek z żywnością i napojami chłodzącymi. Sądzę, że dyrektor Matur dołączył do nas, gdyż miał nadzieję zarobić na tej ekspedycji. Inaczej nawet kijem nikt by go nie zagnał w te dzikie miejsca.

Jak dziś pamiętam scenę naszego wylotu w góry — wszystko odbyło się tak spokojnie i rzeczowo, że nie sposób było zgadnąć, jakie to wydarzenia poprzedza.

Niewielki samolot grzał się na środku lotniska, a nam, pasażerom, nie spieszo było wejść po metalowym trapie do jego gorącego wnętrza. Staliśmy w cieniu, pod daszkiem budynku lotniska: smagły, wysoki jak na Ligończyka, czarnooki major Tilwi—, wysuszony, skwaszony, wiecznie z czegoś niezadowolony profesor (a może to tylko taki sposób zachowania) Nicholson, podobny do

chińskiego bożka, dobroduszny profesor Manguczok, ubrany jak na wyprawę polarną — wełniany garnitur, który chował na specjalne okazje, gruby sweter pod marynarką, wojskowe buty, na głowie narciarska czapka. Anita Kraszewska leniwie wachlowała się okrągłym czerwonym wachlarzem. Od razu domyśliłem się, że kupiła go wczoraj w pagodzie. Takich używają mnisi. Nie sądzę by kobiecie, a szczególnie cudzoziemce wypadało nosić taki wachlarz. Pomyślałem, że trzeba jej będzie o tym powiedzieć, ale bardzo delikatnie. W dzinsach i męskiej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem wyglądała bardzo młodo. Jak studentka. Zdziwiające — wszystkim było gorąco, wszyscy byli spoceni, rozgrzani, a ona była świeża, wręcz chłodna, a jej kasztanowe, puszyste włosy układały się posłusznie, jak w jesienny dzień, w Warszawie. Nieco z boku górował nad wszystkim masywny dyrektor Matur z wargami czerwonymi jak u wszystkich miłośników betelu. Spod czarnej marynarki wystawało bawełniane dhoti, a na gołych, ciemnych, niezbyt czystych nogach miał sandały.

Zapytałem Anity, czy czegoś nie potrzebuje. Z uśmiechem odparła mi, że nie, a ja pomyślałem, że przy pierwszej nadarzającej się okazji ukradnę jej wachlarz, żeby nie zaczynać niepotrzebnych rozmów.

Do Tilwi podszedł pilot. Sądziłem, że zaprasza nas na pokład, ale okazało się, że skarży się na nadmierne obciążenie maszyny i Kumtaton musiał nas opuścić, aby wydać odpowiednie rozkazy. Loty nad górami w ogóle są niebezpieczne, więc informacja o nadmiernym obciążeniu zaniepokoiła mnie, ale nie dałem tego po sobie poznać. Obok mnie Nicholson i Manguczok niezbyt głośno, ale energicznie, kłócili się o to, co będą robić po przybyciu na miejsce. Przysłuchiwałem się ich rozmowie.

— Wprowadzenie na łono cywilizacji... — z nieukrywaną pogardą mówił Nicholson. — Co może dać waszym podopiecznym? Chce pan, by przyjechał do nich handlarz, taki jak ten Tamil, który stoi dwa kroki od nas? Żeby zaraził tubylców syfilisem albo ospą?

— Sądzi pan, że lepiej będzie, jeśli dżicy zostaną w pierwotnym stanie?

— Wierzę, że to dla nich jedyny ratunek.

— Pańska nadzieja, kolego, jest iluzoryczna. — Profesor Manguczok złościł się, ciemne policzki spurpurowiały, ale starał się zachować spokój. — Nie da się pozostawić ich w stanie, w jakim znajdowali się przed naszym pojawieniem. Jeśli nie będziemy ich chronić, jeśli nie pomożemy im wejść do rodziny współczesnych narodów, to pozostawimy ich na pastwę losu, wydamy w ręce złoczyńców.

— Ma pan zamiar zabrać im dzieci i wysłać do internatu?

— Proszę o wybaczenie, panowie — Matur bezceremonialnie włączył się do rozmowy. — Pan Nicholson wskazał mnie jako Tamila i złoczyńcę. Odpowiem na to bez obrazy. Odpowiem inaczej, niż oczekujecie. Bo myślicie jak w książkach Juliusza Verne. Powiedzcie mi, komu potrzebna jest garstka gołych tubylców? W naszych czasach nikt nie handluje niewolnikami. Ci goli ludożercy nie mają nic cennego. Nawet ich ziemia nikogo nie interesuje. Będziecie musieli nieźle się naszukać, żeby znaleźć złoczyńcę gotowego ich wyzyskiwać. Grabić! — dyrektor Matur aż parsknął ze złości.

Nicholson nie zaszczycił Matura odpowiedzią, wyjął fajkę i zaczął nabijać ją tytoniem. Manguczok był o wiele bardziej uprzejmy.

— Myli się pan, szanowny Maturze — powiedział. — Doświadczenie uczy, że ludzie myślący tylko o sobie zawsze znajdą sposób, by wykorzystać innych. Jestem zwolennikiem kontroli i ochrony ostatniego dzikiego plemienia. Powinniśmy być podwójnie ostrożni, bo przejście do nowego życia może okazać się tragiczne dla nich. Bez kontroli państwa na pewno będzie tragiczne.

W tym momencie ponownie podszedł do nas pilot i oznajmił, że samolot jest gotowy do lotu.

* * *

Na szczęście samolot nie czekał długo na start, bo inaczej wszyscy byśmy się w nim upiekli. Wzbił się ostro ku górze, a ja zobaczyłem przez iluminator hangary i domy wokół lotniska oraz pola ryżowe oddzielające je od miasta. Gdy wzbiliśmy się jeszcze wyżej, wokół roztaczał się piękny widok na niewysokie, zielone pagórki zwieńczone pagodami — kompleks świątyn Nefrytowego Buddy i dalej, na rozrzucone chaotycznie na przedmieściach domki i uporządkowane, zbudowane jeszcze w czasach kolonialnych, dzielnice w centrum. Morze zlewało się z niebem.

Usiadłem obok Tilwi Kumtatona, bo uważałem, że przebywanie cały czas z Anitą Kraszewską byłoby niegrzeczne — nieustająca uwaga i troska mogłyby zostać źle zinterpretowane przez kolegów.

— Mieszka pan teraz w Tangi? — zapytałem majora.

— Nie, w Bawonie.

— Nie ciągnie pana do stolicy? — W tej samej chwili zrozumiałem, że popełniłem nietakt. Powinienem był się domyślić, że major popadł w niełaskę u nowych przywódców kraju. Bawon to zabita dechami dziura na końcu świata... Ale Tilwi nie dał po sobie poznać, że pytanie sprawiło mu przykrość.

— Czasami tam bywam. Ale zazwyczaj jestem zajęty.

— Nie ożenił się pan?

— A pan? — uśmiechnął się major. — Możemy znaleźć panu wspaniałą narzeczoną. Z dobrej rodziny.

— Jaka kobieta będzie chciała wyjść za mąż za takiego starego grubasa jak ja?

— Jest pan szanowanym człowiekiem, Juriju — powiedział Tilwi Kumtaton. — Nauczyciel. Profesor. Zaproszono pana na takie ważne spotkanie.

Wiedziałem, że major, któremu nie udało się ukończyć uniwersytetu, z dużym szacunkiem traktuje ludzi wykształconych. W Ligonie, podobnie jak w innych krajach buddyjskich, ludzie szanują wykształcenie.

— A jak wyglądają ci ludzie? — zapytałem. — Czy należą do grupy tybeto–birmańskiej?

— Nie przyglądałem się im z bliska. Byliśmy ostrożni. Mają ciemną skórę, włosy proste, czarne. I twarze też płaskie. Ale za to duże i jasne oczy. Nie widziałem takich w naszych górach.

— Proszę powiedzieć, majorze, nie przyszło panu na myśl, że mogli przywędrować z Chin albo z Tybetu? Przecież na północ, aż do samej granicy, rozciągają się dzikie góry.

— Myślałem o tym — powiedział major. — Ale doszedłem do wniosku, że to niemożliwe.

— Dlaczego?

Jednym, logicznym uderzeniem major zniszczył moją nadzieję na naukowe odkrycie.

— Przecież są goli — powiedział. — Nie znają odzieży.

— I co z tego?

— To znaczy, że są mieszkańcami lasu tropikalnego.

Musiałem się z nim zgodzić. O Tybecie, gdzie zimy są zwykle surowe, nie ma co wspominać, ale

i w południowych Chinach nie spotyka się plemion, które nawet w odległej przeszłości obchodziłyby się bez odzieży. W zimie nie jest tam za ciepło.

Profesor Nicholson, siedzący przede mną wraz z Anitą, wyjął z teczki duży termos i nalał kawy do kubka. Rzadkie, siwe włosy przykleiły mu się do szyi. Pomyślałem, że w takim wieku należy nosić krótsze włosy i w ogóle pamiętać, że ma się na karku siedemdziesiątkę. Różowa koszula i długie siwe włosy przyklepione do szyi. Niezbyt estetyczne. Matur siedział z drugiej strony przejścia. Z kieszeni marynarki wyjął gruby, mocno zniszczony notes, z powtykanym mnóstwem karteczek, rachunków, notatek i zaczął ryć w nich z lubością, jaką odczuwa skąpiec Uczący swe dublony. Skóra na okrągłych oliwkowych policzkach poruszała się — żuł betel.

Odwróciłem się do okna. W dole rozciągało się przedgórze — zielone, porośnięte lasami pagórki, a na ich stromych zboczach uchowały się jeszcze drzewa, dawno już wyrąbane w miejscach nadających się pod uprawy, co jak wiadomo prowadzi do erozji gleby. Z tego właśnie powodu znaczna część doliny Kangemu zmieniła się w obszary półpustynne, na których w okresach suszy szaleją burze piaskowe, a w porze deszczowej występują katastrofalne powodzie.

Wkrótce zaczną się góry. Nie, jeszcze nie te, do których lecimy, lecz niewysokie, lesiste góry wokół Tangi, na płaskowyżu rozdartym dzikimi dolinami. Dwa lata temu mnie i dwóm innym ludziom obecnym w samolocie — majorowi i dyrektorowi Maturowi — właśnie tutaj przytrafiło się nieszczęście. Nasz samolot zestrzelili przemytnicy, którzy wzięli nas omyłkowo za rządowy patrol. Cudem uszliśmy z życiem...

— Nie mam pojęcia — powiedział do mnie major Tilwi — jak będziecie się komunikować z tymi dzikusami?

— A w czym problem? — Z trudem wróciłem do terażniejszości.

— Żałuję, że znalazłem to plemię — powiedział major, ostatecznie odrywając mnie od wspomnień.

— Dlaczego? — nie zrozumiałem w pierwszej chwili.

— Oczywiście, rozumiem, nauka, rozkaz rządu. Ale podlegam pod komendanta okręgu i mam do końca miesiąca zakończyć opis tego regionu. A co teraz?

— Teraz zostanie pan z nami?

— No właśnie. Do tego potrzebujecie ochrony. Nie wiadomo, jak się zachowają dzicy.

— A pańscy żołnierze?

— Kazałem im nie zbliżać się do jaskiń.

— A jeśli dzicy odeszli?

— Nie sądzę. Zostawiłem posterunki przy przełęczy i przy wejściu do jaskini. A przez góry raczej nie przejdą... Może dacie radę uporać się z pracą szybciej niż w ciągu tygodnia?

— Tilwi — powiedziałem — niestety nie mogę dać panu takiej obietnicy. Fakt odkrycia dzikiego plemienia to wielkie wydarzenie w światowej nauce i uczestnicy konferencji postanowili przedłużyć pobyt w Ligonie, aby zapoznać się z pierwszymi wynikami naszych obserwacji. Jest pan inteligentnym człowiekiem...

— Ale mój dowódca okręgu — Tilwi uśmiechnął się — nie jest na tyle inteligentny, by zrozumieć, jak ważny jest dla światowej nauki tuzin gołych dzikusów.

— Otóż to! — Dyrektor Matur ma zbyt dobry słuch. Okazało się, że przysłuchiwał się naszej rozmowie pomimo huk silników. — Ja także zupełnie nie rozumiem, co tam możemy zobaczyć. Ujrzymy bandę spryciarzy, proszących o bakszysz. Nie mam pojęcia jak mam zabezpieczyć żywność.

Zaraz rozkradną.

— Nie zatrzymamy się zbyt blisko jaskiń — powiedział Tilwi, zwracając się do mnie i ignorując dyrektora. — Wybraliśmy miejsce koło wody, o dwie minuty marszu od jaskini.

— Słusznie — zgodziłem się.

Ale słowa majora nie przekonały Matura. Pokiwał głową jak chińska zabawka, demonstrując w ten sposób niechęć do całej operacji. A ja znowu pomyślałem: po kiego diabła przyczepił się do nas? Lepiej siedziałby w Ligonie, poił lemoniadą uczestników konferencji i miał święty spokój.

Dyrektor Matur

Pan Jurij patrzył na mnie podejrzliwie. Odniosłem wrażenie, że dzięki typowej dla mnie przenikliwości złowiłem w jego spojrzeniu pytanie: a po co pan, dyrektorze, powszechnie szanowany człowiek, wybrał się z nami w dzikie góry, jeśli nie interesują pana ci dzikusy?

No cóż, panie Wspolny, pana niewypowiedziane zapytanie jest ze wszech miar słuszne. Jako rozumni ludzie i dżentelmeni musimy się z tym zgodzić. Oczywiście, mógłbym odpowiedzieć panu Jurijowi, że uważam prymitywne ludy za niezwykle zagadkowe, ale... nie byłaby to prawda.

Muszę więc przyznać się do czegoś, co wolałbym zachować dla siebie, ale teraz, gdy pewne okoliczności, o których (o ludzka słabości!) wolałbym zapomnieć, wypłynęły na wierzch, można uchylić rąbka tajemnicy, pozostając przy tym uczciwym i porządnym człowiekiem. Tak, leciałem tym samolotem, mimo że nienawidzę latania z powodów, które nie mają nic wspólnego z gołymi dzikusami.

Tego dnia, gdy na międzynarodowym kongresie oznajmiono o dzikich ludziach, podszedł do mnie wieczorem starszy kelner i przekazał prośbę od mojego starego przyjaciela, właściciela wytwórni napojów chłodzących, pana Szalejezwami, bym zajrzał do niego na filiżankę herbaty.

Jako człowiek towarzyski, zawsze z radością przyjmuję zaproszenia od przyjaciół. I tym razem także pośpieszyłem na spotkanie licząc, że miło spędzę czas na towarzyskiej rozmowie. Jednak mój przyjaciel był wzburzony. I zmartwiony. Powodem jego zgryzoty było to, że jego bliski przyjaciel przepadł bez wieści w rejonie doliny Githan. Dowiedziawszy się, że właśnie tam leci samolot, mój stary przyjaciel błagał mnie, bym poleciał wraz z profesorami i postarał się dowiedzieć, czy jego przyjaciel nie stał się ofiarą gołych ludożerców*.

Na szczęście lot do Tangi minął bez przygód i po godzinie wylądowaliśmy na niewielkim lotnisku, w pobliżu tego spokojnego, górskiego miasteczka, które tak niedawno zostało zniszczone przez okropne trzęsienie ziemi. Co prawda w ciągu dwóch lat odbudowano już małe domki, a remont kościółka przy misji prawie dobiegł końca. Niektóre domy wciąż jeszcze były obudowane rusztowaniami, a na przedmieściu leżała rozsypująca się rezydencja miejscowego władcy, świętej pamięci księcia Urao Kao, w której mieszka jego leciwa matka. Planowałem złożyć jej wizytę, ale nie zdążyłem pogrążony w pędzący wir wydarzeń.

Anita Kraszewska

Miasto było prześliczne. Nawet fakt, że ucierpiało od trzęsienia ziemi, nie mógł zniszczyć jego uroku. Od północy nacierały porośnięte sosnami wzgórza, a od południa płaskowyż, na którym rozpostarło się miasto, ustępował miejsca wielkiemu, błękitnemu jezioru, za którym zaczynały się wysokie góry.

Tutaj, na płaskowyżu, wiosna nie była tak gorąca, sucha i duszna, jak w dolinie, od gór wiał wietrzyk niosący po ciasnych uliczkach suche liście.

Miałam wielką ochotę pobyć tutaj sama, by chłonąć aromat tego zagubionego na końcu świata zaułka i popełniałam niewielkie, moralne przestępstwo — uciekłam przed przemiłym, rosyjskim Pickwickiem — Jurijem Wspólnym. Obawiam się, że wydaje mu się jakoby się we mnie zakochał. Na mój widok zaczyna bez przerwy mówić, jakby bał się, że zniknę, gdy tylko zamilknie. Na konferencji siadał obok mnie, opowiadał o miejscowych zwyczajach i historii Ligonu, biegał po lemoniadę i zajmował dla mnie kolejkę w bufecie, gdzie pożywialiśmy się w przerwach między posiedzeniami. Jest przy tym bardzo wstydlivy i starannie udaje, że zupełnie się mną nie interesuje.*

W samolocie przemógł się i siadł oddzielnie, ale mimo wszystko czułam jego czuły wzrok krótkowidza. Nie, naprawdę jest dobrym i miłym człowiekiem, ale zmęczyły mnie nieco jego pouczenia i będę musiała jakoś je ukrócić, nie raniąc przy tym jego uczuć.

Od profesora Manguczoka dowiedziałam się, że zatrzymamy się w Tangi do rana, więc gdy Jura był zajęty naukową dyskusją z profesorem Nicholsonem, zeszałam w dół po schodach drewnianego zajazdu, ominęłam zarośniętą bambusem stertę belek i cegieł, która kiedyś była miejscowym hotelem i ruszyłam w miasto.

Przeszłam obok bazaru, gdzie kobiety z plemienia Fonów, ubrane w czerwone turbany i szerokie, krótkie spódnice w kolorze ultramaryny, handlowały mandarynkami i jabłkami. Kupiłam nawet funt mandarynek, a potem żałowałam, że nie wzięłam więcej. Stromą, krętą uliczką dotarłam do starego, zbudowanego najwyraźniej jeszcze na początku ubiegłego wieku, kościoła. Sam budynek przetrzymał trzęsienie ziemi, ale dzwonnica przewróciła się i teraz stała cała w rusztowaniach — odbudowywano ją. Stąd, z placu przed kościołem, napawałam się widokiem jeziora. Wspięłam się nawet na rusztowanie i zrobiłam stamtąd kilka udanych zdjęć. Dwóch starych kamieniarzy przerwało pracę, patrzyli na mnie i, nie mówiąc ani słowa, uśmiechali się uprzejmie.

Na zielonym, starannie przystrzyżonym trawniku, obok cerkwi, w cieniu obsypanego jaskrawoczerwonymi kwiatami drzewa, zobaczyłam marmurowy nagrobek z wyrytym imieniem miejscowego księdza lub misjonarza, ze stosunkowo niedawną datą śmierci — sprzed dwóch lat. Być może ten stary Anglik, ojciec Fryderyk, zginął podczas trzęsienia ziemi?

Dalej ulica poprowadziła mnie do niewielkiego, buddyjskiego klasztoru, ukrytego w cieniu rozłożystych koron drzew mango. Między nimi wałęsały się, szukając czegoś w trawie, czarne

świnie.

Młody mnich z ogoloną głową, czytający w cieniu oprawioną w skórę książkę, na mój widok otworzył usta i powiedział coś po ligońsku. Potem długo patrzył w ślad za mną.

Zmierzchało, pomyślałam więc, że pora wracać. Wieczór jest tu krótki, szybko robi się ciemno i mogłabym zabłądzić. Zawróciłam i postanowiłam skrócić sobie drogę idąc wąską uliczką pomiędzy niewielkimi, drewnianymi domami. Na werandach siedzieli ludzie w swetrach i robionych na drutach czapkach, im ten parny wieczór wydawał się chłodny. Pili herbatę i jedli kolację. Niektórzy uśmiechali się do mnie i coś mówili, gdy przechodziłam. Ale nic złego, tak, jakby patrzyli na przechadzającego się ulicą kota.

Uliczka doprowadziła mnie do parku. Może był to ogród botaniczny, bo pod niektórymi drzewami stały paliki z przybitymi nazwami — ligońskimi i łacińskimi. Ścieżki prowadziły wśród drzew i krzewów.

Przyśpieszyłam kroku. Było bardzo cicho. Nawet ptaki zamilkły. Zasadniczo nie jestem tchórzem i zdarzało mi się popadać w różne tarapaty, ale w tej ciszy było coś zagadkowego, jakby cała przyroda na coś czekała.

I wtedy usłyszałam ciche głosy.

Gdyby ci ludzie rozmawiali głośniejsze, z pewnością podbiegłabym do nich i zapytała o drogę do hotelu. Ale właśnie dlatego, że mówili cicho, nie jak zakochani bojący się spłoszyć ciszę, ale jak ludzie planujący coś złego, przestraszyłam się i stanęłam.

Tuż przede mną, ukryci za ogromnym krzakiem, stali dwaj ludzie. Jednego poznałam od razu. Był to potężny, wiecznie żujący betel, zaopatrzeniowiec ekspedycji. Przynajmniej ja tak rozumiałam jego funkcję w grupie. Zdaje się, że nazywał się Matur. Nie słyszałam, o czym rozmawiają, zresztą nie interesowało mnie to. Ale nie mogłam iść dalej, a zawrócić też się bałam. Tak więc zostałam i czekałam, aż się rozejdą.

W tym czasie udało mi się przyjrzeć drugiemu osobnikowi. Był niewysoki, bardzo chudy i dzięki temu niezwykle ruchliwy. Mali ludzie zazwyczaj są ruchliwi. Pamiętam, że zdążyłam nawet pomyśleć, że jest to ogólna zasada panująca wśród żywych stworzeń. Koliber albo mysz polna zawsze są w ruchu. Aby wykarmić małe organizm, który nie ma żadnych zapasów na wypadek głodu, muszą poruszać się jak poparzone i bez przerwy się pożywiać. Oczywiście, do ludzi odnosi się to tylko umownie. Ale Napoleonowie i Stalinowie nie bywają zwaliscy.

Wyśledziło mnie kilka złośliwych komarów i rzuciły się na mnie jak psy na niedźwiedzia. Za co tak mnie zniechędziły? Bałam się nawet je zabić i tylko bezdźwięcznie machałam dłońmi, co jeszcze bardziej rozwścieczyło krwio pijców. No szybciej, poganiałam w myślach Matura. Czas na kolację.

Rozmówca Matura był od niego ważniejszy. Widać to było po zachowaniu naszego aprowizatora. Jego potężne ciało cały czas wykonywało płynne ruchy, starając się pochylić w odpowiedzi na każde zdanie małego człowieka. Mały człowiek był ubrany w europejski garnitur, stał wyprostowany, jakby udawał amerykańskiego żołnierza na warcie.

I ten mały człowiek nieoczekiwanie wyciągnął z kieszeni spory pistolet, który nie wiadomo jakim cudem pomieścił się w marynarce. Oboje z Maturem pomyśleliśmy, że zaraz zaczną strzelać. Matur nawet odskoczył w bok i podniósł ku twarzy pulchne ręce.

— Nie bój się! — mały człowiek podniósł głos. Powiedział to po angielsku. Potem znowu przeszedł na ligoński. Matur uśmiechnął się niepewnie i odpowiedział ligońską tyradą, prawie

niedosłyszalną. Moim zdaniem zapewniał rozmówcę, że ani trochę się nie przestraszył.

Malutki człowiek wyciągnął pistolet w stronę Matura, a ten zaczął nerwowo trząść głową odmawiając przyjęcia takiego podarunku. Ale w końcu musiał się zgodzić. Próbował wsunąć pistolet do kolejnych kieszeni, ale pistolet zupełnie nie chciał go słuchać. I wtedy jego rozmówca odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w moją stronę. Przykucnęłam za krzakiem i zamarłam skulona. Przeszedł jakieś dwa kroki ode mnie, wystarczyło by odwrócił głowę, a zobaczyłby piękną, polską damę w niewiarygodnej pozie i zrozumiał, że dama śledziła go w pustym parku. Trudno powiedzieć, co by wtedy zrobił, ale pomyślałam, że ma zapasowy pistolet właśnie na wypadek takiego spotkania.

Przesiedziałam skulona za krzakiem jakieś pięć minut. W tym czasie komary pocięły mnie niemiłosiernie, ale musiałam wytrzymać. Próbowałam przywołać na pomoc szlachetne przykłady z historii, przekonując się, że Joanna d'Arc miała znacznie gorzej, ale po upływie pięciu minut rozumiałam, że chętnie zamieniłabym się z francuską bohaterką. Ale jak na złość, przez cały ten czas Matur przestępował z nogi na nogę po drugiej stronie krzaka, mamrotał coś pod nosem, cmokał, jednym słowem — przeżywał. W końcu westchnął ciężko i odszedł, skrzypiąc podszwami sandałów. Policzyłam do stu, a potem z radością rozgniotłam największego komara. Dłoń od razu zrobiła się mokra od krwi.

Potem ruszyłam w ślad za nim, starając się pozostać w tyle. Nie wiem dlaczego, wydawało mi się, że Matur boi się wręczonego mu pistoletu bardziej niż ja. Idzie teraz i myśli, czy broni nie wyrzucić w krzaki. Ale wyrzucić też się boi. Nie chciałam, by Matur mnie dostrzegł. Mógłby strzelić ze strachu.

Jurij Sidorowicz Wspólny

Oczywiście, ani wtedy, ani znacznie później nie podejrzewałem, że dyrektor Matur spotykał się z kimś wieczorem w parku i wystraszył czarującą Anitę. Nie wiedziałem, że ma pistolet. Zarówno dla mnie, jak i dla wszystkich pozostałych nasza wyprawa była przedsięwzięciem naukowym, które mogło dostarczyć ciekawych odkryć, a nawet przygód, ale na pewno nie niebezpieczeństw. Tym bardziej że opiekowało się nami ligońskie wojsko pod dowództwem Tilwiego Kumtatona.

Następnego ranka z niecierpliwością czekaliśmy na helikopter. Po obfitym, sycącym śniadaniu wojskowe jeepy zawiozły nas na lotnisko. Ranek był przyjemny, rześki, strome góry ograniczały widoczność ze wszystkich stron, a ja z nadzieją spoglądałem na północ, gdzie znajdowała się dolina rzeki Prui. Muszę przyznać, że Matur wyglądał na zmęczonego i zniechęconego, ale wytłumaczyłem to sobie jego strachem przed lataniem.

Ze wszystkich wydarzeń tego ranka warto moim zdaniem wspomnieć tylko o jednym.

Major Tilwi przyniósł do helikoptera odbitki zdjęć. Okazało się, że jego zastępca, lejtnant Mutaran zrobił je dwa dni temu i przekazał przez pilota śmigłowca. Oczywiście, z wielkim zainteresowaniem zapoznaliśmy się z tą fotodokumentacją. Zdjęcia niestety były amatorskie, wiele z nich było nieostrych. Pierwsze przedstawiało wejście do jaskini o wysokości około dwóch metrów i szerokości pięciu, nad którym zwisał szeroki, skalny daszek. Rozmiary łatwo było ocenić, gdyż obok wejścia stało dwóch dzikich, nie podejrzewających, że są fotografowani. Byli zupełnie nadzy. Jeden z nich trzymał w ręce dzidę z przywiązany grotem, drugi był bez broni. Druga fotografia wydała mi się znacznie ciekawsza.

Lejtnantowi udało się uchwycić dzikiego, gdy ten zbliżył się do zarośli, dzięki czemu widoczna była surowa, pełna napięcia twarz myśliwego i wojownika. Długie, wijące się kosmyki okalały kości policzkowe, małe oczka patrzyły zimno i okrutnie spod krzaczastych brwi. Muszę przyznać, że po plecach przebiegło mi coś przypominającego uderzenie zimnego wiatru. Nie chciałbym natknąć się na takiego dzikusa na wąskiej, leśnej dróżce.

Trzecia fotografia była jeszcze ciekawsza. Lejtnantowi udało się uchwycić na niej żyłastego staruszka, łysego i przygarbionego. Ukucnął przed jaskinią, ustawił pionowo niewielki patyczek i kręcił nim. Najprawdopodobniej był powiernikiem tradycji plemienia, może nawet pierwotnym kapłanem, a umiejętność zapalania ognia stawiała go ponad innymi. Obok starca stała młoda kobieta. Gdy oglądałem zdjęcie, usłyszałem z tyłu cmokanie. Okazało się, że to kręta Matur zagląda mi przez ramię. Jego spojrzenie zatrzymało się na dzikusce. Kobieta była młoda, miała pełne piersi i gdyby nie prymitywny wyraz twarzy, mogłaby uchodzić za ładną.

— A mieli być goli — powiedział Matur.

Zrozumiałem, co miał na myśli — na biodrach dzikuska miała spódniczkę z trawy.

— Myli się pan — powiedziałem do Matura. — To naturalna kobieca wstydlivość.

— A jednak szkoda, że nie jest całkiem dzika — beczelnie zaprotestował Matur, a ja postanowiłem nie kontynuować sporu tylko przekazałem fotografie profesorowi Nicholsonowi, który złapał je tak, jak umierający z pragnienia chwyta szklanę wody. Natychmiast rozpoczął ożywioną dyskusję z profesorem Manguczokiem, a ich spór koncentrował się na problemach antropologicznych, w których nie czuję się kompetentny.

Helikopter, jak wyjaśnił mi Tilwi, był desantowy, dlatego mogliśmy rozmieścić się w nim swobodnie, miejsca starczyło także na zapasy żywności starannie sprawdzone i przeliczone przez Maturę. Sam lot zajął prawie dwie godziny, czas ten poświęciłem na rozmowę z Anitą Kraszewską, która podzieliła się ze mną wrażeniami z Tangi — miasto spodobało się jej zarówno ze względu na klimat, jak i roślinność. Jako że bywałem już w tych stronach, mogłem opowiedzieć polskiej koleżance o zagadnieniach etnicznym oraz o historii miasta i ruchach narodowyzwoleńczych. Poza tym przypomniałem jej, że podczas II wojny światowej miała tutaj miejsce zażarta bitwa między wojskami angielskimi a dziewiętnastą armią generała Yamashita, opowiedziałem także o pogromie japońskich wojsk w lecie 1945 roku.

— Dotychczas — powiedziałem — w dżungli można natknąć się na resztki bunkrów i umocnień, gdyż odcięci od morza Japończycy bronili się tak desperacko, że nawet wiadomość o kapitulacji cesarza nie zakończyła walk. Ziemia ta, te wydawałoby się spokojne góry, dosłownie spłynęła krwią — zakończyłem.

Helikopter zaczął powoli schodzić do lądowania, jakby w morzu lesistych odmętów szukał wolnego miejsca. Muszę oddać honor umiejętnościom ligońskiego pilota, który nie tylko odnalazł w tym morzu zieleni niewielką polankę, ale potrafił jeszcze wylądować dokładnie na jej środku.

Tutaj, na wysokości tysiąca sześciuset metrów nad poziomem morza (dane te znalazłem w atlasie geograficznym jeszcze przed odlotem), było bardzo rześko. Myślę, że około dwudziestu stopni, nie więcej. Wiał północny wiatr, oczywiście znacznie chłodniejszy niż w Tangi. Pomyślałem, że w nocy musi być tu całkiem zimno. Aby przeżyć bez odzieży, trzeba być wyposażonym w odpowiednie geny i ogromną wytrzymałość.

Hałas śmigła ucichł, zapanowała cisza. Pomyślałem, że nasze działania — loty, marsze i tak dalej — muszą prędzej czy później przyciągnąć uwagę dzikich, którzy w każdej chwili mogą porzucić jaskinię i skryć się w labiryncie górskich dolin.

Lejtnant Mutaran, dowodzący oddziałem pod nieobecność Tilwiego Kumtatona, okazał się całkiem młodym oficerem, który dopiero co zakończył szkołę. Podbiegł do helikoptera, wyprostowany jak struna zameldował się Kumtatonowi. Jednocześnie nie spuszczał z nas oka. Pewnie po raz pierwszy w życiu widział tylu poważnych uczonych. W oddali stało trzech żołnierzy, a gdy tylko wysiedliśmy zaczęli wypakowywać przywiezione przez nas skrzynki i worki. Dyrektor Matur został w pobliżu helikoptera, aby nadzorować przenoszenie ładunku.

Lejtnant zaprowadził nas do namiotu, stojącego w cieniu wysokich sosen nad stromym brzegiem rzeki Prui. Ziemia była pokryta gęstą warstwą igieł, a ja mimowolnie zacząłem rozglądać się w poszukiwaniu grzybów — jestem zapalonym grzybiarzem, czasem nawet śni mi się, że wchodzę do lasu pod Moskwą i widzę całą kolonię borowików albo czerwone czapeczki kozaków. Ale tutaj nikt nie zna, i nie zbiera grzybów. Trudno było uwierzyć, że znajdujemy się tysiące kilometrów od domu, u podnóża Himalajów, w pobliżu równika. Powietrze było tak świeże, sosny szumiały jak w ojczyźnie.

W dużym namiocie czekał nakryty stół — żołnierze przygotowali dla nas herbatę ze

skondensowanym mlekiem i biszkopty, a my byliśmy szczerze zachwyceni ich gościnnością.

Porucznik uprzejmie wyjaśnił nam, że od namiotu jest do jaskini około dwóch mil (trzy kilometry). Nie chcieli ulokować się bliżej dzikich, by ich przypadkiem nie wystraszyć. Oficer mówił, spoglądając co chwila na dowódcę, jak prymus, który dobrze przygotował pracę domową.

Profesor Nicholson — chociaż był wśród nas najstarszy — nalegał, by natychmiast wyruszyć do jaskini. Ze zdziwieniem obserwowałem tego zasuszonego, niemłodego już dżentelmena. Warunki polowe wyraźnie go odmieniły. Dopiero teraz przyjrzałem się jego ubraniu. Zdążył się przebrać w Tangi i wystąpił teraz w szortach i amerykańskiej koszuli wojskowej, na nogach miał buty do wycieczek górskich i kolorowe getry. Profesor na wojennej ścieżce!

Jednakże Tilwi Kumtaton nie zgodził się na natychmiastowy wymarsz w góry. Dochodziło południe, w tym czasie, zgodnie z obserwacjami żołnierzy, mężczyźni byli jeszcze na polowaniu, a kobiety zajmowały się zbieractwem. Do jaskini wracali dopiero około trzeciej po południu. Wtedy będziemy mogli popatrzeć z bliska na pierwotnych ludzi.

Wyruszyliśmy po godzinie. Na szczęście było niezbyt gorąco i sucho. Tym niemniej droga okazała się wcale niełatwa. Bezwstydnie miałem nawet nieco żalu do Tilwiego i jego żołnierzy, że nie podrzucili nas helikopterem nieco bliżej obozowiska pierwotnych ludzi, chociaż przecież wiedziałem, że taki przelot zdradziłby naszą obecność. Oczywiście, nie było żadnych ścieżek, musieliśmy przedzierać się przez korzenie, omijać zarośla, wdrapywać na kamienne osypiska, strzec się żmij i zbłąkanych drapieżników. I przede wszystkim wysłuchiwać jęków Matura, który nie wiedzieć czemu przyczepił się do nas, a teraz jęczał, że na pewno nie dotrzemy żywi do jaskini. Uznałem nawet za stosowne zwrócić uwagę Maturowi, że moja postura, podobnie jak jego, nie jest przystosowana do wspinaczek górskich, a jednak nie skarżę się, bo sam wybrałem taki los. Oblewając się potem i sapiąc głośno, starałem się nie zostawać z tyłu i trzymałem się z dala od Anity, która z lekkością kozicy pokonywała wszystkie przeszkody, dosłownie jakby spacerowała po parkowych alejkach. Nie chciałem, aby zapamiętała mnie spoconego, czerwonego na twarzy i potarganego.

Nasza wędrówka zakończyła się nieoczekiwanie w chwili, gdy myślałem, że zaraz upadnę i więcej już nie wstanę.

Idący przodem żołnierz podniósł rękę, gestem nakazał nam zatrzymać się i wyjrzał, rozsuwając bambusowe zarośla. Po minucie zobaczyliśmy go znowu i wyszliśmy w ślad za nim na niewielkie urwisko. Po drugiej stronie wąwozu, nieco niżej, znajdowało się wejście do jaskini — widzieliśmy je jak na dłoni.

Od jaskini dzieliło nas około dwustu metrów, wszyscy byliśmy wyposażeni w lornetki, Anita Kraszewska i Tilwi Kumtaton wzięli ze sobą kamery, a idący z tyłu żołnierze — matę, żebyśmy nie musieli siedzieć na ziemi, więc warunki do obserwacji były wspaniałe.

Usiedliśmy wzdłuż krawędzi urwiska, starając się nie ruszać, aby kołysanie łodyg bambusa nie zdradziło naszej obecności. Nie było komarów. Słońce świeciło nad głowami, ale nie paliło. Śpiewały ptaki. Było bardzo przyjemnie.

Placyk wydeptany przed jaskinią i pełen walających się, nieuprzątniętych gałęzi, kamieni i innych drobnych przedmiotów naturalnego pochodzenia, był pusty. Jeśli pierwotni ludzie wrócili z polowania, to musieli skryć się w jaskini, by odpocząć i najeść się.

Patrzyłem na placyk i myślałem, że za chwilę pojawi się tam zmęczony po całym dniu pracy, pierwotny człowiek, dla którego w przyszłości znajdziemy jakąś naukową nazwę. Jego światem jest

dolina mało znanej poza granicami okręgu rzeki Prui. Góry to granica znanego mu świata. I on i jego pradziadowie i praszczurzy żyli tutaj lub w podobnej okolicy tak dawno, jak tylko sięga kolektywna pamięć plemienia. Gospodarzami tego świata są oni — Ludzie. A z drugiej strony to nieprawda. Bo ludzie to Ludzkość, to miliardy podobnych istot, powiązanych między sobą widzialnymi i niewidzialnymi nićmi tworzącymi społeczeństwo. Jesteśmy tu, na urwisku, z lornetkami i kamerami w dłoniach, przyszliśmy nacieszyć się widokiem zagubionych braci, bo wydaje nam się, że istnienie w oderwaniu od reszty ludzkości jest zadziwiające i godne poznania. Jakaż przepaść nas dzieli! Przepaść wzajemnej niewiedzy, niezrozumienia, która może doprowadzić do tragedii...

— Ciekawe — wyszeptała Anita Kraszewska, która wygodnie ułożyła się na macie i obserwowała przez lornetkę wejście do jaskini. — Rano wyszli z jaskini i pewnie opowiadali sobie anegdoty albo kłócili się o źle wysmażoną jajecznicę. A my ich obserwujemy jak mrówki.

— Myli się pani, Anito — powiedziałem, dziwiąc się jak podobne, a jednocześnie różne rozważania snuliśmy. — Nie sądzę, żeby umieli smażyć jajecznicę. I chyba nie znają anegdot. Jest ich za mało.

Anita milczała, a ja nie wiedziałem — zrozumiała, że żartuję, czy nie. Dlatego uznałem ze stosowne dodać:

— Oczywiście żartowałem.

— Rozumiem — powiedziała Anita.

Opisuję tak szczegółowo minuty, podczas których nic się nie wydarzyło, bo subiektywnie ciągnęły się jak godziny.

— Dziwne — usłyszałem cichy głos profesora Manguczoka. Słowo to wypowiedział po ligońsku i tylko dlatego go rozumiałem.

— Czyżby — Manguczok kontynuował po angielsku — na koczowisku nie było w ogóle dzieci?

— Nie ma w tym nic dziwnego — rozległ się swarliwy głos profesora Nicholsona. — Wyradzają się. Jestem przekonany, że zobaczymy cały szereg genetycznych deformacji — skutek kojarzenia krewniaczego.

— Z fotografii wynika, że nic takiego nie ma miejsca.

— Widzieliśmy tylko trzy osobniki, a zgodnie z relacjami żołnierzy jest ich ponad tuzin.

— Sprzedają dzieci i tyle — Matur niegrzecznie wmieszał się do rozmowy. — Sprzedają za przełęczą. Bo to są typowi handlarze niewolników.

— Na jakiej podstawie opowiada pan takie bzdury? — oburzył się profesor Nicholson.

— Zamiast siedzieć w zaroślach, gdzie w każdej chwili może nas ukąsić byle wąż — warknął Matur — trzeba było zorganizować nalot na jaskinię. Na pewno jest tam i odzież, i pieniądze, i broń palna. — W jego głosie słychać było taką pewność, że gdy w tej samej chwili z lasu wyszedł jeden z myśliwych — ostrożnie, jakby czuł naszą obecność — w pierwszej chwili wydało mi się, że trzyma w rękę nie dzidę, a automat.

Pojawienie się pierwotnego człowieka zakończyło wszystkie spory. Nad urwiskiem zapanowała martwa cisza. Trzaśnięcie magnetofonu włączonego przez profesora Nicholsona, chociaż było mało prawdopodobne, by z takiej odległości można było rozróżnić choć jedno słowo, wydało mi się głośnie jak wystrzał.

Dziki obejrzał się. Nasłuchiwał. Wstrzymałem oddech. Jestem przekonany, że to samo zrobili wszyscy pozostali obserwatorzy.

Najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Wydał z siebie krótki,

pojedynczy dźwięk, podobny do szczeknięcia. Prawie natychmiast w wejściu do jaskini pojawił się starzec, ten sam pierwotny kapłan z fotografii, który potrafił rozpalać ogień za pomocą patyka. Myśliwy zdjął z ramienia przewiazaną grubą lianą rybę, której przedtem jakoś nie zauważyłem i rzucił ją staruszkowi. Starzec złapał rybę w locie i aż się zachwiał, bo ważyła z pewnością co najmniej kilka kilogramów. Starzec powąchał rybę, twarz rozjaśnił mu uśmiech, a ja zrozumiałem, że kapłan wcale nie jest najważniejszą osobą w plemieniu. Tak, jego umiejętność rozniecania ognia ciemnym współplemieńcom może wydawać się magią, tym niemniej głównym kryterium przydatności w tej społeczności pozostaje umiejętność zdobywania pożywienia. Miałem ochotę podzielić się swoimi obserwacjami z którymś z antropologów i nawet odwróciłem się w stronę Anity, ale ona, zauważywszy mój ruch, położyła palec na ustach, zatrzymując zdanie gotowe sfrunąć z moich ust.

Starzec zniknął w jaskini, a myśliwy ukucnął, położył dzidę na wydeptanym placyku i podniósł ostry kamień. Obejrzał go i zaczął coś rysować na ziemi. Wyobraziłem sobie, jak spod niewprawnej ręki myśliwego wyłania się toporna sylwetka jelenia albo byka, którego zobaczył dziś w zaroślach, ale nie odważył się zaatakować. Może przebije teraz strzałą tę sylwetkę w nadziei, że następne polowanie będzie bardziej udane.

W tym momencie z zarośli wyszły dwie młode kobiety. Niosły naręcza gałęzi. Od razu skomentowałem w myśli to, co zobaczyłem: narodziny rolnictwa i medycyny. Zbieractwo dzikich jagód i jadalnych roślin dało początek naszemu rolnictwu.

W jednej z kobiet rozpoznałem ślicznotkę w spódniczce z trawy, którą widziałem na zdjęciu. Jej dzika, pierwotna uroda, której szczegółów nie dało się dostrzec z takiej odległości, zafascynowała mnie, cywilizowanego mieszkańca miasta. Jaki kontrast z wyszukaną urodą Anity Kraszewskiej!

Zobaczywszy kobiety, myśliwy podniósł głowę, ale nie wstał, żeby im pomóc. Zresztą nie należało oczekiwać galanterii od dzikusa.

Staruszek wyszedł z pieczary, trzymając w rękach dwa patyki. Za nim podążała starsza kobieta, której dotychczas nie widzieliśmy. Niosła naręcze suchych gałęzi i szczapy, które ułożyła na placyku. Pozostali z zainteresowaniem obserwowali jak staruszek ustawił obok siebie dwa patyki — koniec jednego umieścił w przygotowanym do podpalenia stosie, a drugi, cieńszy, zaczął obracać między dłońmi, starając się tarcie rozpalić ogień.

Kręcił długo, kilka minut. Ścierpła mi noga, więc zmieniłem pozycję. Anita nie odrywała od lornetki oczu. Nicholson pochylił się nad magnetofonem, chociaż zupełnie nie mam pojęcia, co mógłby nagrać. W czasie, gdy starzec pracując oblewał się potem, z lasu wyszło jeszcze trzech myśliwych w różnym wieku. Jeden z nich trzymał za nogi zabitego zająca, dwóch pozostałych wróciło z pustymi rękami. Obserwując jak otwierają się i zamykają usta myśliwych domyśliłem się, że dają rady staruszkowi. I wtedy olśniło mnie!

Obserwujemy wielki moment w historii ludzkości! Widzimy jak ludzie uczą się obchodzić z ogniem! Staruszek najwyraźniej nie był mistrzem w tej dziedzinie, świadczyło o tym rozdrażnienie, z jakim myśliwy odepchnął go, odebrał patyki i zaczął sam nimi kręcić. Obrażony strzec wstał i poszedł do wejścia do jaskini, skąd obserwował jak przebiega proces rozniecania ognia.

Obejrzałem się, żeby sprawdzić czy ten zadziwiający moment jest uwieczniany na taśmie. Na szczęście Tiłwi Kumtaton docenił wagę chwili i bez ustanku filmował rozniecanie ognia amatorską kamerą.

W końcu spod patyka zaczęła wydostawać się cienka smużka dymu, powodując ożywienie wśród dzikich. Z bezpośredniością epoki kamienia łupanego zaczęli podskakiwać wokół dymu,

wychwalając swe pierwotne bóstwa.

Jednakże wtedy zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Pierwszy myśliwy kręcił patykami jeszcze jakąś minutę, przekonał się, że nie wychodzi mu nic oprócz dymu, złamał patyki o kolano i z gniewem wyrzucił je daleko w krzaki.

Kobiety załamały ręce, a starzec zaczął kołysać się, demonstrując skrajną rozpacz.

— Nie udało się — usłyszałem głos Nicholsona.

— Udają — zaprotestował niepoprawny Matur. Nie wytrzymałem.

— Po co mieliby udawać? — syknąłem. — Sądzi pan, że wiedzą o naszej obecności i robią to wszystko specjalnie dla nas?

— Wszystko jest możliwe — zbagatelizował Matur.

Na tym musieliśmy zakończyć pierwsze spotkanie z dzikimi, bo od strony gór nieoczekiwanie napłynęła chmura i zaczął padać deszcz. Dzicy pośpiesznie uciekli do jaskini, a Tilwi Kumtaton srogo zganił żołnierzy, za to, że nie pomyśleli o parasolach ani namiocie, by ochronić gości przed kapryсами przyrody. Zaproponował nam szybki powrót do obozu, co też zrobiliśmy. Droga powrotna nie była łatwa, ale dzięki temu, że schodziliśmy w dół, dotarliśmy do namiotów szybciej niż szliśmy do jaskini. Do tego poganiały nas silne strugi deszczu.

Na szczęście żołnierze, którzy zostali w obozie, zdążyli do tego czasu rozstawić przywiezione przez nas namioty, więc mieliśmy gdzie się przebrać i wysuszyć. Byłem tak zmęczony, że ułożyłem się na nadmuchiwanym materacu i, choć tego wcale się nie spodziewałem, usnąłem rezygnując z obiadu. Spałem do wieczora.

Profesor Nicholson

Byłem nastawiony pesymistycznie i nie ukrywałem tego. Historia uczy, że tego typu oderwane od ludzkości grupy ludzi okazują się zupełnie bezbronne w zetknięciu z ogólnoswiatową cywilizacją. Jeśli nie wymrą w ciągu kilku miesięcy od ospy albo grypy, to nawet zwykły katar może okazać się dla nich śmiertelny. Jeśli zginęli liczni Tasmańczycy, jeśli przypomnimy sobie gorzki los mieszkańców Ameryki Południowej lub Filipin, to ligoński ewenement — historyczny nonsens — zniknie z powierzchni ziemi jak jętka jednodniówka. I cokolwiek by robili porwani naukowym zapałem nasi ligońscy koledzy, jakich by groźnych dokumentów nie podpisał rząd tego kraju, maksimum co mogą osiągnąć to odroczenie na rok śmierci tego mikroskopijnego społeczeństwa. I tak dotrą do nich turyści, handlarze opium albo właściciele jakiegoś jarmarcznego zoo. I znowu powtórzy się smutny i dobrze znany scenariusz. Ostatni przedstawiciel plemienia będzie dogorywał w jakiejś jarmarcznej budzie, pod jaskrawą wywieszką „Goły dzikus. Niezwykle niebezpieczny. Kobietom wstęp wzbroniony”. To wszystko już było...

Mój kolega Manguczok, wspaniały człowiek, którego pamiętam jeszcze z Oksfordu, gdzie robił u mnie doktorat, nadyma swoje i bez tego okrągłe policzki i twierdzi, że ci biedacy znajdą szczęście właśnie w Ligonie. Moim zdaniem jest to typowy błąd w rozumowaniu, charakterystyczny dla naszych byłych kolonii. Utożsamiają własną wolność z losem małych narodów. Jednakże zapominają o tym, że przeciwnikami Ligończyków czy Hindusów byli Anglicy — potężne cywilizowane imperium, które nie tylko czerpało korzyści z kolonii, ale i niemało im dawało. Dzisiaj rząd ligoński dba o to, by zapewnić wykształcenie dziesiątkom tysięcy młodych ludzi, zapominając o tym, że nadmiar adwokatów nie stworzy dodatkowych miejsc pracy i w rezultacie zwiększa tylko niezadowolenie.

Zadziwiająco jak oswobodzone narody przypisują sobie prawo do kierowania losem swych mniejszych braci, chociaż nie radzą sobie jeszcze same ze sobą. O ile kiedyś, sto lat temu, w podobnej sytuacji przyjeżdżał z Ligonu pryszczaty i wymęczony wywołaną przez ameby dyzenterią pan Jones, w towarzystwie umierającego z nudów i poczucia własnej wielkości anglikańskiego misjonarza, to teraz można oczekiwać, że majora zastąpi urzędnik z Tangi, a misjonarza — buddyjski mnich. A rezultat będzie taki sam. Opłakany.

— Co pan mówi, profesorze? — zapytał Manguczok.

Zamyśliłem się i zacząłem mamrotać do siebie — cecha niewybaczalna u uczonego, ale wybaczalna u starego sklerotyka, jakim, niestety, powoli się staję.

Powoli zaczął nadciągać wieczór i zrobiło się chłodno. Lubię świeże powietrze i morski wiatr. Polska młoda dama jak grzeczna uczennica zapisywała coś w notatniku. Szykuje się już do wygłaszania wykładów na swoim macierzystym uniwersytecie albo szkicuje artykuł do popularnego czasopisma. Cóż to za koszmar te popularne magazyny! Iluż uzdolnionych młodych uczonych

rozpuściły łatwymi pieniędzmi! Z namiotu dobiega chrapanie rosyjskiego grubasa. Z przerażeniem przekonałem się, że będę zmuszony dzielić z nim namiot i nie będę mógł porządnie się wyspać. Najwyraźniej robię się za stary na takie wycieczki. Z tęsknotą myślę o łazience w hotelu w Tangi. Trzeba by już zakończyć tę ekspedycję. I tak nie przeprowadzimy porządnych badań. Do tego potrzebne są miesiące pracy, przebywania wśród dzikich. Jesteśmy tutaj w roli gapiów, którzy przyszli popatrzeć na auto da fe. I tak nie dowiemy się nic o życiu skazańca. Jedyna droga ratunku to zostawić dzikich w spokoju. Zapomnieć. W końcu ich system mitów powtarza wszystko, co powstało w tych stronach tysiące lat temu, poziom ich kultury materialnej jest na tyle niski i banalny, że to samo można badać na Filipinach albo Malajach. Nic nowego... Ale nikt nie weźmie pod uwagę mojego zdania...

Skierowałem się ku szumiącej w dole rzece. Miałem ochotę pobyć w samotności. Nagle zrozumiałem, że od dawna jestem bardzo zmęczony. Jeżdżę na te wszystkie kongresy, latam samolotami, zasiadam w prezydiach nie dlatego, że mam na to ochotę, a dlatego że nic innego nie potrafię, nie mogę pokonać bezwładności i czepiam się pozorów życia, które już dawno dobiegło końca. W pewnym sensie też jestem oderwanym od świata dzikusiem, jak ci godni pożałowania mieszkańcy jaskini.

Nie wiem, jak daleko zaszedłem, ale musiałem się zatrzymać, bo drogę zagroziły mi gęsto rosnące tyczki bambusa. Przez kilka sekund stałem, tępo wpatrując się w zieloną ścianę, nie do końca wiedząc co robię i dlaczego tutaj stoję. Nagle zorientowałem się, że w krzakach ktoś jest. Przyjrzałem się. Ciemne ludzkie ciało przemknęło w półmroku i rozplynęło się wśród gałęzi. Zrozumiałem, że nie tylko my badamy dzikich, ale także oni badają nas.

Odwróciłem się i, potykając się o korzenie, poszedłem z powrotem. Nie odwracałem się i starałem się nie myśleć o tym, że w każdej chwili w moje plecy może wbić się dzida.

Anita Kraszewska

Obudziłam się wcześniej, dopiero zaczynało świtać. Jakiś nocny ptak krzyczał tak ogłuszająco, jakby ktoś walił pałką w wiszące na sznurku prześcieradło.

Spałam sama w namiocie — w naszym obozie nie było więcej kobiet. Zaczęłam rozmyślać o tym, że w domu leży rozpoczęta praca, którą trzeba skończyć w ciągu miesiąca, a potem, nie wiadomo dlaczego wyobraziłam sobie, że mama już wstała i hałasuje w kuchni garnkami. Zaraz zacznie warzyć młynek do kawy... Gdzie jestem? Wtedy, zupełnie blisko, ktoś zakaszał. Zdziwiłam się i wróciłam, do ligońskich gór. A przecież, jeśli dzicy wiedzą, że przylecieliśmy, mogą bez trudu przejść dwie miłe i wejść do namiotu. Zaraz odchyli się poła i wyjrzy straszna twarz. Dziwne, pomyślałam, nie odrywając wzroku od zasznurowanego wejścia do namiotu, dlaczego nigdy, podczas żadnej z ekspedycji, nie przyszła mi do głowy taka myśl. Czyżby zawiodły nerwy? A może w tych dzikich kryła się jakaś specjalna wrogość, szczególna dzikość, którą czułam przez skórę i której nie da się wyjaśnić? Jakby dzicy byli pierwotnymi ludźmi, którzy przybyli z czasów, gdy człowieka cywilizowanego jeszcze nie było...

Nie mogłam tak dłużej leżeć i czekać. Wstałam i starając się unikać zbędnych ruchów ubrałam się i ruszyłam w stronę wyjścia.

Nad obozem jak białe prześcieradło rozciągała się mgła znad rzeki. Las przypominał czarną, nieprzeniknioną ścianę. W obozie nie było żadnych dzikich. Okazało się, że kaszał żołnierz drzemiący koło gasnącego ogniska. Moją uwagę przyciągnął dziwny, przenikliwy dźwięk. Przysłuchiwałam się z minutę i dopiero po chwili zorientowałam się, że dochodzi z namiotu, w którym spali Nicholson i Wspólny. Któryś z nich chrapał. Po chwili zgadłam kto, bo Nicholson zawinięty w koc spał koło ogniska. Biedny profesor, uciekł z namiotu. Ten obraz od razu rozwiął wszystkie moje poranne, ponure myśli. Jesteśmy pod ochroną przystojnego majora. Za jakieś pięć dni będę z powrotem we Wrocławiu, wejdę na drugie piętro starego domu przy ulicy Mierniczej, a mój pies, Docent, zacznie szaleć za drzwiami, słysząc na schodach moje kroki.

Kucnęłam przy wejściu do namiotu zastanawiając się, czy wrócić i jeszcze pospać, czy lepiej wziąć latarkę i zabrać się za artykuł do „Dookoła świata” — obiecałam napisać coś dla nich prawie pół roku temu, ale w żaden sposób nie mogłam znaleźć czasu, a poza tym nie miałam ciekawego i sensacyjnego materiału.

Gdy tak rozmyślałam, poła namiotu stojącego najbliżej lasu poruszyła się. Aha, pomyślałam, jeszcze jeden przestraszony antropolog. Ale to nie był nikt z badaczy. Na polanę wyszedł dyrektor Matur. Miałam figlarny nastrój — widocznie tak odreagowywałam poranny strach. Miałam ochotę zawołać go i zapytać, czy nie pożyczyłby mi pistoletu, bo chcę zapolować na słońce.

Matur obejrzał się. Nasłuchiwał. Wyglądał srogo, a jednocześnie był przestraszony, doszłam więc do wniosku, że nie ma co przysparzać mu zmartwień. Nie zauważył mnie — siedziałam

nieruchomo. Lekko pochylony skierował się w stronę lasu. Pomyślałam: idzie w krzaki za potrzebą i strasznie boi się przy tym węży i tygrysów.

Zaszeleściły liście bambusa. Żołnierz obudził się, spojrzął w tamtą stronę i oczywiście niczego nie zobaczył. Już miałam wrócić do namiotu, ale zauważyłam, że jeszcze ktoś nie śpi. Był to major Kumtaton. Namioty wojskowe stały z drugiej strony polany, więc majora zauważyłam dopiero wtedy, gdy podszedł do ogniska.

Major dotknął ramienia żołnierza, a gdy ten podskoczył, zatrzymał go gestem i zapytał o coś po ligońsku. Żołnierz przecząco pokręcił głową. Major odszedł od ogniska i przez kilka sekund stał zamyślony. Potem ruszył nagle w stronę namiotu, w którym mieszkał Matur, odwinął połę i zajrzał do środka. Aha, pomyślałam, coś podejrzewa. Major wrócił do żołnierza, porozmawiali cicho przez chwilę i major ruszył do lasu, a żołnierz zaczął krążyć wokół ogniska spoglądając na namioty. Zrozumiałam, że zaraz mnie zauważy i może zacząć coś podejrzewać. Tak więc cichutko wczołgałam się do środka i położyłam się. Postanowiłam nie zapalać latarki i nie pisać artykułu. Nie mogłam zasnąć. Męczyła mnie pewna myśl, przecież gdy tylko domyśliłam się, że major wyruszył do lasu po Maturę, powinnam była go zatrzymać i uprzedzić, że Matur ma pistolet. Przecież major o tym nie wie.

Leżałam i czekałam nie wiadomo na co. Tak minęło pewnie pół godziny. Nikt nie wrócił. Słyszałam, jak powoli budzi się do życia las, jak zaczął śpiewać pierwszy ptak, widziałam jak zaczęło się rozjaśniać niebo i ściana namiotu zrobiła się błękitna. W końcu znowu wstałam, podeszłam do żołnierza i spróbowałam wytłumaczyć mu, że szukam porucznika. Obudził oficera, a ja mu powiedziałam, że Matur ma pistolet. Ten nie od razu zrozumiał o co chodzi — przecież nie widział jak Kumtaton opuszczał obóz. Ale gdy zrozumiał zaczął szybko i bardzo elokwentnie dyskutować na ten temat z wartownikiem. O mnie zapomnieli. Po jakichś dziesięciu minutach ruszyli razem do lasu w tym kierunku, gdzie znikł Kumtaton. A ja wyjęłam książkę i usiadłam w wejściu do namiotu, starając się czytać i cały czas żywiąc nadzieję, że niedługo obudzi się kucharz i przygotuje kawę.

Major Tilwi Kumtaton

Oczywiście nie podejrzewałem, że mój raport wywoła taką lawinę zdarzeń. Znajdując się w lesie nie czytałem gazet, nie wiedziałem więc o konferencji w Ligonie. Może gdybym wiedział i powiązał te fakty, nie śpieszyłbym się tak z raportem. W końcu dzikusi żyli w lesie od tysięcy lat, więc przeżyliby jeszcze dwa dni bez światowej sławy. Ale kiedy zorientowałem się, było już za późno. Gubernator poinformował o wszystkim stolicę, stamtąd zażądali mojej pomocy i tak oto znalazłem się na mównicy konferencji, gdzie wyglądałem raczej głupio.

Decyzja o wyprawie w góry nie była tak nieoczekiwana jak to się wydawało profesorom. Zanim jeszcze stanąłem przed mikrofonem, zatrzymał mnie minister oświaty i zaczął opowiadać o tym, jak ważny dla naszego małego kraju jest międzynarodowy prestiż. Okazało się, że w głowie ministra już zrodził się pomysł, by zawieźć profesorów do jaskini. Dalej wystarczył tylko leciutki impuls, by uczeni sami na to wpadli. Naukowcom zawsze należy pozostawić inicjatywę.

W niewielkim, ale różnorodnym towarzystwie, które wyruszyło w góry, wcześniej znałem dwie osoby — rosyjskiego doradcę do spraw kultury, Wspólnego, dobrego człowieka, który zadał sobie trud, by nauczyć się naszego języka. Drugim znajomym był dyrektor Matur, który w przeszłości sprawił mi niemało kłopotów. Niestety, zbyt późno dowiedziałem się, że odpowiada on za zaopatrzenie naszej ekspedycji, a gdy starałem się przekonać Ligon, że dam sobie radę bez niego, pouczoono mnie, że karmienie uczonych nie należy do moich kompetencji.

W Tangi posłałem człowieka, by go delikatnie śledził. Udało mu się dowiedzieć, że Matur spotykał się z jakimś Fan Mahonem, lokalnym tangijskim przemytnikiem i byłym bandytą, który odsiedział wyrok za przemyt opium, wyszedł z więzienia i jakoby prowadził spokojne życie. Ale miejscowa policja miała podstawy do podejrzeń, że Fan Mahon jest związany z kopalnią rubinów.

Starałem się, aby nie zauważono, że zwracam na Matura szczególną uwagę, ale od czasu do czasu czułem na sobie jego tchórzliwe spojrzenie. Byłem przekonany, że Matur wyruszył do doliny Prui z jakiegoś tajemniczego powodu. Czekałem, aż się zdradzi. Nie mógł się nie zdradzić...

O świcie obudziło mnie nieprzyjemne przecucie. W obozie było cicho. Tylko Wspólny chrapał monotonnie. Wartownik, jakże by inaczej, drzemał przy ognisku.

Ubrałem się, wyszedłem na polanę, niezauważenie podszedłem do niego i położyłem mu rękę na ramieniu. Żołnierz ucieszył się, że widzi mnie, a nie dzikusa.

Potem zajrzałem do namiotu Matura i od razu zorientowałem się, że Hindus mnie przechytrzył. Odszedł. Ale dokąd? Ten tchórzliwy grubas musiał mieć naprawdę ważny powód, by samemu, w nocy, wybrać się do lasu.

Iść w dół, do źródeł Prui, nie miał po co. Stąd przez kolejne trzydzieści mil ciągną się nieprzebyte zarośla, a rzeka płynie ściśnięta między wysokimi, stromymi brzegami. Zostaje droga w górę, do jaskini dzikich.

Tam właśnie pośpieszyłem.

Po godzinie dotarłem do urwiska nad rzeką, naprzeciwko jaskini. Było już całkiem jasno, mgła rozwiała się, wstawało słońce, ptaki dosłownie oszalały na jego powitanie. Spojrzałem na zegarek — wpół do ósmej. Niedługo obudzą się dzicy.

Uważnie obejrzałem polanę przez lornetkę, ale nie dostrzegłem żadnych śladów Matura.

Opadły mnie wątpliwości. Dlaczego pomyślałem, że poszedł akurat do jaskini? Być może gdzieś po drodze zszedł ku rzece. Tylko po co?

Byłem w rozterce. Pora była wracać do obozu i musiałem zrobić to niepostrzeżenie. Byłem niemalże pewien, że Matur wrócił i spokojnie siedzi w swoim namiocie.

Mam dobrze rozwinięty węch. Już miałem odejść, gdy poczułem jakiś nieprzyjemny zapach. Obcy w lesie. Nie od razu zorientowałem się, co to takiego. Rozejrzałem się. Gdy podniosłem się, zapach ginął. Przykucnąłem jak pies myśliwski. Dobrze chociaż, że nikt mnie nie widział w tej pozie. Rozgarnąłem trawę i od razu zauważyłem niedopałek śmierdzącego, taniego papierosa — skręta zwiniętego z liści kukurydzy. Coś takiego mógł palić tylko skąpiec Matur. A to znaczy, że był tutaj. I to niedawno. Cóż przyгнаło go do jaskini? Przecież nie pusta ciekawość...

Kucałem, obwąchując niedopałek, gdy z tyłu rozległ się cichy głos:

— Panie majorze, przyszedliśmy!

Byłem tak zaskoczony, że o mało nie spadłem z urwiska. Trzy kroki za mną stał mój porucznik z żołnierzem. Mimo wszystko zobaczyli swego ulubionego majora siedzącego w kucki.

— Co was tu przyniosło? — byłem zły. Nie dlatego, że opuścili obóz, ale dlatego, że zastali mnie w takiej pozie.

— Panie majorze — poinformował mnie z szacunkiem lejtnant — Matur ma pistolet i dlatego uznaliśmy za konieczne ochraniać pana.

— Skąd wam przyszło do głowy, że ma pistolet?

— Powiedziała nam młoda kobieta. Domyśliłem się, że mówi o Polce.

— A ona skąd wie? — W moim głoście nadal słychać było zdenerwowanie.

— Nie powiedziała nam. — Porucznik zawstydział się. Kierowała nim troska o dowódcę, ale — jak sam zauważył — przejawiała się ona w niezbyt mądry sposób.

Popatrzyłem na niedopałek papierosa, który trzymałem w ręce i podniosłem się.

— W każdym bądź razie — powiedziałem — nie wykorzystał go.

Tylko pistoletu mi tutaj brakowało, pomyślałem. A ta Polka mogła powiedzieć wcześniej. I w ogóle lepiej, by spała w nocy. Skąd się dowiedziała o broni?

— Może siedzi gdzieś w krzakach? — zapytał porucznik. — Zobaczył pana i schował się.

— To by nie był najgorszy wariant — powiedziałem. — Ale poważnie w to wątpię. Gdyby zobaczywszy mnie pobiegł z powrotem, na pewno byście go zobaczyli.

— Na pewno — powiedział żołnierz.

— Zawołajmy — zaproponował lejtnant. — Może odpowie. Spojrzałem na niego tak wymownie, że odpowiedział tylko:

— Przepraszam, nie pomyślałem.

— Ej! — zawołał żołnierz stłumionym głosem, wskazując drugi brzeg rzeki.

Obejrzałem się.

Z pewnym opóźnieniem zauważyłem, że do jaskini wchodzi jacyś ludzie. Jako ostatni szedł stary myśliwy.

Ale przed nim...

Nie zdążyłem porządnie się przyjrzeć, ale wydaje mi się, że ten człowiek był w ubraniu. A może tylko mi się wydawało? Nie mógłbym nawet powiedzieć co miał na sobie — w każdym razie coś małego. Jakiś skrawek odzieży, coś wyblakłego: kurtka albo... spodnie. Wiecie, jak to bywa: najpierw wydaje ci się, że nic nie zobaczyłeś, bo oczy nie są przygotowane na taki widok. Do jaskini powinni wchodzić tylko goli ludzie, goli, rozumiecie?

— Kto to był?

— Nie wiem, majorze — powiedział żołnierz. — Widziałem, że ktoś wchodzi.

— Wcześniej ich nie zauważyłeś?

— Patrzyłem na pana, majorze.

— W takim razie postaraj się skupić. Przypomnij sobie, co widziałeś.

— Wszedł... dziki... Z dzidą.

— Wszedł sam?

— Nie, co też pan! Nie sam.

— A kto z nim był?

— Inny dzikus.

— A jaki był?

— W spodniach — odpowiedział żołnierz.

— Czy był to dyrektor Matur? — wtrącił się porucznik.

— W żadnym wypadku — odpowiedział żołnierz. — Dyrektor Matur jest gruby i nosi czarną marynarkę. Poznałbym go.

— Czyli widziałeś, jak do jaskini wchodził ubrany człowiek? — nalegałem.

— Pewnie ukradli gdzieś spodnie — powiedział żołnierz, należący do tego gatunku ludzi, którzy nie wierzą w prawdziwych dzikusów, bo nigdy się z nimi nie zetknęli. I zakładają, że kryje się w tym jakiś przekręt. Albo że wyjaśnienie jest proste. Na przykład, skrajna bieda.

— Więc jesteś przekonany, że to nie był Matur?

— To nie mógł być nikt z naszych. To też był dziki — z przekonaniem powiedział żołnierz. — Tylko w spodniach.

Jeszcze raz popatrzyłem na jaskinię. Cisza. Może rzeczywiście któryś z dzikusów zdobył spodnie?

— Zjedli kogoś — teatralnym szeptem oznajmił porucznik — a wcześniej rozebrali.

Żołnierz wymacał palcami spust automatu. Nie chciał, żeby go zjedli. Reputacja dzikich stawała się z każdą chwilą coraz gorsza.

— Nie ma dowodów na to, że są ludożercami — powiedziałem zdecydowanie. I pomyślałem: nie ma też dowodów, że jest przeciwnie. Ale porucznik nie poddawał się.

— Ten Matur — powiedział — mógł im wpaść w łapy. Zjedzą go.

— Albo już zjedli — powiedział żołnierz, który jak się okazało podzielał wątpliwe poglądy porucznika. Do głowy nie przyszło mi nic innego jak powiedzieć:

— Są najedzeni. Wczoraj mieli dobrą zdobycz.

— Ryba! — żołnierz skrzywił się tak, jak gdyby nad jedzenie ryby przedkładał kanibalizm.

Nie odważyliśmy się krzyczeć. Mieliśmy wyraźne rozkazy — nie niepokoić dzikich, dopóki uczeni nie zakończą badań. Przeszukaliśmy wszystkie zarośla dookoła. A potem poszliśmy z powrotem, bo słońce podniosło się wyżej, dzicy wyleźli z jaskini i zaczęli obierać korzenie oraz

grzyby.

Pośpiesznie ruszyliśmy do obozu mając nadzieję, że Matur czeka tam na nas.

W obozie go nie było.

Aborygeni Australii

„...przed pojawieniem się Europejczyków Australijczycy prawie nie znali odzieży. Na przykład, w środkowej Australii ubranie ograniczało się u kobiet do fartuszka, który nie zawsze noszono, a u mężczyzn do przepaski z ludzkich włosów, do których przywiązywano perłowe muszelki... Znakiem przynależności do określonej grupy wiekowej lub totemicznej były nacięcia na ciele lub malowanie ciała podczas uroczystych obrzędów.

Kraje i narody świata. Australia i Oceania, Moskwa 1981

Jurij Sidorowicz Wspolny

Na tym etapie opowieści natknąłem się na poważny problem ze strukturą pracy. Oczywiście mógłbym trzymać się formalnego schematu, jak to obiecałem na pierwszych stronach tej pracy, to znaczy opowiadać o wydarzeniach tylko ustami ich uczestników. Ale żaden człowiek nie jest pozbawiony słabości. Im trudniejsza jest sytuacja, im bardziej złożone są okoliczności, tym mniej jest szczerzy.

Gdybym opublikował w tym miejscu wyjaśnienia dyrektora Matura, których udzielił kompetentnym organom, musiałbym do każdego zdania dodawać komentarz i wyjaśniać, jak i dlaczego Matur kłamie. A kłamie tak rozwlekłe, tak szczegółowo, jakby miał nadzieję wydać swe wspomnienia w piętnastu tomach jak Aleksander Dumas.

Jednakże czytelnik jest zainteresowany tym, by jak najszybciej dotrzeć do sedna sprawy i poznać tajemnicę gołego plemienia. Tak więc, zaczynając od tego momentu, we wszystkich miejscach, gdzie uznam to za konieczne, będę rezygnował z przekazu bezpośrednich świadków i sam opowiem o tym, co się działo. Tym bardziej, że mam do dyspozycji protokoły przesłuchań, zeznania postronnych osób i, oczywiście, własne obserwacje. Ale, powtarzam, nie dodam od siebie ani jednego zbędnego słowa i nie wymyślę ani jednego epizodu.

Zacznę od wydarzeń tego ranka, opowiem, jak ja je widziałem.

Obudziłem się, niestety, dość późno i zobaczyłem, że jestem sam w namiocie.

Słońce świeciło przez odsłoniętą połę, z zewnątrz dobiegały głosy. Miejsce mojego sąsiada z namiotu, profesora Nicholsona, było puste, nie było ani jego, ani jego śpiwora. Wtedy jeszcze nie domyśliłem się, że winne było moje chrapanie, które zmusiło profesora do ucieczki z namiotu w środku nocy i ułożenia się do snu na świeżym powietrzu. Profesor ani słowem, nawet najmniejszą aluzją, nie dał mi do zrozumienia, że jestem winien jego kłopotów. Dopiero kompletując materiały do książki dowiedziałem się o nieprzyjemnościach, które stały się udziałem profesora.

Wyszedłem na zewnątrz i nie zauważyłem niczego podejrzanego. Zająłem się poranną toaletą, a gdy doprowadziwszy się do porządku miałem właśnie podejść do zbitego naprędce stołu, na którym stała kawa, zobaczyłem jak z lasu wychodzi major Tilwi w towarzystwie młodego porucznika i jeszcze jednego żołnierza. Pomyślałem, że trudno jest im znaleźć czas na wykonywanie obowiązków zawodowych, bo spoczywa na ich barkach odpowiedzialność i za nas, i za dzikich.

Zdziwiła mnie reakcja Anity Kraszewskiej, która do tej nory stała koło stołu i spoglądała na widoczne zza liści wierzchołki gór.

Anita dosłownie rzuciła się na spotkanie Tilwiego. Jakby łączyła ich jakaś tajemnica. Czyżby poczuli do siebie sympatię? — pomyślałem i myśl ta, co dziwne, zasmuciła mnie.

Ściszywszy głos Tilwi zadał Anicie pytanie:

— Wrócił?

Przecząco pokręciła głową.

— Miałem nadzieję, że wróci — powiedział Tilwi.

— Czy coś się stało? — zapytał profesor Nicholson, goląc się.

Tilwi Kumtaton nie odpowiedział od razu. Najwyraźniej zastanawiał się, czy ma prawo dzielić się nowinami z uczonymi, dla których być może lepiej byłoby pozostać w niewiedzy. Potem jednak podjął decyzję i powiedział:

— Dzisiaj w nocy dyrektor Matur opuścił obóz. Nie znaleźliśmy go. Udało nam się tylko znaleźć miejsce, gdzie odpoczywał i palił papierosa. Naprzeciwko jaskini.

— Mogli go zeżreć, jeśli nie w porę wychylił nos — powiedział Nicholson i jakby nigdy nie kontynuował golenie.

Dowcipy tego człowieka nieco mnie denerwowały. Wyglądało na to, że życie nie skąpiło mu rozczarowań, z którymi nie potrafił się uporać jak przystało dumnemu człowiekowi i z tego powodu zrobił się zgorzkniały. Przypominał mi imperium brytyjskie — chwała minęła, ale nikt się nie chce do tego przyznać.

— To niemożliwe — powiedziałem — żeby Matur przeszedł dwie mile ciemnym lasem, przepłynął przez bystrą rzekę i poszedł do jaskini do ludzi pierwotnych. Jest na to zbyt tchórzliwy.

— A co by miał tam do roboty? — zapytał Manguczok, odrywając się od książki, którą czytał, siedząc przy ognisku.

Tilwi Kumtaton wzruszył ramionami. Moim zdaniem miał ochotę spytać o radę kogoś bardziej doświadczonego, ale duma i poczucie odpowiedzialności za ostatnie wydarzenia, nie pozwalały mu zwrócić się do nas.

I wtedy profesor Nicholson udzielił rady, która była sprzeczna z duchem naszej ekspedycji, ale na pewno nie była pozbawiona zdrowego rozsądku:

— Trzeba zajrzeć do jaskini i sprawdzić, czy znajdziemy tam jego białe kości.

— Ale zburzymy spokój pierwotnych ludzi — usłyszałem własny głos. — Możemy ich skrzywdzić.

— Tak czy siak ich skrzywdzimy — powiedział Nicholson. — Jestem przekonany, że wiedzą o naszej obecności. Byłoby dziwne, gdyby myśliwi i tropiciele nie usłyszeli hałasu, jaki robimy tak blisko ich kryjówek.

— Dlaczego tak pan sądzi? — zapytał Manguczok.

— Wczoraj wieczorem widziałem w krzakach, o tam, ciemną sylwetkę. Jestem przekonany, że nie tylko my ich obserwujemy, ale i im nie jest obca ciekawość. Całkiem możliwe, że kiedy wasz nieostrożny przyjaciel zbliżył się do jaskini, dzicy zobaczyli, że jest sam i postanowili rozebrać go na kawałki i sprawdzić, z czego jest zrobiony. Jestem przekonany, że jeśli teraz pójdziemy do jaskini, to okaże się, że jeden z dzikich paraduje już w marynarce, drugi w dhoti, a trzeciemu dostały się buty i kalesony.

— Co pan mówi! — z przerażeniem krzyknęła Anita.

— Mówię tylko, że dla ludzi typowa jest ciekawość — powiedział Nicholson, wycierając twarz rękawkiem — a ciekawość czasem przybiera niszczycielską formę.

— Nasza ciekawość jest nie mniej niszczycielska — zaprotestował Manguczok.

— Jest fatalna.

— Czy to znaczy, że nie należy jej powstrzymać?

— W żadnym wypadku. Nasza ciekawość jest lepsza niż ciekawość handlarza. Gdyby Matur miał pistolet, okazałby swą ciekawość w formie tragicznej dla dzikich.

— On ma pistolet! — krzyknęła Anita.

Ale, ku memu zdziwieniu, wszyscy zareagowali spokojnie na jej słowa.

— To znaczy — powiedział Nicholson — że albo nie zdążył, albo nie odważył się go użyć.

— Dość tego, panowie uczeni! — twardo powiedział Tilwi. — Tak możemy dyskutować do wieczora. Potrzebuję waszej rady. Czy mamy prawo wejść do jaskini i sprawdzić, czy znajduje się tam Matur, czy może uważacie, że nie powinniśmy tego robić.

Tilwi zamilkł, patrząc na nas. Chwila była pełna napięcia. Myśli nerwowo kołatały mi się w głowie. Ale wiedziałem, że mogę powiedzieć tylko jedno: musimy iść szukać Matura. Tak właśnie powiedziałem. I powiedziałem to jako pierwszy, bo byłem najmłodszy rangą.

Być może niektórym z nas nie podobał się Matur, a powód wizyty w jaskini wydawał się dyskusyjny, ale jeśli boimy się o jego życie, to musimy go znaleźć.

— Z drugiej strony — powiedziała Anita Kraszewska — powinniśmy pamiętać także o niebezpieczeństwie grożącym pierwotnym ludziom. Wiem na pewno, że Matur ma pistolet. Jeśli pistolet zostanie w jego rękach, może stanowić zagrożenie dla mieszkańców jaskini. Jeśli zabrali mu go, to zagrożeni są zarówno oni, jak i Matur.

— Znacie moje zdanie — powiedział Nicholson. — I tak dzikim nie uda się uciec od cywilizacji. A to znaczy, że trzeba tam iść.

W tym momencie wszyscy odwrócili się w stronę Manguczoka. Był tutejszym, najbardziej znanym w Ligonie uczony. W pewien sposób odpowiadał za bezpieczeństwo gołego plemienia.

— Tylko nie trzeba od razu wchodzić do jaskini — powiedział. — Spróbujemy najpierw nawiązać jakiś kontakt z tymi ludźmi.

Ktoś musiał znaleźć wyjście z sytuacji, bo każda minuta opóźnienia mogła grozić śmiercią dyrektora Matura.

I wtedy znalazłem proste, niemalże genialne rozwiązanie, które w efekcie pomogło nam rozwiązać ważną antropologiczną zagadkę.

— Jeżeli nie możemy pójść do dzikich jako cywilizowani ludzie — powiedziałem — nie napędzając im przy tym śmiertelnego strachu, to znaczy, że powinien wybrać się do nich goły człowiek, którego się nie przestraszą.

Nikt nie odpowiedział na moją propozycję. Ale nikt też się nie roześmiał. Paradoksalnie, moja propozycja była zrozumiała dla wszystkich kierujących się zdrowym rozsądkiem.

— Jeśli potrzebny jest ochotnik — dodałem — proszę rozpatrzyć moją kandydaturę.

Dopiero wtedy odezwała się Anita Kraszewska:

— Pan oszalał!

Prawdziwe przygody dyrektora Matura

Jeśli wyrzucimy do kosza tomy fałszywych zeznań złożonych w śledztwie przez dyrektora Matura oraz stronice bzdur, które poświęcił swym przygodom w książce opublikowanej przez niego w Kalkucie, to okaże się, że tak naprawdę sam był sobie winien.

Oczywiście, szacowny Szalejezwami, dla którego pracował Matur, nie niepokoił się wcale o los swego przyjaciela, ale o partię rubinów, które kurier powinien był dostarczyć z kopalni w Moszi. Zaufani ludzie skupowali od poszukiwaczy rubiny, a potem kurier wiózł niewielki woreczek z cenną zdobyczą do Tangi, skąd najlepsze kamienie wysyłano do Ligonu, a pozostałe szlifowano na miejscu — w Tangi bywają turyści z Europy i Ameryki, a także Japończycy, wśród których rubiny są bardzo popularne.

Kurier jedzie sam, bez ochrony, uzbrojony tylko w pistolet, bo dzikie góry na północy Ligonu, sąsiadujące ze znanym na całym świecie „złotym trójkątem” — miejscem uprawy maku — wcale nie są takie dzikie. Tam każdy zajmuje się własnymi sprawami. Lewicowi ekstremiści ciągną ku chińskiej granicy, gdzie chowają się, gdy armia depcze im po piętach i skąd wracają wraz z końcem pory deszczowej, gdy zaczyna się pora walk. Niedobitki 4. Armii Kuomintangu stacjonują na granicy ligońsko–birmańskiej — kontrolują tam obszar około stu mil kwadratowych, tak zwane Wolne Chiny. W sąsiednich dolinach władają miejscowi książęta i wodzowie plemion, żyjący zgodnie z prawami ustanowionymi tysiące lat temu. Poza tym chodzą tamtędy przemytnicy z przeróżnych krajów. Wszyscy oni zajmują się przemytem narkotyków albo zdzierają haracz za prawo przejścia przez ich terytorium. Gdyby w tym świecie nie panował porządek, konkurenci dawno już by się pozabijali nawzajem. A tak, wszyscy żyją, wszyscy mają zyski, a giną tylko postronni — takie życie wymaga od sąsiadów z leśnych drózek zdolności dyplomatycznych.

Kurier pana Szalejezwami szedł przez dolinę Githan. Znikł w dolinie Prui. Nie pojawił się w Tangi.

Oczywiście, w głuchym lesie może się wszystko zdarzyć — ostały się tu nawet tygrysy i leopardy. Dwa lata temu widziano czarnego nosorożca. W głuchym lesie można spotkać ludzi nie przestrzegających reguł. I w końcu, kuriera mogli złapać żołnierze, którzy akurat w tym tygodniu zaczęli patrolowanie doliny Prui.

Wszystko to jest możliwe, ale niezbyt prawdopodobne.

Gdy tylko stało się jasne, że kurier przepadł, pan Szalejezwami nawiązał kontakt z Tangi i chciał wysłać człowieka na poszukiwania kuriera. Ale człowiek ten odpowiedział, że jest to niemożliwe, dopóki wojsko nie opuści doliny.

I tu, jak na złość, pojawili się goli ludzie!

Co ich przyniosło w te strony? Jak to się stało, że nikt ich dotąd nie widział? W jakiej jaskini się chowali?

Pan Szalejezwami niemal oszalał ze złości, gdy dowiedział się, że rząd postanowił wysłać do doliny zgraję cudzoziemców pod ochroną armii. Tak oto dolina stawała się niedostępna jeszcze przez kilka dni.

I gdy tak pan Szalejezwami rozwaliał zdobyte ciężką pracą meble i tłukł bambusową pałką swe wierne i niewierne żony, przypominał sobie, że ma na konferencji swojego człowieka — dyrektora Matura. Stary cwaniak, zbankrutował po nieudanych machinacjach, sprzedałby za rupię własnego ojca, któremu jednak na szczęście udało się zejść z tego świata w sposób naturalny.

Tak więc, mimo że tchórzliwy jak zając Matur opierał się z całych sił, udało się go zagnać do grupy wybierającej się do doliny i nakazano mu, by przy pierwszej nadarzającej się okazji przedostał się do znajdującej się tam jaskini, w której zawsze zatrzymywał się kurier i w drodze do której był widziany po raz ostatni przez wieśniaków z plemienia Fonów.

Matura trzeba było lekko nastraszyć, grożąc, że jeśli będzie nieposłuszny policja dowie się o jego sprawkach, a jednocześnie przekupić, obiecując pięć tysięcy, jeśli woreczek z rubinami dotrze do Ligonu.

Matur rozumiał, że nie ma wyjścia. W Tangi spotkał się z przedstawicielem Szalejezwami, który wręczył mu mapę z zaznaczoną jaskinią oraz pistolet, czym śmiertelnie Matura wystraszył.

Poddając się woli Szalejezwami, Matur już drugiej nocny wyruszył do lasu i nie wrócił.

Dopiero po kilku tygodniach stało się jasne, dlaczego wyprawa Matura zakończyła się niepowodzeniem.

* * *

Dyrektor Matur w swoich notatkach i wywiadach, których udziela z przyjemnością, przedstawia się nam, jeśli nie jako bezinteresowna ofiara okoliczności, co mu najbardziej odpowiada, to przynajmniej jako bezsilny wykonawca woli wielkich tego świata.

Nie trzeba w to wierzyć.

Gdy tylko okoliczności na to pozwalają, Matur natychmiast pokazuje pazury i jest gotów pożreć każdego, kto jest od niego słabszy.

Tak było i w historii z gołymi ludźmi.

Początkowo Matur utrzymywał, że chciał tylko wyświadczyć przyjacielską przysługę panu Szalejezwami. Potem, gdy stało się jasne, że z braku przyjaźni o żadnej przyjacielskiej przysłudze mowy być nie może, zaczął twierdzić, że Szalejezwami go zastraszył.

To prawda, że Szalejezwami nastraszył Matura. Tyle, ile mógł— Ale ważniejsza była obietnica szczodrej nagrody, a najważniejsza — nadzieja Matura, że uda mu się nachapać na boku. Innymi słowy, Matur sądził, że w przypadku śmierci kuriera uda mu się zabrać część rubinów, bo nikt nie będzie w stanie ustalić, ile ich było w woreczku na początku.

Bez tej nadziei Matur za nic na świecie nie poszedłby w nocy do dżungli, w paszczę krokodyli i tygrysów, pod kule przemytników lub komunistów. Powiedzmy tak: kierowała nim troska o przeszłość jego licznej rodziny.

Najpierw Matur szedł ścieżką wydeptaną przez żołnierzy, którą za dnia chodzili uczeni. W ten

sposób dotarł do miejsca naprzeciwko dużej jaskini, zajętej przez plemię dzikich. Odpoczął tam, wypalił taniego papierosa i, przekonawszy się, że nikt go nie śledzi, ruszył dalej.

Matura interesowała zupełnie inna jaskinia. W tym rejonie, na długości kilku kilometrów, strome brzegi Prui są pełne jaskiń, szczelin i zagłębień, tutaj od wieków skrywali się dzicy, dzikie zwierzęta i pustelnicy. W naszych czasach dzicy zajmują się badaniem karabinu maszynowego albo zakładają plantacje maku, dzikie zwierzęta prawie całkiem wyginęły, nawet w takich miejscach jak dolina Prui, a ostatni pustelnik umarł tu trzysta lat temu. Oczywiście, jeśli nie brać pod uwagę starszego sierżanta Sato.

Noc była księżycowa, a do tego Matur miał latarkę, a na szczegółowej mapie, którą wręczył mu łącznik w Tangi, zaznaczono zejście nad rzekę, prowadzące ku niewielkiej jaskini, oddalonej o dwa kilometry w górę rzeki od tej, w której mieszkali goli dzikusci.

Nie można powiedzieć, że Matur się nie bał. Bał się okropnie, kilka razy słysząc podejrzany hałas wyciągał przed siebie pistolet i kuczał za najbliższym pnem drzewa. Każde stworzenie, które odważyłoby się pokazać w takiej chwili grubemu dyrektorowi, czekałby oplakany koniec — ze strachu na pewno poczęstowałby je kilkoma kulami.

Ale powrót oznaczałby pożegnanie z nadzieją na zysk. Poza tym z każdym krokiem Matur oddalał się od obozu.

W nocy drugi brzeg wydawał się całkiem bliski, a ciemne plamy zagłębień i pęknięć wyglądały jak oczy potwora śledzącego biednego Matura.

Dyrektor Matur miał ogromną ochotę zapalić latarkę, ale nie odważył się. Światło byłoby widoczne z daleka.

Na pewno minęły już co najmniej trzy godziny od czasu, gdy Matur opuścił obóz.

I oto w końcu, jeśli tylko nie pomylił się ze zmęczenia i strachu, ma przed sobą zejście do szumiącej w dole rzeki.

Musiał zapalić latarkę — księżyc skrył się za pasmem gór, zrobiło się całkiem ciemno. Latarka oświetlała tylko niewielki skrawek ziemi pod nogami i trudno było zgadnąć co jest dalej — urwisko czy schodek, na którym można postawić trzęsącą się z napięcia i zmęczenia nogę.

Maturowi wydawało się, że zejście nad rzekę trwa dłużej niż wędrówka z obozu. I gdy w końcu dotarł do pokrytego żwirem dna doliny, nogi nie chciały dłużej nieść tłustego cielska, więc Matur przysiadł na chwilę na kamieniu, dziękując niebiosom za litość — szczęśliwe zakończenie drogi, a jednocześnie drżąc ze strachu na myśl o tym, co go jeszcze czeka.

Zszedł w dobrym miejscu — rzeka szeroko rozlewała się na dnie doliny, wystawały z niej okrągłe kamienie, które, jak słusznie domyślał się Matur, dosłownie w ciągu kilku minut skryją się pod spienioną wodą, gdy tylko zacznie padać deszcz. A pora deszczowa właśnie się zaczynała i nie można było wykluczyć, że przeszedłszy na drugi brzeg Matur nie będzie w stanie wrócić.

Przestraszony na śmierć Matur uniósł dhoti, żeby go nie zamoczyć, przeszedł po kamieniach na drugą stronę i zaczął wdrapywać się do jaskini, chwytając się za nieliczne krzaki, które, jak się okazało, były bardzo kłujące.

Wspinaczka była znacznie trudniejsza od drogi w dół. Nogi ześlizgiwały się ze stromego stoku, kamienie spadały w dół i z głośnym chlupaniem wpadały do wody, serce chciało wyskoczyć z piersi — każdy krzak wyglądał jak czarny człowiek... I wtedy Matur go zobaczył.

Stał na drodze Matura, nieco wyżej, z boku i nachyliwszy w bok niewielką głowę uwieńczoną hełmem przyglądał się swej ofierze.

Nawet nocne ptaki, nawet cykady zamilkły, a Matur przestał oddychać, serce zatrzymało się...

Biały wojownik — straszny duch ligońskich gór — wyszedł nieszczęsnego podróżnika, a to znaczy, że nadeszła śmierć!

Dawno, dawno temu, chyba w trzynastym wieku, Tajowie otoczyli ówczesną stolicę Ligonu — Rawannapuru. W tym czasie król wraz z wojskiem walczył z góralami tam, gdzie teraz stoi Tangi. Stolica broniła się ostatkiem sił, obroną dowodziła odważna Rami — siostra króla Kasunczoka II, a głównej wieży bronił syn Rami, siostrzeniec króla, Futan. Gdy stało się jasne, że miasta nie da się dłużej utrzymać, Rami wezwała do siebie ukochanego syna i nakazała mu udać się do króla i wezwać go na pomoc.

Dwie doby Futan jechał na swym białym koniu, w końcu wierzchowiec osłabł. Wtedy Futan rozsiadł go i puścił wolno, a sam ułożył się pod drzewem, by przespać się, póki koń odpoczywa.

Koń tymczasem ruszył brzegiem rzeki Prui i trafił do ludzi! Okazało się, że Futan spał o kilka tysięcy łokci od obozu wuja.

Wojownicy donieśli królowi, że do obozu przybiegł biały koń Futana — królowie zazwyczaj znają wszystkie konie na swym dworze. Pomyślał, że siostrzeńca zabito. Od razu posłał wojowników, by przeszukali okolice obozu i w ciągu pół godziny doniesiono mu, że księżę Futan śpi niedaleko pod drzewem.

Król sam obudził siostrzeńca i zapytał:

— Co cię tutaj sprowadza?

Futan opowiedział wujowi, że stolica padnie lada moment.

Króla opanował straszny gniew.

— Jak to?! — krzyknął. — Jak śmiesz spać koło mojego obozu, gdy stolica jest w niebezpieczeństwie?

Księżę starał się wyjaśnić, że koń nie miał już sił, ale król oczywiście nie słuchał go i przebił pierś księcia ostrą kopią.

Król wrócił do stolicy, zabił wszystkich Tajów, a po dwóch dniach został otruty podczas uczty przez matkę niesłusznie zabitego księcia — odważną Rami. Po otruciu brata zajęła tron i szlachetnie rządziła krajem przez następne siedem lat, dopóki sama nie zginęła z ręki swego faworyta.

A strasznie i niesprawiedliwie zamordowany księżę Futan zamienił się w złego ducha. Strzeże górskich dolin i broni Ligonu przed obcymi. Jeśli spotka go podróżnik, to księżę, ubrany w biały płaszcz i wysoki hełm, natychmiast go zabija.

Nie ma się więc co dziwić, że na widok księcia Matur zaczął spelzać na brzuchu w dół i rozpaczliwie krzyczeć:

— Oszczędź mnie księżę! Jestem tylko spokojnym handlarzem!

Księżę nie ruszał się.

Matur zsunął się na samo dno doliny. Księżę był stąd ledwie widoczny, bo zasłaniały go krzaki.

Matur usiadł na brzegu rzeki i zauważył, że woda podniosła się — widocznie u źródeł padał deszcz.

Co robić? Wrócić na drugą stronę rzeki, która stawała się coraz bardziej wzburzona, czy iść naprzód, gdzie czekał na niego księżę?

Woda popychała Matura ku stromemu brzegowi doliny.

Musiał wspiąć się kilka stóp w górę, po stoku...

I wtedy przypomniał sobie wypowiedziane w Tangi słowa łącznika: „Gdy przejdiesz przez

rzekę i dojdiesz do połowy zbrocza, zobaczysz malutką, białą stupę, postawioną tam diabli wiedzą kiedy i pobieloną przez któregoś z miejscowych dzikusów. Za tą budowlą znajdziesz jaskinię”.

Gdy tylko Matur przypomniał sobie te słowa, jakby pchany niewidzialną ręką ruszył do góry, w stronę Futana. Po minucie stał obok białej pagody wysokością równą z człowiekiem, podobnej do dziecięcej piramidki z krążków — coraz mniejsze i mniejsze i mniejsze, a na czubku malutka parasolka... Nie hełm wojownika a malutka, pozłożona parasolka.

Matur powoli obszedł stupę dookoła i nawet poklepał ją po ciepłym boku, nagrzanym podczas upalnego dnia. Jakiś pielgrzym przywiązał do parasolki białe i czerwone wstążki — dar dla duchów gór.

Dalej podejście do tajnej jaskini nie było już tak strome, jak na poziomie rzeki i Matur starał się nawet pogwizdywać — oczywiście sapał ciężko i serce waliło mu jak oszalałe, ale radość spowodowana zniknięciem zagrożenia napełniła ciało szczęściem.

Na prawo... jeszcze bardziej na prawo — oto i szczelina usytuowana tak, że jaskinia jest niewidoczna dla patrzących z drugiej strony doliny. Matur zapalił latarkę — tutaj nikt go nie zobaczy.

Wachlarzowaty promień szybko omiółł wnętrze jaskini. Dno było płaskie i ubite. Już w czasach prehistorycznych ukrywali się tu ludzie, a gdy stąd odchodzili, jaskinię zajmowały niedźwiedzie.

Matur, jeszcze zanim zobaczył ubrany w moro trup człowieka, poczuł ciężki, dławiący zapach rozkładającego się ciała.

W jaskini bez wątpienia leżał kurier Szalejezwami, od dawna był martwy.

Marszcząc się i z trudem powstrzymując mdłości Matur mimo wszystko przeszukał kieszenie munduru, obmacał rozdętego trupa, a gdy nie znalazł woreczka z rubinami, zdjął z trupa niewielki plecak i przeniósł go do wyjścia z jaskini bo czuł, że jeszcze chwila i zwymiotuje.

Plecak także był prawie pusty, jeśli nie liczyć zaszuszonej drożdżówki i koszuli. Kurier chodził na szlak bez dokumentów.

Matur wiedział już, że kurier został uderzony w tył głowy — pewnie kijem albo kamieniem. Zabójca pożałował kuli albo nie odważył się strzelać. Zabójca wiedział, gdzie zacząć się na kuriera i czego szukać...

Tym razem Matur schodził ku rzece ostrożnie, starając się nie hałasować, chociaż nie miało to znaczenia — morderca raczej nie siedział w jaskini od tygodnia.

Matur był w okropnym humorze — kurier miał lepiej niż on. Rozliczył się już z tego życia i czeka na ponowne narodziny, podczas gdy nieszczęsny Matur musi jeszcze odpowiedzieć przed Szalejezwami.

Nogi bolały tak, że Matur przysiadł na brzegu rzeki, przez jakiś czas słuchał szumu wody i w żaden sposób nie mógł wpaść na pomysł, co robić dalej. Potem pomyślał, że kuriera najprawdopodobniej zabili goli ludzie. A potem zabrali kamyczki bo, jak wszyscy dzicy, lubią świecidełka. Maturowi przyszedł nawet do głowy pomysł: a może by tak pójść brzegiem do ich jaskini, wejść do środka i zażądać od dzikusów oddania kamieni? Ale zrezygnował z tego planu, bo jeśli dzicy zabili kuriera, to nic nie powstrzyma ich przed zabiciem Matura.

Był w beznadziejnej sytuacji.

Pogorszył ją jeszcze fakt, że w ciągu ostatniej godziny poziom wody podniósł się co najmniej o metr i o ile na ten brzeg Matur dostał się przeskakując z kamienia na kamień, to teraz musiałby wracać pontonem, chociaż i on nie utrzymałby się długo na rwącej rzece.

Trzeba będzie wracać prawym brzegiem!

Droga ta doprowadzi go do dużej jaskini, w której mieszkają dzicy. Ten plan jest do niczego, ale oczekiwanie na brzegu aż obniży się poziom wody też jest niebezpieczne. Przecież deszcze mogą ciągnąć się przez miesiąc, tym bardziej, że to pora monsunowa. A to znaczy, że została tylko droga wzdłuż doliny, gdzie poniżej kryjówki dzikich przerzucono przez rzekę niewielki mostek, taki jaki wyplatają Fonowie i wieszają na swoich myśliwskich i handlowych szlakach.

Środkiem zbocza biegła ścieżka, wydeptana albo przez zwierzęta, albo przez myśliwych. Była jako tako widoczna, więc droga nie powinna być trudna. Ale Matur był już strasznie zmęczony.

Nie mógł poruszać nogami.

Obliczył, że dotarł już do jaskini dzikusów — powinna znajdować się jakieś sto jardów nad jego głową. Nie, nie wejdzie tam i nie zażąda rubinów, marzy tylko o jednym — chce wrócić żywy do obozu.

Ledwie przestawiając nogi Matur człapał wzdłuż brzegu.

Nagle wydało mu się, że z tyłu coś szeleści w krzakach. Matur znieruchomiał, zaczął nasłuchiwać, bo strasznie bał się drapieżników.

Stał i słuchał.

Ale nic nie usłyszał, bo ktoś, kto podkradł się całkiem blisko, uderzył go pałką po głowie.

I tak, nie wiedząc co się z nim dzieje, Matur upadł na ziemię, twarzą do ziemi.

Jurij Sidorowicz Wspólny

Niestety, major Tilwi Kumtaton nie zechciał powierzyć mi misji uwolnienia Matura. Wiem, że miał całkowitą rację — nie miał prawa narażać na niebezpieczeństwo życia uczonych.

— Po pierwsze — oznajmił major — nie mam obowiązku ratować handlarza, który nie wiadomo jak dostał się do naszej grupy. A po drugie, jeśli nawet zarządzymy jakieś poszukiwania, to przeprowadzą je żołnierze.

Nie, nie obraziłem się. Wszystko zrozumiałem.

Major spokojnie zaprosił nas na śniadanie.

Śniadanie rozpoczęliśmy w milczeniu. Cokolwiek by mówić, wszyscy niepokoił się o los tego człowieka, jeśli nawet nie należał do międzynarodowej społeczności uczonych.

Anita nie wytrzymała i zapytała:

— Czy rzeczywiście nie podejmie pan żadnych działań, majorze?

Major nie zdążył odpowiedzieć, gdy zaczął mówić ponury, podobny do modliszki profesor Nicholson:

— Niestety, nasz eksperyment zakończył się, zanim zdążył się na dobre rozpocząć. Zostaliśmy pozbawieni możliwości obserwowania tych nieszczęsnych dzieci przyrody chociażby dlatego, że teraz wiedzą już, że nie są sami w dolinie. Co więcej, podejrzewam, że wiedzieli o tym jeszcze przed spotkaniem z Maturem.

— Ale przecież mógł zginąć z zupełnie innego powodu — powiedział profesor Manguczok.

— Nie sądzę, by rozszarpał go tygrys — myślę, że wszystkie tygrysy w promieni stu mil dawno już pouciekały. Ale jeśli wpadł w łapy takich samych jak on awanturników — odpowiedział Nicholson — to znaczy, że nasza dolina nie jest wcale takim znowu spokojnym miejscem. I dzicy nie po raz pierwszy widzą współczesnego człowieka.

— Nikt nie chce zaakceptować mojego prostego wyjaśnienia — sprzeciwiła się Anita. — Załóżmy, że wpadł w ręce dzikich. To nieszczęsne, wystraszone stworzenia. Mają inne pojęcie na temat wagi ludzkiego życia. Jesteście etnografami, nie muszę wam tego wyjaśniać.

W odpowiedzi na zdziwione spojrzenie majora, Manguczok wytłumaczył:

— Panna Kraszewska ma na myśli rytualny kanibalizm, ale sądzę, że to tłumaczenie pozbawione jest jakichkolwiek podstaw.

Przebiegły mnie ciarki! W naszych czasach, gdy na świecie buduje się cywilizowane społeczeństwa, gdy w niebo wzbijają się statki kosmiczne, nie mamy prawa podejrzewać mniej rozwiniętych narodów o ludożerstwo.

Natychmiast wypowiedziałem się w takim tonie i musiałam wysłuchać zjadliwej odpowiedzi profesora Nicholsona.

— Myślę, że popełnił pan błąd, nie pozwalając panu Wspólnemu wyruszyć nago do jaskini.

Przecież dyrektora Matura starczyło co najwyżej na główne danie, a słodkiego deseru dzicy już nie dostali.

W tym momencie pojawił się żołnierz, który, o ile dobrze zrozumiałem, trzymał wartę naprzeciwko jaskini i zameldował majorowi o sytuacji. Zamilkliśmy wszyscy, czekając co powie Tilwi.

— W ciągu ostatnich godzin — zwrócił się do nas Kumtaton — nikt nie wchodził i nie wychodził z jaskini. Zazwyczaj rankiem myśliwi wyruszają do lasu, a kobiety szykują jedzenie przy wejściu do jaskini. Plemię odeszło.

— Kiedy? — krzyknąłem.

— Możliwe, że rankiem. Zanim wystawiliśmy wartę.

— A co z Maturem? — krzyknęła Kraszewska.

— Tego się zaraz dowiemy — oznajmił major. — Pójdę tam z żołnierzami i sprawdzimy jaskinię.

— Pójdziemy z wami — powiedział Manguczok — będziemy obserwować z daleka.

Major kiwnął głową.

W rezultacie zaraz po śniadaniu zaczęliśmy szykować się do drogi.

Niektórzy myśleli, że wystarczy wezwać helikopter i polecieć nim do jaskini, a potem pozwolić żołnierzom wziąć ją szturmem. Ale wariant ten, zaproponowany przez majora, został odrzucony przez pozostałych, bo mimo wszystko mieliśmy nadzieję, że Matura nie ma w jaskini. W takim przypadku atakowanie dzikusów byłoby okrucieństwem.

Jako że rzeka wezbrała i nie dało się jej przejść w bród, ruszyliśmy ścieżką w dół, w stronę wiszącego mostka, a od niego w górę, z biegiem Prui, ku jaskini.

Łatwo powiedzieć — ruszyliśmy. W pobliże jaskini przypełziliśmy — nie jestem w stanie znaleźć innego, pasującego słowa — koło drugiej, robiąc przy tym tyle hałasu, jakby przez zarośla przedzierało się stado słoń. A przecież do jaskini wyruszyli nie wszyscy członkowie ekspedycji — na przykład profesor Nicholson został w obozie, bo uznał, że ratowanie Matura wykracza poza zakres jego zainteresowań naukowych. Został z nim kucharz i dwóch żołnierzy.

Tak więc, z krzaków ciągnących się prawie do samej jaskini, ciężko dysząc, obserwowało wejście do jaskini trzech etnografów, w tym nasz uniżony sługa, major Tilwi Kumtaton i dwóch żołnierzy.

Siedzieliśmy we trzech w krzakach, aż całkiem zeżarły nas ślepaki i inne, nieznane mi, gryzące muchy, ale wejście do jaskini było ciche.

Popatrzyłem na zegarek. Z ogromnym zdziwieniem zobaczyłem, że poświęciliśmy na oczekiwanie raptem dziesięć minut. Oto jak subiektywnie człowiek odbiera upływ czasu! A przecież na rozkosznej, miłosnej schadzce godziny zamieniają się w sekundy.

— Idziemy — niezbyt głośno powiedział Tilwi Kumtaton.

Dał sygnał żołnierzowi, który ruszył przodem, trzymając przed sobą automat, za nim szedł sam major, potem Anita, która kategorycznie odmówiła zostania w obozie, profesor Manguczok i ja. Z tyłu procesję zamykał drugi żołnierz, a mówiąc szczerze raczej żołnierz — był mały i strachliwy, przypominał mysz uzbrojoną w broń przeciwczołgową.

Stałem na kamiennym nawisie, osłaniającym część placu przed jaskinią. Było tu nieco chłodniej niż w krzakach, ale za to w nozdrza uderzył mnie nieprzyjemny zapach zepsutego jedzenia. Zorientowałem się, że pochodzi z wałających się na wydeptanym placu rybich łusek i wnętrzności,

kłaków sierści i ogryzionych kości. Z zimnego popiołu ogniska patrzyła na mnie martwymi oczami, wciąż pokryta sierścią głowa jelenia.

Pośpiesznie ominąłem nieprzyjemne miejsce z nadzieją, że wewnątrz jaskini będzie lepiej. Ale okazało się, że jest całkiem inaczej.

...Staliśmy w dużym pomieszczeniu, dobrze oświetlonym przez światło wpadające szerokim wejściem, przez które weszliśmy. Sufit znajdował się dość nisko — tworzyła go lita skała, znajdująca się na wysokości jakichś trzech metrów, stopniowo obniżająca się w dalszych częściach jaskini. Pomieszczenie ciągnęło się w obie strony jak pusty worek. Rozmiarami można by go przyrównać do boiska do koszykówki. Podłoże było płaskie, ale nierówne, gdzieniegdzie widać była wzniesienia i nierówności, dalej, z prawej strony były bardziej wyraźne, stamtąd dochodził nieprzyjemny zapach. A po reakcji Anity zorientowałem się, że właśnie tam nadzy ludzie urządzili sobie toaletę.

Minęliśmy to miejsce, starając się na nic nie nadebrać, a ja zacząłem zastanawiać się nad tym, jak wiele rzeczy w historii omijamy podświadomie, a do tego świadomie wykreślamy z niej zwyczajną, niezbędną czynność fizjologiczną, bez której człowiek nie może istnieć. Z biegiem wieków wszystko zamienia się w proch i kamień. A kamienie nie pachną. Pozbawieni ciała przodkowie stają się podobni duchom... A przecież byli tacy sami jak my, tyle że my specjalnie wymyśliliśmy wodociągi i kanalizację, wysypiska i spalarnie śmieci, żeby ukryć przed archeologami z przyszłości, którzy będą badać nasze losy, prawdę o naszym życiu — pełnokrwistą, ale nieładną.

Na szczęście dalej, w miarę jak zagłębialiśmy się w jaskinię, powietrze stawało się coraz czystsze i chłodniejsze. Szliśmy szerokim, ale wciąż zwężającym się korytarzem — był bardziej niski niż wąski — i w krótkim czasie dotarliśmy do miejsca, gdzie znowu się rozszerzał. Tam, zapalone przez majora i żołnierzy silne latarki oświetliły żalostną sypialnię dzikich — sterty wysuszonej trawy i strzępki skór, pełniące rolę pościeli. Tylko jedno z „łóżek” wyglądało nieco lepiej — leżało na nim kilka skór, widocznie tam odpoczywał wódz plemienia.

Tutaj także czuć było zapach mieszkańców — potu, niemytych ciał, resztek jedzenia. Zatrzymaliśmy się w tym pomieszczeniu — major przeszukał je starannie w nadziei na znalezienie śladów pobytu dyrektora Matura.

Z sypialni dzikich w głąb jaskini prowadziły kolejne dwa przejścia — bardzo niskie, nieprzyjemne.

Major rozejrzał się w poszukiwaniu ochotnika, który zbadałby dalszą drogę i jego wzrok spoczął na malutkim żołnierzyku, który cały się zjeżył, przeklinając swój los.

Major rozkazał mu sprawdzić prawe przejście. Żołnierz westchnął, poprawił automat i oświetlając sobie drogę latarką nachylił się i ruszył przed siebie. Znikł.

Wszyscy schylili się, zaglądając do przejścia i starając się po ruchu plamy światła zgadnąć, jak idzie żołnierzowi.

— Jak tam? — zawołał do niego major.

— Idę! — odpowiedział żołnierz.

Wydawało mi się, że z każdą chwilą jego ruchy robią się coraz wolniejsze i niezborne.

I jakby w odpowiedzi na moje podejrzenia, ze środka dobiegł głos:

— Dalej nie ma przejścia!

— Rozejrzyj się dobrze — nakazał major, stając na czworakach, żeby lepiej widzieć.

— Przysięgam, dalej jest zasypane.

Kumtaton nie czekał na powrót żołnierzyka, tylko wstał i zwrócił się do drugiego żołnierza, nakazując mu sprawdzić następne przejście.

Tym razem żołnierz zaszedł tak daleko, że straciliśmy go z oczu, a potem, w oddali, błysnęło światelko wracającej latarki i rozległ się głos:

— Chodźcie tutaj! Tu jest dużo miejsca!

Pośpiesznie udaliśmy się do ciasnego i, jak nam się wydawało, niekończącego się przejścia. Dopiero po długiej podróży, schyleni — bo tylko tak dało się precyzyjnie — i odchylając głowy, by nie pokaleczyć się o ostre stalaktyty zwisające z sufitu, dotarliśmy do kolejnego pomieszczenia.

Było w nim chłodno, powietrze było czyste i nieruchome. Cicho szumiała woda — u naszych stóp płynął maleńki strumyczek i znikał gdzieś wśród kamieni.

Major nakazał nam nie rozchodzić się, żeby nikt z nas nie wpadł do jakiejś szczeliny albo dołu. Wszyscy zapaliliśmy latarki i dlatego w podziemnej jaskini nagle zapanowała świąteczna atmosfera — liczne promienie światła przecinały się jak reflektory na festynie, odbijały się od zwisających nad głowami stalaktytów, od oszlifowanych przez czas i wodę występów na ścianach... Na ten widok wszystkich opanowała radość, głośno przekrzykiwaliśmy się i śmialiśmy. Pamiętam, jak żołnierz wyłamał ze ściany duży, sześcienny, złoty kryształ i spytał majora co to takiego, a gdy ten odpowiedział „piryt”, rozczarowany, ale nie do końca przekonany żołnierz schował kryształ do kieszeni.

Pamiętam, jak Anita Kraszewska w powolnym tańcu poruszała się między stojącymi gęsto słupami, podtrzymującymi sufit tej sali, a promień latarki tańczył przed nią. Profesor Manguczok powoli i metodycznie obchodził salę po obwodzie, a ja doradzałem mu, by uważał i nie skręcił przypadkiem do jakiejś niebezpiecznej odnogi korytarza.

— Ojej, coś znalazłam! — powiedziała Anita, ale nie zdążyłem do niej podejść, bo profesor Manguczok zwrócił moją uwagę na złowieszczy w tych okolicznościach przedmiot — tuż pod ścianą, rzucone jak niepotrzebna szmata, walało się dhoti — ten sam bawełniany odpowiednik spodni, który noszą hindusi i w którym po raz ostatni widzieliśmy Matura. Wezwani przez profesora wszyscy zebraliśmy się wokół tego przedmiotu. Major Kumtaton ostrożnie podniósł dhoti z kamienia i powiedział:

— Nie sądzę, by Hindusi często tu przychodzili. Wszyscy zgodzili się z nim. Chociaż mógł to być oczywiście zbieg okoliczności. Na świecie zdarzają się różne rzeczy!

Kontynuowaliśmy poszukiwania i niedługo potem żołnierz znalazł jeden sandał dyrektora.

Natchnieni znaleziskiem, a jednocześnie poważnie zaniepokojeni tym, co mogło oznaczać — przecież ludzie albo zdejmują ubranie przed snem i kąpielą, albo tracą je razem z życiem — kontynuowaliśmy przeszukanie jaskini, ale po niedługim czasie musieliśmy przyznać, że tylko sprawiała wrażenie dużej, ze względu na wypełniające ją stalaktyty, stalagmity i słupy powstałe z połączenia obu tych formacji geologicznych. Po jakichś piętnastu minutach opuściliśmy jaskinię.

Staliśmy pod kamiennym nawisem, mrużąc oczy od słonecznego światła. Nie mieliśmy odwagi wyjść na zalany słońcem placyk. Patrzyłem na majora, który z obrzydzeniem — jak żabę — trzymał fragmenty odzieży zaginionego dyrektora Matura. Rozejrzałem się w poszukiwaniu Anity, żeby zapytać jej jak się czuje i wtedy odkryłem, że nie ma jej z nami.

Obok mnie stał major Tilwi Kumtaton, profesor Manguczok i dwóch żołnierzy.

Mniej więcej w tej samej chwili podobna myśl przyszła do głowy majorowi, który zapytał:

— A gdzie jest Polka?

Z tym pytaniem zwrócił się do mnie, przy czym pytał surowym tonem, jakbym schował Anitę w kieszeni.

— Nie mam pojęcia! — powiedziałem zdecydowanie. Ale za tą odpowiedzią krył się mój szczerzy niepokój. Co jeszcze mogło się zdarzyć?

Trudno mi jest teraz przypomnieć sobie, jak długo i uparcie szukaliśmy Anity. Nie mogę mówić o uczuciach pozostałych, ale ja byłem wprost zrozpaczony, serce krwawiło mi z rozpacz. Sama, bezradna, przyzwyczajona do życia w mieście dziewczyna znajduje się... Może ona też wpadła w ręce dzikich? Ale gdzie? Kiedy?

Trzykrotnie wracaliśmy do wewnętrznego pomieszczenia i przeszukiwaliśmy je, obeszliliśmy wszystkie krzaki wokół jaskini, schodziliśmy nad rzekę w nadziei, że znajdziemy jakieś ślady Anity.

Próbowaliśmy przypomnieć sobie, kiedy widzieliśmy japo raz ostatni. Wszyscy pamiętali jak tańczyła między kamiennymi słupami, potem jeszcze jej wołanie: „Ojej, coś znalazłam!” — przeklinałem sam siebie, że zająłem się tym przeklętym dhoti!

Nie mieliśmy ze sobą radiostacji, ale wieczorem, zaniepokojony naszą nieobecnością dyżurny w sztabie batalionu przysłał helikopter, który zawisł nad placykiem przed jaskinią akurat wtedy, gdy szykowaliśmy się do powrotu do obozu, bo wyczerpaliśmy już wszystkie możliwości poszukiwania Anity. Podobnie jak poszukiwania plemienia nagich ludzi.

Zapakowaliśmy się do helikoptera, maszyna zrobiła kilka okrążeń nad doliną, a nawet przeleciała wzdłuż niej kilka kilometrów, a my wypatrywaliśmy na ziemi jakiegokolwiek podejrzanego ruchu.

Nie znaleźliśmy niczego ani nikogo.

I tak, udręczeni, zmordowani, niezdolni do powiedzenia chociażby jednego słowa, wróciliśmy do obozu, gdzie czekał na nas równie zaniepokojony profesor Nicholson.

Jurij Sidorowicz Wspólny

Opisane poniżej wydarzenia zrekonstruowałem na podstawie całego szeregu relacji świadków i dowodów pośrednich. Dlatego nie mogę przypisać ich temu czy innemu uczestnikowi wydarzeń.

Od tego momentu zaimek „ja” zniknie na jakiś czas z tekstu, a na jego miejsce pojawią się słowa „oni”, „on”, „ona”. Do tej pory udało nam się tylko rzucić pierwsze, pobieżne spojrzenie na nagich ludzi z drugiego brzegu Prui. Teraz zamierzam w myśli pokonać dolinę i znaleźć się wśród dzikich. Co prawda, aby rozwiązać tajemnicę ich pojawienia się w dolinie Prui, trzeba nieco cofnąć się w czasie i opowiedzieć o tragedii, która rozegrała się kilka tysięcy mil na południe od skrzyżowania zaśnieżonych szczytów górskich, stanowiących naturalną granicę między Birma, Ligonem, Chinami i Indiami. Granica ta jest umowna, ludności jest tu mało, bo świat roślin i zwierząt jest tak ubogi, że nie daje szans na rozwój rolnictwa ani myślistwa.

Miłośników precyzji proszę z góry o wybaczenie. Niestety, nie mogłem być obecny przy uwerturze i spóźniłem się na pierwszy akt przedstawienia.

Prehistoria nagich ludzi. Luty 1977

Chociaż sceptycznym umysłem trudno w to uwierzyć, to jednak nie jesteśmy sami we wszechświecie.

Nie mnie, dzikusowi, być może pitekantropowi w skali kosmicznej cywilizacji, opisywać i wyjaśniać strukturę Związku Galaktycznego, zwanego też Centrum. Na pewno znalazłoby się wielu chętnych, potrafiących wytłumaczyć ludzkości znaczenie kosmicznej terminologii. Ale jako że wśród nas nie ma nikogo, kto mógłby sprawdzić i krytycznie ocenić nasze lingwistyczne problemy, ograniczę się do najprostszycch wyjaśnień, tych, których użył podczas rozmowy z nami Polepszony Dyrektor (Po–dyrek).

Tak więc statek „Piękno Potężnego Rozumu”, z załogą składającą się z ośmiorga Bardzowykształconych, wyruszył z planety zwanej potocznie Domem, ku Ziemi, w celu przeprowadzenia obserwacji naukowych.

Trzeba wiedzieć, że prawo galaktyczne kategorycznie tego zabrania, gdyż planeta Ziemia objęta jest kwarantanną z powodu etapu rozwoju, na którym się znajduje. Innymi słowy, jeśli wszyscy wymrzemy albo zginiemy w gigantycznym wybuchu to Związek (społeczność) Galaktyczna, nie zamierza ponosić za to odpowiedzialności.

Jednakże w skład Galaktycznego Centrum wchodzi kilka setek zamieszkałych światów, nic więc dziwnego, że nie wszyscy podzielają opinię Centrum. W szczególności nie dzielą jej na rodzinnej planecie. Króluje tam pogląd, zgodnie z którym nasza Ziemia potrzebuje pomocy humanitarnej i można jej pomóc wyjść z kryzysu, a cywilizowane światy są zobowiązane uratować nas przed zgubą, za co z kolei wdzięczni Ziemianie podzielą się przestrzenią i zasobami naturalnymi ze zbawcami cierpiącymi z powodu przeludnienia.

Oczywiście Dom nie zamierzał psuć stosunków ze Społecznością (związkiem), bo mogłoby się to źle skończyć. Sytuację komplikował (a może upraszczał) fakt, że we wszechświecie jest wiele planet, które co chwila naruszają postanowienia Związku (Wspólnoty) Galaktycznej. W szczególności niektóre z nich posyłają na Ziemię latające talerze i inne, nierozpoznawalne obiekty, które zapisują to, co się dzieje na Ziemi.*

W przeciwieństwie do zwykłych talerzy, czasami nabitych po brzegi wścibskimi turystami i miłośnikami wtykania nosa w nie swoje sprawy, statek „Piękno Potężnego Rozumu” miał przed sobą wyłącznie cele naukowo–badawcze.

Załoga (drużyna) „PPR” została skompletowana bardzo starannie. W jej skład wchodziły największe autorytety w swoich dziedzinach. A dokładniej:

1. „Polepszony dyrektor” (Po–dyrek) — kapitan statku i kierownik ekspedycji. Przyprószony siwizną, szlachetny, nie wyróżniający się co prawda dobrym zdrowiem, psycholog, ekonomista i pedant.

2. „Poranek biegnący tuż za nim” (Po–bie) — nawigator, znawca maszyn i narzędzi, a jednocześnie świetny ekspert w dziedzinie obcych technologii. Mężczyzna w kwiecie wieku, zupełnie niedawno świętował sześćsetlecie. Po–bie wybrał się w podróż, aby po powrocie objąć katedrę na Uniwersytecie Wyszukanej Wiedzy.

3. „Pocieszający w biedzie i bezsilności” (Po–be–be) — znawca ludzkiej duszy, który zwiedził mnóstwo planet, pragnący bez ustanku pomagać żywym stworzeniom, młody humanista, nie mający nawet trzystu lat, a już znany w kręgach naukowych daleko poza granicami Domu.

4. „Nieustająco mile uśmiechnięta” (Nie–mi) — pełna życiowej mądrości, wspaniała specjalistka w zakresie biologii i socjologii, do tego wspaniała lekarz.

5. „Niegasnące światło miłości” (Nie–świa–mi). Tuż przed odlotem z Domu Nie–świa–mi zajęła pierwsze miejsce w konkursie piękności na swojej uczelni, ale nie przeszkodziło to jej zajmować się przede wszystkim nauką, teleportacją i antygravitacją, lecz jej największą pasją zawsze była fizyka doświadczalna. Aby udać się na Ziemię Nie–świa–mi zakończyła rozwijający się powoli przez ostatnie czternaście lat romans z „Porannym mgnieniem” (Po–mgn), jednym z najsławniejszych strażaków na planecie, wynalazcą gaśnicy.

6. „Poranek w mroku świtu” (Po–w–mroku) — drugi nawigator wyprawy, kuzyn Po–bie. W ostatniej chwili zastąpił chorego specjalistę i nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

7. „Opoka zwojów” (Op–zwo) — wspaniała tłumaczka, rozumiejąca wewnętrzną mowę w każdym języku Galaktyki i potrafiąca przekazywać w tym języku myśli i słowa każdego ze znanych wam uczonych. Niemłody — przekroczył już tysiąclecie. Jego zawód, choć nie dający prawa nazywać się uczonym, wymaga wielu lat samodoskonalenia.

8. „Mimowolnie łagodna” (Mi–ła) — pomocnik tłumacza, specjalnie obsługująca uczonych płci żeńskiej, aby podczas zagłędania do cudzych myśli nie pojawiły się nieprzyjemne sytuacje. Miła to zupełnie młodzianka, niezbyt uzdolniona tłumaczka.

* * *

Takie oto istoty znajdowały się na pokładzie „Piękna Potężnego Rozumu” (PPR) w chwili, gdy statek zbliżał się do Ziemi.

Po przeczytaniu tej listy można wysnuć pewne ciekawe wnioski. Na przykład, że na Domu szanowani mężczyźni noszą imiona zaczynające się na „Po”, szanowane kobiety — na „Nie”. A istoty nie mające wysokiej pozycji społecznej mogą nazywać się, jak rodzicom przyjdzie do głowy.

Naukę na Domu darzy się szczególnie szacunkiem, a samym uczonym przysługuje wiele praw, niedostępnych prostym, mniej wykształconym mieszkańcom. Na przykład, mimo przeludnienia, uczony ma prawo do oddzielnego pokoju, a jeśli urodzi mu się dziecko — a jest to zabronione prostym ludziom — dostaje dodatkowy pokój. Uczni mają prawo odbywać stosunki płciowe tylko między sobą — doktor z panią doktor, profesor z panią profesor, gdyż rząd Domu ma wielką nadzieję, że ze związków tych narodzą się nowi uczeni, którzy wymyślą, jak rozwiązać pewne występujące na Domu problemy.

Większość z tych problemów bierze się stąd, że długość życia na Domu przekracza już tysiąc lat,

a i średnia wieku zbliża się do tysiąca. Nikt nie chce umierać, mimo wyraźnych problemów demograficznych. Oczywiście tamtejsza dama w wieku siedmiuset lat wygląda jak madame Bovary.

Statek „PPR” zbliżał się do Ziemi bardzo ostrożnie. Obawiał się, oczywiście nie Ziemi, którzy i tak nie byliby w stanie zobaczyć ani w inny sposób go namierzyć, lecz krążownika z Centrum Galaktycznego albo konkurentów z jakiejś innej planety.

O ile dobrze zrozumiałem, gdzieś w pobliżu orbity Marsa drugi nawigator Po-w-mroku pomylił się podczas pracy z komputerem i statek stracił sterowność.

* * *

Kapitan statku, Po-dyrek, zebrał w mesie wszystkich mieszkańców statku i otwarcie opowiedział im o zaistniałej sytuacji.

„PPR” spadał na Ziemię. Nie było innej możliwości. Nie mogli nawiązać łączności i poprosić o pomoc galaktyczną służbę ratowniczą — podpisaliby w ten sposób na siebie wyrok śmierci. Bez względu na humanitaryzm cywilizacji galaktycznej, przestępstwo popełnione przez ekipę „PPR”, a tym samym przez rząd Domu, było tak wielkie, że potraktowano by ich bezlitośnie. Tak więc mogli albo zginąć razem ze statkiem, albo popełnić samobójstwo.

Jako że statek nieubłaganie zbliżał się ku Ziemi, kapitan był zmuszony ukarać zgodnie z prawem nieszczęsnego drugiego nawigatora. Osobiście przekazał zrozpaczonemu Po-w-mroku kapsułkę z trucizną, a ten pożegnał się ze wszystkimi krótkim skinieniem głowy, a potem, czując na sobie karcące spojrzenia wszystkich towarzyszy, łyknął ją i prawie natychmiast padł martwy. Młodsza tłumaczka (telepatka) Mi-ła zemdląła nie wytrzymawszy rozpacz, która opanowała drugiego nawigatora, gdy przechodził w stan śmierci, a starszego tłumacza (telepatę) Op-zwo dopadły drgawki, co wprawiło w ponury nastrój pozostałych — każdy z nich miał już niedługo przejść krótką drogę ku śmierci, dokonać na sobie wyroku, a zachowanie tłumaczy dobitnie świadczyło o tym, jak przerażająca jest śmierć.

Kapitan Po-dyrek posypał ciało nieszczęsnego nawigatora specjalnym proszkiem, od którego ciało zamieniło się w ciecz i wypłynęło przez kratkę w podłodze mesy.

A statek „PPR” cały czas nieubłaganie spadał na Ziemię.

Pełna życiowej mądrości Nie-mi zapytała kapitana:

— Czy nie ma jakiegoś sposobu na uniknięcie śmierci?

Kapitan wyjaśnił jej to, co i tak wiedziała:

— Możemy się katapultować w chwili zderzenia z Ziemią, tuż przed automatyczną anihilacją. Wtedy przeżyjemy. Ale jeśli ktoś się o tym dowie — nieważne kto: patrol galaktyczny czy rząd naszej planety, albo nawet prezydium Akademii Nauk Domu, zostaniemy poddani powolnej śmierci, która w zależności od wagi przestępstwa może ciągnąć się tydzień, miesiąc, a nawet stulecie.

Przy tych słowach Mi-ła znowu zemdląła, a Nie-świa-mi zaczęła gorzko płakać, bo nie zdążyła jeszcze nacieszyć się życiem, a przede wszystkim — miłością.

Statek wszedł już w górne warstwy atmosfery ziemskiej, a wszystkie próby spowolnienia upadku okazały się bezskuteczne.

— Obowiązek nakazuje mi — powiedział kapitan — rozdać wam kapsułki z trucizną, a waszym obowiązkiem jest połknąć je i umrzeć. Potem posypię wasze ciała proszkiem śmierci, zamienicie się w ciecz, a ja zadbam o to, abyście dostali się do systemu kanalizacyjnego statku. A potem zniszczę siebie wraz ze statkiem.

Tak rzekł kapitan, ale w duszach członków ekipy załęgło się niedowierzenie.

Po raz pierwszy w ciągu długich miesięcy podróży pomyśleli, że kapitan może ich zabić a sam pozostać przy życiu.

I wtedy myśli wszystkich wyartykułował tłumacz (telepata) Op-zwo, bo umysły towarzyszy nie miały przed nim wielu tajemnic. Nie mógł pochwycić tylko tych myśli, które nie przybierały formy słownej. Ale wystarczyło sformułować myśl i znaleźć dla niej odpowiednie słowo, by Op-zwo mógł zajrzeć ci pod czaszkę i wszystko stawało się jasne.

— Szanowny kapitanie — powiedział Op-zwo — postanowiliśmy przeżyć.

— To niemożliwe!

— Wszystko jest możliwe, pod warunkiem, że nikt nas nie będzie szukał. Jeśli wszyscy będą przekonani, że zginęliśmy.

— W ubraniu każdego z nas znajduje się nadajnik, określający położenie — powiedział kapitan Po-dyrek. — Włączą się, gdy tylko przestanie nas chronić pole statku.

— To znaczy — powiedział Op-zwo po chwili przerwy, gdy pozbierał myśli towarzyszy — że musimy pozbyć się nadajników.

— Bzdura! Ubranie jest jednym wielkim nadajnikiem. W tym kryje się geniusz służb ratunkowych.

— To znaczy — powiedział Op-zwo, zebrawszy myśli towarzyszy — że trzeba będzie pozbyć się ubrań.

Kapitan roześmiał się. Należał do tak starej i wysokorozwiniętej cywilizacji, że samo słowo „nagi” w jego języku było ordynarnym przekleństwem. W ciągu siedmusetdwudziestotrzyletniego życia kapitan nigdy nie widział nagiego ludzkiego ciała. Zgodnie z obyczajami panującymi na Domu sam mył się w ciemności, przed rozebraniem wyłączając światło.

Może pojawić się pytanie: czy w takich warunkach możliwe jest wspólne życie małżonków, czy możliwe są zdrady i romanse albo zbrocenia? Odpowiedź brzmi: tak, wszystko to jest możliwe!

Małżonkowie kładą się do łóżka w nocnej odzieży i wszystkie czynności wykonują w absolutnej ciemności. Istnieje nawet stara legenda o człowieku, który zapragnął zobaczyć ciało kobiety, która go oczarowała. Dopadł ją w lesie, gdzie zbierała jadalne grzyby i zaczął zrywać z niej ubranie. Jednakże bogowie zamienili jej ubranie w rozpaloną zbroję. Gwałciciel połamał sobie paznokcie i spalił ręce, ale nie osiągnął celu. Co prawda jego ofiara też nie przeżyła — spaliła się cała jej skóra. Takie smutne legendy opowiada się dzieciom na Domu.

Oczywiście, w każdej cywilizacji istnieją rozpustnicy i zbrojeńcy. Zaraza ta nie ominęła także Domu. Mówi się, że w podziemiach stolicy znajdują się przybytki rozpusty, gdzie pokazują rozebrane lalki.

W świetle tych faktów można zrozumieć, jak szokujące wrażenie wywarła nie tylko na kapitanie Po-dyreku, ale i na całej załodze, odpowiedź telepaty, który przecież wypowiedział tylko na głos podświadome myśli.

Zapanowała męcząca cisza.

Za iluminatorami spadającego statku kłębiła się atmosfera Ziemi. Decyzję należało podjąć

natychmiast.

Tłumaczka Mi-ła, wychwytyjąca tło emocjonalne, załamywała z rozpaczy ręce. Pozostali ze smutkiem patrzyli na mesę statku, gęsto zastawioną tak drogimi ich sercom przedmiotami, przecież cywilizację Domu można nazwać cywilizacją przyjemnych przedmiotów (CPP). Każdy mieszkaniec planety traci znaczną część życia na zbieraniu pięknych rzeczy, sprawiających przyjemność jego wysublimowanym gustom.

Dramatyczna walka komputera pokładowego z przyciąganiem ziemskim doprowadziła do tego, że na statku zgasło światło — energia była potrzebna do ważniejszych zadań.

Statek napełnił się złowieszczymi dźwiękami.

W ciemnościach panujących w mesie można było wyczuć nerwowe ruchy.

Kapitan nacisnął na przycisk zmieniający mesę w szalupę ratunkową.

Szalupa wyleciała ze statku, a niewidoczny i niewykrywalny, ogromny „PPR” leciał ku Ziemi, a po chwili, w towarzyszeniu niezbyt głośnego dźwięku przypominającego otwieranie butelki szampana, zakończył swe istnienie.

Nieoświetlona szalupa delikatnie opadła na Ziemię. Z lekkim uderzeniem dotknęła jej powierzchni.

Kapitan otworzył luk, aby przy zewnętrznym świetle odnaleźć w apteczce kapsułki z trucizną i proszek, który zamieni ciała towarzyszy podróży w wodę.

I wtedy, oczom jego ukazał się widok, którego zupełnie się nie spodziewał.

Sześcioro członków ekspedycji — nawigator Po-bie, humanista Po-be-be, pełna życiowej mądrości Nie-mi, piękna Nie-świa-mi oraz tłumacze (telepaci) Mi-ła i Op-zwo stali przed nim, zasłaniając dłońmi wiadome miejsca. Wszyscy byli całkowicie nadzy.

Mieli do rozstrzygnięcia dylemat: życie albo honor. Wybrali życie.

Kapitan jako jedyny był ubrany.

Nie mogąc wytrzymać okropnego widoku, zamknął oczy i wyciągnął rękę w stronę apteczki, żeby się zabić i uniknąć wstydu.

Ale wtedy powstrzymał go głos pełnej życiowej mądrości Nie-mi:

— Kapitanie, tylko pan zna tajne słowo, które zniszczy szalupę— Jeśli natychmiast pan tego nie zrobi na planecie Dom odbiorą sygnał informujący, że udało nam się uratować, ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. Jeśli zdecydował się pan porzucić nas i odejść do lepszego świata, pozostawiając niedokończone ważne, naukowe plany, nie będzie pan chyba takim sadystą, żeby zabrać nas wszystkich ze sobą na tamten świat?

— To mój obowiązek — ponuro odpowiedział kapitan.

Wtedy tłumacz Op-zwo, posłuszny kolektywnej woli załogi, złapał krzesło i uderzył nim w szklaną apteczkę. Kapsuły z trucizną rozsypały się po podłodze.

— Została jedna minuta, kapitanie! — krzyknęła Mi-ła.

Pozostali przyłączyli się do jej wezwania, przekonując dowódcę, że życie jest piękne nawet na golasa.

I na sześć sekund przed końcem krytycznej minuty kapitan zaczął zdejmować spodnie...

W ciągu kolejnych trzech minut wszyscy zdążyli odbiec na pięćset kroków od szalupy ratunkowej i obnażony kapitan wymówił słowo, po czym szalupa wyparowała.

Nie było już drogi powrotnej.

Od tej chwili mieszkańcy planety Dom — znamienici uczeni i tłumacze — musieli znaleźć dla

siebie miejsce w nowym świecie. Bez narzędzi, bez skrawka odzieży. I to tak, aby nikt na planecie nigdy nie domyślił się, że sześcioro kosmitów jest kosmitami.

Nikt nie wiedział jak tego dokonać.

Nad nimi świeciło zbyt jasne, palące słońce. Wokół brzęczały miejscowe owady, śpiewały miejscowe ptaki, szeleściły miejscowe drzewa, a w dole płynęła rzeka.

Bali się.

Niektórzy już żalowali, że nie wybrali śmierci.

Patrzyli z nadzieją na kapitana, ale on nie miał dla nich żadnej rady.

Katastrofa statku kosmicznego „PPR” miała miejsce w dolinie rzeki Prui, w Ligonie, o trzydzieści mil na północ od jaskini, będącej sceną ostatnich wydarzeń. Znajdował się tam płaskowyż zarośnięty rzadkimi krzakami.

Pierwsze minuty spędzone na Ziemi sprawiły, że kosmici gorzko pożałowali utraty ochrony, jaką zapewniał im statek. Pod nogami mieli ostre kamienie i kłującą trawę, z góry świeciło gorące słońce, lodowatymi falami nadchodził wiatr z gór. Ale najgorsza była beznadziejność sytuacji.

Stali zbici żalownie w kupę, starając się nie patrzeć na siebie nawzajem, bo nigdy w życiu nie zetknęli się dotąd z tak odpychającym widokiem. Wszyscy po raz pierwszy odkryli, że oprócz miłych twarzy i delikatnych palców, każdy ma jeszcze brzuch, owłosienie, organy płciowe i kolana.

Mi-ła była gotowa zemdleć, ale Op-zwo zwrócił się do towarzyszy z prośbą, by nie przyglądali się sobie nawzajem, bo inaczej nie może ręczyć, czy biedna tłumaczka (telepatka) przeżyje.

Posłuchać takiego zakazu nie było łatwo, ale na szczęście dla zdrowia Mi-ły, nad głowami kosmitów zaczął krążyć orzeł. Nie wiedząc czym to może grozić, kapitan polecił towarzyszom rozproszyć się i wycofać w stronę drzew, których wierzchołki sterczały na zboczu prowadzącym do rzeki.

Nie mogli się szybko przemieszczać, bo stopy mieli tak delikatne, że z trudem powstrzymywali krzyk — każde źdźbło trawy sprawiało im ogromny ból.

Z boku ludzie ci wyglądali dziwnie, bo przy każdym kroku wymachiwali rękami, ich nogi wykonywały niezgrabne ruchy, a do tego starali się jednocześnie ukryć przed pozostałymi swą nagość.

Dopiero po kilku minutach, zmęczeni nerwowymi ruchami kosmici, zebrali się w cieniu dużego drzewa tekowego, rosnącego na obrzeżu lasu. Milczeli, ciężko dysząc. Dochodzili do siebie.

— Taaak — nieoczekiwanie powiedział Po-dyrek. — Tylko tego nam brakowało.

Obwiniającym gestem wskazał Nie-mi, pełną życiowej mądrości, niemłodą badaczkę, która podczas drogi ku tekowemu drzewu zdążyła znaleźć liść bananowca i trzymała go przed sobą, zakrywając piersi, brzuch i kolana.

— W każdej chwili — kontynuował kapitan — możemy, a nawet musimy, spotkać tubylców. Na tej planecie jest ich pięć miliardów i nie ma takiego zakamarka, gdzie by ich nie było. Zupełnie nie mamy pojęcia jak zasłaniają swój wstyd mieszkańcy tych miejsc, a w przypadku, jeśli nie robią tego za pomocą takich dużych liści, będziemy podejrzani. Od podejrzeń do zarzutów jest tylko jeden krok. I niedługo po prostu nas zabiją, bo zupełnie słusznie zaczną podejrzewać, że jesteśmy szpiegami z innej planety. No już, wyrzucaj liść!

Nie-mi, czerwieniąc się okrutnie, upuściła liść bananowca na ziemię, ale w ostatniej chwili jej palce oderwały od liścia kawałek wielkości dłoni i umieściły go przed piersiami —uczciwa i pełna życiowej mądrości Nie-mi, nie wiedziała wtedy, jaką część obnażonego ciała powinna przykryć, ale

rozumiała, że nie zakryć zupełnie nic po prostu nie można.

Kapitan z rozpaczą machnął ręką.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

— Jak myślicie — zapytał nawigator Po-bie — czy tutejsza woda nadaje się do picia? Myślę, że jest to zasadnicze pytanie, bo jeśli nie można jej spożywać, to jesteśmy skazani na śmierć o wiele bardziej bolesną niż ta, przed którą uciekliśmy. Przecież teraz nie mamy szybko działającej trucizny.

Wsluchiwali się w dobiegający z dołu szum wody, a potem, nie umawiając się, zaczęli schodzić ku rzece. Nagle Mi-ła krzyknęła. Odwrócili się w jej stronę. Mi-ła trzymała dłoń przyciśniętą do obojczyka.

— Co się stało? — zapytał kapitan.

„Zostałam ukąszona” — odpowiedziała w myśli Mi-ła.

Podniosła rękę; na trawę upadł rozgnieciony przez nią, niewielki owad, a w miejscu, gdzie owada zabito, szybko rozwijała się opuchlizna i zaczerwienienie.

— Nie mamy nawet apteczki — ze smutkiem powiedziała przepiękna Nie-świa-mi. — Następne ukąszenie nas zabije.

Ale jako że na razie nikt nie umarł, szli dalej i w niedługim czasie znaleźli się na kamieniach, okalających przezroczyste wody rzeki. Nieco poniżej rzeka rozszerzała się, tworząc niewielką zatoczkę.

— Dobrze — powiedział wtedy młody humanista Po-be-be. — Jako najmłodszy, poświęcę się i spróbuję tej wody, tym bardziej, że pragnienie dręczy mnie tak, że wolę śmierć niż dalsze męki.

Ukląkł, a wszyscy odwrócili się, by na niego nie patrzeć, bo widok obnażonego ludzkiego ciała, klęczącego z głową opuszczoną nad wodą, był nadzwyczaj nieestetyczny.

Po pierwszym łyku przestraszony Po-be-be krzyknął:

— Oj, zimna! Aż zęby bołą!

Ale po chwili przemógł się i zaczął pić dużymi łykami, czerpiąc z tego przyjemność i bynajmniej nie zamierzając umrzeć.

Jako pierwsi poszli za jego przykładem tłumacze Op-zwo i Mi-ła, a potem pozostali.

Gęste korony drzew zwisały w tym miejscu nad rzeką, motyle i ważki powoli szybowały nad przezroczystą wodą, od której bił przyjemny chłód.

Ten panujący wokół spokój i brak bezpośredniego zagrożenia sprawiły, że kosmonauci zebrali się w sobie i trzeźwo ocenili swoje położenie i szanse na przeżycie. Usiedli na brzegu, każdy ukrył się za krzakiem, żeby nie niepokoić pozostałych swą nagością i samemu nie widzieć gołych ciał.

— Co zrobimy? — zapytał kapitan Po-dyrek.

Odpowiedziano mu bynajmniej nie od razu. Każdy w miarę swej mądrości szukał rozwiązania, a telepaci zamknęli wewnętrzne oczy, żeby się nie wtrącać w te, jakże często niezrozumiałe, ćwiczenia mózgów.

— Musimy jeść — powiedział mądry Po-be-be. — Ale nie wiemy, jak to robić bez narzędzi.

Kapitan nie przerywał mu, chociaż wiedział, że pytanie o jedzenie ma charakter taktyczny. Najpierw trzeba było rozwiązać główny problem — żyć dalej, czy też rozejrzawszy się dokoła i przekonawszy się, że nie ma szans na pokonanie złego losu, mimo wszystko skończyć ze sobą.

— Musimy znaleźć tubylców i dokładnie ich obserwować

— powiedziała pełna życiowej mądrości Nie-mi. — Na podstawie znanych doniesień z Ziemi, w obszarze gdzie wylądowaliśmy znajdują się duże, niezamieszkałe obszary. Tutejszy klimat nadaje się

do życia. Powinniśmy skryć się w tych górach.

— Potrzebna nam jest energetyczna żywność — przypomniał gorączkując się Po-be-be — inaczej komórki mózgu nie otrzymają odpowiedniej ilości substancji odżywczych i staniemy się głupi jak małpy.

— O nie! — wyrwało się pełnej życiowej mądrości Nie-mi.

— Tylko nie to!

Nie-mi, podobnie jak większość mieszkańców Domu była przekonana, że najgorsze, co może się przydarzyć człowiekowi to głupota.

— Nie do końca wyobrażam sobie, jak można tutaj przeżyć — ponuro powiedział kapitan Po-dyrek, który znowu wrócił do pomysłu, by nakłonić podopiecznych do samobójstwa, bo nie widział sensu w przedłużaniu życia i zwiększaniu hańby. — Myślę, że lepiej od razu z tym skończyć.

— Ach, proszę przestać kapitanie — powiedział nawigator Po-bie, który nie mógł przebaczyć kapitanowi śmierci swego pomocnika, będącego przecież jego krewniakiem. — Miał pan możliwość opuścić nas i wybrać drogę honoru, ale wołał pan dzielić z nami wstyd.

— Jestem kapitanem — odpowiedział z godnością Po-dyrek — i muszę dzielić los z załogą.

Po-bie tylko machnął ręką, bo wiedział, jak taką decyzję kapitana ocenią w Domu. Przecież każda minuta pobytu załogi „PPR” na Ziemi zwiększa szansę zdemaskowania. I nikt ich nie będzie oszczędzał — chodzi o honor rodzinnej planety. Stary cynik rozumiał, że kapitan przestraszył się, ale nie może przyznać się do słabości, bo straciłby władzę nad załogą.

Po-bie wstał, skrył się w krzakach i ruszył z nurtem rzeki ku cichej zatoczce, bo interesował go ruch w zbiorniku wodnym. Nie zwracając uwagi na pełne nagany spojrzenia kolegów wszedł do wody i zaczął przyglądać się stworzeniom, które pobłyskując srebrzystą łuską przemykały pod powierzchnią. Przypominały nieco ryby, które jeszcze niedawno Po-bie łowił w rzeczce, płynącej niedaleko jego rodzinnego miasta. Co prawda tam nie spotykało się ryb dłuższych niż palec. Ale i tutaj, w górach, w niewielkiej rzeczce nie były one zbyt okazałe.

Stary tłumacz Op-zwo, zrozumiałwszy tok myśli nawigatora, dołączył do niego i nie zwracając uwagi na nagość rozmówcy rozpoczął dyskusję, jak najlepiej złowić rybę. Mi-ła, zmęczona wydarzeniami całego dnia, zdrzemnęła się na kamieniach.

Kapitan odwrócił się od przemądrej Mi-ły i zaczął rozmyślać na głos, że nieźle byłoby najpierw znaleźć jakąś kryjówkę, gdzie mogliby się schronić przed niepogodą i wzrokiem postronnych.

A jako że nawigator i tłumacz na razie nie wymyślili jak łowić ryby w rzece, wszyscy po krótkiej dyskusji obudzili Mi-ła i ruszyli z biegiem rzeki z nadzieją, że uda im się znaleźć miejsce na nocleg przed zapadnięciem zmroku.

Ciekawe, że każdy z uczonych — jak potem przyznali — cierpiał z powodu braku jakiegoś drobiazgu i żałował, że nie zabrał go ze sobą. Kapitan, na przykład, żałował, że wbrew przepisom nie wziął maleńkiej grzałki, bez której nie wiedział jak można by pozbawić wodę miejscowych, być może śmiercionośnych, mikrobów.

A prześliczna Nie-świa-mi marzyła o grzebieniu — o swojej półautomatycznej szczotce, która i myła, i suszyła, i kręciła włosy. Za to pełna życiowej mądrości Nie-mi strasznie bała się, że może zgłupieć z braku książek — nie wzięła ze sobą nawet słownika kieszonkowego.

Stopniowo głód coraz bardziej dawał się wędrowcom we znaki. Od czasu katastrofy upłynęło już kilka godzin, a przez ten czas nikt nie miał w ustach nawet ziarenka maku.

Jednak na razie nie udało się wymyślić, jak łowić ryby, a do tego nie wiadomo było czy uda się

złapać i zabić jakieś zwierzę i czy spotykane po drodze grzyby i jagody są jadalne. Po-bie w myślach konstruował łuk, przypominając sobie obrazy widziane w muzeum historycznym.

Zaczynało się już ściemniać i wędrowców zaczęła ogarniać rozpacz, gdy szybkonogi Po-be-be zauważył na zboczu ciemną plamę, podszedł do niej i przekonał się, że jest to wejście do niewielkiej niszy, zagłębienia w zboczu, gdzie mogli się zmieścić, przytulając się mocno do siebie.

Powietrze z każdą chwilą robiło się coraz zimniejsze. Nadzy ludzie po raz pierwszy w życiu odkryli, czym jest ciepło obnażonego ciała towarzysza.

Długo nie mogli zasnąć, przysłuchując się odgłosom lasu.

Jakiś nocny ptak pohukiwał przerażająco, przed jaskinią bezgłośnie poruszały się zwierzęta, w dole szumiała woda...

— Jeśli udałoby się znaleźć kamienne ostrze — powiedział Po-bie — i przywiązać go do kija, mielibyśmy oszczep.

Wszyscy zaczęli go uciszać, bo wydawało im się, że jego głos słychać wokół na tysiąc kroków.

Dlatego Op-zwo, darzący Po-bie sympatią, dodał szeptem:

— Można też zrobić pałkę. Dobrą, mocną pałkę. Przecież muszą tu być zwierzęta.

— Ale nie możemy jeść ich na surowo — powiedziała Nie-mi.

— Teraz mogłabym zjeść nawet surową żabę — odpowiedziała Nie-świa-mi.

Wokół rozległy się przyciszone, oburzone glosy i tylko telepata wiedział, że Nie-świa-mi tylko drażni pozostałych, bo szybciej by umarła niż zjadła surową żabę.

Noc minęła prawie bezsennie, wśród koszmarów, pochlipywania, okrzyków, jęków, chrząkania, ciężkich westchnień. W marzeniach sennych kosmici mknęli po falach kosmosu albo nawet szczęśliwie wracali w rodzinne pielesze. Ale użądlenie komara ukąszenie pchły, powiew lodowatego wiatru napływającego znad lodowca, przywoływały ich z powrotem do trudnej rzeczywistości, a oni, zaciskając oczy, znowu starali się przed nią umknąć.

Gdy pierwsze promienie słońca oświetliły wierzchołki drzew i górskie szczyty, kłębek ludzkich ciał poruszył się energiczniej, rozczochrane głowy podniosły się, by lepiej przyjrzeć się otaczającej je przyrodzie.

Pokąsani przez komary narzekali na ból i opuchliznę, ale uzdrowiciel Po-be-be w niczym nie mógł im pomóc, bo nie miał ze sobą komputera i lekarstw. Najgorzej ze wszystkich miała tłumaczka, Mi-ła, bo tak dobrze odbierała uczucia innych, że całe ciało swędziało ją w miejscach, gdzie pokąsani byli inni...

Starając się nie widzieć siebie nawzajem, kosmici rozeszli się po krzakach, by zająć się toaletą, a potem ruszyli ku rzece oszukać wodą męczący głód.

Po-be-be, który dłużej zamarudził w niszy, wytrząsając z włosów piasek i pył, niechcący zauważył przechodzącą obok niby płochliwa łania, przepiękną myślicielkę Nie-świa-mi i nagle, czując wewnętrzny dreszcz zauważył, że widok ten wcale nie napawa go wstrętem, co więcej, ruszył ku rzece w ślad za prześliczną koleżanką, z coraz większą przyjemnością obserwując ruchy jej bioder i łopatek.

Czując na sobie spojrzenie Nie-świa-mi obejrzała się, jakby skradał się za nią drapieżnik.

— Co? — zawołała. — Coś się stało?

Ale wtedy jej wzrok padł na obnażoną fasadę Po-be-be i musiała zamknąć oczy, żeby nie zemdleć. Po-be-be też się zmieszał i dał nura w krzaki, które, jak się okazało, były bardzo kłujące.

Tak więc, gdy wyszedł z zarośli tuż przy samej wodzie, był cały podrapany, co natychmiast

zwabiło gryzące muchy i inne owady, które do tej pory spokojnie baraszkowały nad rzeką.

Uciekając przed nimi Po-be-be zanurzył się w zimnej wodzie— od razu zniosło go do zatoczki, gdzie w słonecznych promieniach wygrzewały się ryby, które potraktowały Po-be-be jak dużą, ale zupełnie niegroźną rybę, bo groźnych ryb nigdy dotąd nie spotkały. Dla nich, narybku pstrąga, niebezpieczeństwo wiązało się z lądem.

Nieoczekiwanie dla samego siebie Po-be-be natknął się rozcapierzonymi palcami prawej ręki na niewielkiego pstrąga, a ten nie zdążył odpłynąć, bo dłoń zacisnęła się, a Po-be-be, sam nie wierząc w swój sukces, podniósł fontannę błyszczących bryzg i krzyknął, strasząc ptaki:

— Złapałem rybę!

Jego towarzysze w mgnieniu oka przybiegli nad zatoczkę — nikt z nich nie zauważał już, że Po-be-be jest goły. Wszyscy widzieli rybę. Wszyscy mieli na nią ochotę.

— Rozpalmy ognisko — zaproponowała Nie-mi.

— Po co? — szybko zapytał Po-be-be.

— A co proponujesz? — zapytała Nie-mi.

— Proponuję ją zjeść — powiedział Po-be-be.

— Na surowo! — zawołała Nie-mi.

— Sam? — krzyknął Po-be.

— A dlaczego by nie? — zapytał Po-be-be. — Przecież to ja ją złapałem.

— Po-be-be — do rozmowy wtrącił się kapitan — zapomniał pan chyba, że nawet bez odzieży i pozbawieni środków do życia, nadal jesteśmy przedstawicielami przodującej, rozwiniętej cywilizacji.

— Która nas wykończy, gdy dowie się, że nie popełniliśmy samobójstwa — sprzeciwił się Po-be-be, podnosząc rybę do ust.

— Może być trująca! — krzyknął Op-zwo.

— A może nie jest — odpowiedział Po-be-be i wbił zęby w kręgosłup pstrąga.

— Przecież jest pan cywilizowanym człowiekiem! — krzyknął Po-be. — Proszę pamiętać o poczuciu własnej godności.

Po-be-be przeżuwał rybę, która wciąż jeszcze machała ogonem.

I wtedy puściły nerwy jego towarzyszy podróży.

— Dzielić! — krzyknęli. — Niech żyje sprawiedliwość!

Po-be-be zajęty zjadaniem pstrąga nie wykazał wystarczającej czujności i tłum kosmitów przewrócił go do wody. Ogromnym wysiłkiem pstrąg wyrwał mu się z rąk i odpłynął z prądem, a wraz z nim odpłynęli jego towarzysze.

A kosmici, zmęczeni, ogłupieni, głodni i źli, wyłazili po kolei z wody na brzeg i siadali na nim oganiając się od komarów i innych owadów.

— No i macie sprawiedliwość — powiedział Po-be-be. — Myśliciele!

Na to kapitan odrzekł:

— Gdybyś podzielił się sprawiedliwie, też dostałbyś kawałek.

Potem kapitan kontynuował.

— Koledzy, znaleźliśmy się wszyscy w trudnej sytuacji. Doszedłem do wniosku, że możemy zachować życie i rozum tylko wtedy, gdy będziemy bezwzględnie przestrzegać zasad zachowań społecznych i strzec moralności. Tacy, jacy byliśmy w domu i na pokładzie statku kosmicznego, takimi powinniśmy pozostać i tutaj...

Kapitan zagryzł wargi i spojrział z uwagą na byłych podwładnych. Wszyscy słuchali w milczeniu, chociaż Po-be-be uśmiechał się ironicznie, starając się chociaż w ten sposób dać do zrozumienia, że jest ponad kapitańskie kazanie.

— Dopiero co zaobserwowaliśmy, jak człowiek zamienia się w prymitywne zwierzę. Tak, właśnie tak! Niech pan nie próbuje zaprzeczać, szanowny Po-be-be. Nie poznałeś jeszcze prawdziwego życia i nie wiesz, że człowiek jest silny tylko w grupie. Tym bardziej, jeśli znalazł się we wrogim środowisku. Dzisiaj zeżarłeś w kącie złapaną rybkę, jutro ukradniesz mi kawałek chleba...

Przy słowie „chleb” telepaci przełknęli ślinkę, bo w wyobraźni kapitana pojawił się kawałek chleba.

— Pojutrze... — Głos kapitana okrzepł i poniósł się ku szczytom gór. — Pojutrze, zarżniemy i zjemy najsmaczniejszego, młodego członka naszej społeczności.

Kapitan pokazał na Mi-łę. Po-be-be zapłakał, ale nie wiadomo, czy rzeczywiście odczuwał skruczę, czy tylko udawał.

— Mam propozycje — oznajmił kapitan zupełnie innym, obojętnym głosem. — W lesie są jagody, orzechy i grzyby. Nie wiemy, które z nich są trujące, a które nie. Nie możemy wyznaczyć nikogo do roli próbującego, ale jako humaniści wszyscy powinniśmy po kolei spełniać tę funkcję. Jednego dnia próbować będzie Po-bie, drugiego Nie-mi, i tak dalej...

Obecni, będąc ludźmi cywilizowanymi i uczonymi zgodzili się, że przy takim rozwiązaniu szanse na otrucie są równe. I jest to sprawiedliwe. A sprawiedliwość ogłoszona i zaakceptowana przez wszystkich, określająca jednakowe ryzyko dla wszystkich, postawiła Po-be-be przed wyborem — zaakceptować decyzję większości albo w samotności wstąpić na drogę wiodącą ku zdziczeniu. Uniknąwszy wspólnej śmierci, kapitan postanowił wraz ze wszystkimi pozostać przy życiu. I pomagać słabszym.

Po tych wydarzeniach kosmici rozeszli się po okolicy zbierać jagody, orzechy i grzyby. Wszystko zostało zniesione na brzeg i ułożone na płaskim kamieniu.

Potem kapitan zmierzył wzrokiem wszystkich obecnych i zapytał:

— Czy ktoś sprzeciwia się temu, żeby pierwszym próbującym został szanowny Po-be-be, który dzisiaj przejawiał już skłonności i talenty do kontaktów z miejscową żywnością?

Nikt, oprócz Po-be-be nie miał nic przeciwko temu, a nawet Po-be-be, zdemoralizowany niedawną porażką, nie był w stanie się sprzeciwić.

Na nieszczęście dla kosmitów marzec jest końcem zimnej pory roku. Większość krzewów dopiero zaczęła wypuszczać swe różnorodne, pachnące kwiaty. Co prawda ludziom udało się znaleźć niewielką ilość dzikich orzechów, część z nich nie zdążyła jeszcze zgnić i była całkiem jadalna. Kobiety dotarły do bananowych zarośli w pobliżu rzeki, z gatunku tych, które kwitną przez cały rok. Banany były jeszcze zielone, ale można je było jeść. Po-be-be kategorycznie odmówił próbowania grzybów — wysokich muchomorów sromotnikowych, tłumacząc, że samobójstwo mógł popełnić wcześniej i w mniej bolesny sposób.

W tym czasie Po-bie i Op-zwo starali się przypomnieć sobie, jak rozpala się ogień. Oczywiście, udałoby się to im, gdyby mieli jakąkolwiek soczewkę. W szkole uczono ich, że ogień można rozpalić za pomocą tarcia. Ale co o co trzeba pocierać, o tym jakoś nie wspomniano.

Gdy Po-bie i Ob-zwo zajmowali się ogniem, a kapitan i Nie-mi obserwowali osiągnięcia Po-be-be, który pokornie dławił się zdobyczą, pozostali kosmici zajęli się łowieniem ryb — brodzili w

plytkiej wodzie i od czasu do czasu padali na płask do wody. Ale ryby nie dawały się złapać — szybko zmądrzały.

Mniej więcej po godzinie, straciwszy nadzieję na sukces, zaczęli obserwować czy na twarzy Po-be-be nie pojawiły się oznaki zbliżającej się śmierci. Po-be-be miał tego dość i krzyknął do kolegów:

— Co tak się zbiegliście jak szczury do mojego świeżego trupa! Nawet jeśli umrę i tak nigdy nie zgadniecie, co mnie zgubiło.

— Zgadniemy, zgadniemy! — sprzeciwił się kapitan. — Wszystko zapisaliśmy.

Miał na myśli wynaleziony przez siebie system kamyczków, które układał przed sobą na piasku.

W rezultacie Po-be-be przyznał, że na razie trzeba będzie żywić się orzechami i zielonymi bananami. Tak więc postanowiono, chociaż żywności tej było w dolinie niewiele.

Po południu ruszyli z biegiem rzeki w nadziei, że noce powinny tam być cieplejsze, a roślinność — bogatsza. Wszyscy byli głodni, zmęczeni bezowocnymi wysiłkami, by się najeść i strachem przed tym, co przyniesie następny dzień.

Szli, starając się nie oddalać od rzeki, ale dolina miejscami zwężała się, więc chcąc nie chcąc musieli wspinać się wyżej, korzystając ze ścieżek wydeptanych przez zwierzęta. Raz udało im się nawet zobaczyć jedno zwierzę. Zdarzyło się to w dramatycznych okolicznościach.

...W momencie, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, weszli na wysokie urwisko, skąd dobrze było widać jar, gdzie szumiała całkiem już w tym miejscu szeroka rzeka.

Łapali oddech, oganiając się gałązkami od komarów, gdy bystrooka Mi-ła zawołała:

— Spójrzcie w dół!

Zobaczyli, jak z zarośli, ostrożnie, rozglądając się dookoła, zbliża się ku wodzie czworonożne stworzenie z rogami na głowie i kopytami na końcach nóg. Zaczęło pić wodę, co chwila podnosząc głowę i rozglądając się.

— Ile mięsa! — powiedział Po-bie.

— Trzeba rzucić kamieniem! — kapitan dostrzegł okazję. — Trzeba go trafić w głowę.

Wszyscy jak na komendę rzucili się w różne strony i zaczęli czołgać się po urwisku w poszukiwaniu odpowiedniego kamienia. Ale nie zdążyli nic znaleźć, bo szybszy od ludzi okazał się drapieżnik, którego ciało całe było pokryte poprzecznymi, czarnymi i żółtymi pasami, a otwarta w chwili ataku paszcza — czerwona. Ostre, potężne zęby drapieżnika zacisnęły się na cienkiej szyi ofiary, która z bólu zaczęła wierzgać nogami, wrywając ostrymi kopytami trawę i kamienie, a potem znieruchomiała zalana krwią.

Drapieżnik natychmiast zaczął pożerać ofiarę, a kosmici stali na skraju urwiska i z przerażeniem obserwowali rozgrywającą się scenę.

Bezruch kolegów przerwał niepokorny Po-be-be, któremu udało się jednak znaleźć kamień — uniósł go nad głowę z zamiarem rzucenia w dół.

Nie-mi zauważyła ten ruch, rzuciła się na Po-be-be i dramatycznie szepnęła:

— Co pan robi! Niech się pan nie waży! Może nas zjeść.

— Nie — odpowiedział Po-be-be, starając uwolnić się od mądrej kobiety. — Przestraszy się, to tylko zwierzę. A jeśli go nie odegnamy, zabierze ze sobą świeże ściervo.

Mówiąc te słowa Po-be-be rzucił kamień, który upadł koło głowy drapieżnika. Ten odskoczył. Drapieżnik podniósł do góry straszny pysk i zaryczał, chcąc wystraszyć ludzi. Mi-ła była bliska omdlenia, a Op-zwo podniósł kolejny kamień. Po-be-be rzucił celniej i trafił drapieżnika w bok

Wywołało to reakcję. Rycząc z bólu, zwierz odskoczył od ofiary i spróbował wskoczyć na pionową ścianę, żeby napaść na ludzi.

Czując swą siłę, kosmici zaczęli zbierać kamienie, patyki i gałęzie. W dół posypał się grad przedmiotów, co wystraszyło drapieżnika na tyle, że uciekł podwinąwszy ogon.

Po-be-be zaczął szybko schodzić w dół do ścierwa zwierzęcia, bo słusznie zakładał, że z pewnością grasują tu padlinożercy, którzy mogą uprzedzić ludzi. Uzbroił się w pałkę, a dokładniej mówiąc, w odłamaną od drzewa gałąź i teraz niestraszny był mu drapieżnik, bo raczej nie odważy się wrócić do ofiary, na którą mają ochotę tak agresywni uczeni.

Dosłownie po kilku minutach wszyscy stali wokół trupa nieznanego zwierzęcia.

— Co robić? — zapytała Mi-ła i nie znalazła telepatycznej odpowiedzi na zadane pytanie. Nikt nie wiedział, jak dobrać się do zdobyczy.

— Na początek — powiedział w końcu Po-be-be i na skutek jego słów i myśli Mi-ła zemdląła, zanim jeszcze zdążył zamienić myśli w słowa — możemy wypić jego krew — powinna być bardzo odżywcza.

Ale sam nie wykonał żadnego ruchu, żeby wprowadzić swe słowa w życie.

— Lepiej mnie zabij — powiedziała Nie-mi.

— Proszę bardzo — powiedział kapitan — pij krew jak komar.

— A właśnie, że wypiję — powiedział Po-be-be. Miał w sobie wiele uporów, który pomógł mu niejednokrotnie zwyciężać podczas olimpiad i konkursów fizycznych, bo gdy inni uczestnicy padali ze zmęczenia on nadal rysował i pisał, i już chociażby za to otrzymywał nagrody.

Po-be-be klęknął przed zabitym zwierzęciem. Szyja zwierzęcia była rozdarta zębami drapieżnika i krew wciąż się z niej sączyła. Nad raną krążyły już stadem zielone muchy, które zdążyły wyczuć zdobycz.

— No! — krzyknęła Nie-mi.

W jej głosie słychać było złośliwą satysfakcję. Po-be-be nie miał innego wyjścia jak wykonać swój plan. Dotknął wargami krwawej rany. Krew pachniała wstrętnie, a Po-be-be zrozumiał, że za chwilę padnie bez czucia obok trupa ofiary.

Nie, pomyślał, udał, że napił się krwi i wyprostował się. Całą twarz miał wymazaną krwią, krew spływała mu wąską strużką po piersi.

— Oj, nie! Tylko nie to! — zawołała przepiękna Nie-świa-mi i rzuciła się do rzeki.

Woda poniosła ją i rzuciła o kamienie. Po-be-be rzucił się do wody w ślad za piękną, a że był niezłym pływakiem szybko dogonił ją, jednocześnie splukując z siebie krew. Gdy pomagał jej wydostać się z rzeki, która skądinąd była nieco szersza od strumienia, nie było po nim widać ani śladu niedawnego koszmaru.

— Nie, najpierw trzeba zdobyć ogień — powiedział kapitan. — A propos, nie mamy przypadkiem noża?

Wszyscy z ulgą zgodzili się z kapitanem, i aby zabezpieczyć ścierwo przed gniciem, owadami i drapieżnikami, zawlekli go na płyciznę.

— To nic — powiedział Po-be-be — zaraz znajdziemy kryjówkę, rozpalimy ogień, zrobimy noże i zaczniemy żyć jak ludzie!

— Musimy tylko tego doczekać — westchnęła pełna życiowej mądrości Nie-mi. Osłabła i każdy krok wymagał od niej wielkiego wysiłku. Do tego przez komary straciła wiele krwi.

I tak, nie pożywiwszy się mięsem, znowu ruszyli wzdłuż rzeki i pewnie nie znaleźliby tego dnia

schronienia, bo byli zbyt zmęczeni i zgłodniali, gdyby nie usłyszeli gdzieś przed sobą budzącego niepokój hałasu.

Znieruchomieli sądząc, że to wraca po zdobycz pasiasty drapieżnik. Ale rzeczywistość okazała się znacznie bardziej Przerażająca.

Wzdłuż rzeki poruszało się kilka gigantycznych stworzeń nie przypominających nic, co można było spotkać na planecie Dom. Z czasem okazało się, że mieszkańcy Ziemi nazywają te stworzenia słoniami albo elefantami, i że słonie nie jedzą ludzi. Ale o tym wszystkim przybysze nie mieli pojęcia i dlatego ujrawszy szare giganty z dwoma ogonami — z przodu i z tyłu grubego cielska, rozpierzchli się we wszystkie strony, starając się wdrapać jak najwyżej po zboczach...

Słonie zatrzymały się zdziwione takim zachowaniem ludzi i, wiedząc z doświadczenia, że ludzie są zatwardziałymi przeciwnikami zwierząt, zawróciły.

Kosmici wdrapali się na zbocze i znaleźli się na szerokiej, płaskiej przestrzeni osłoniętej kamiennym nawisem. Dalej była ciemność — przestronne, podziemne pomieszczenie, jaskinia.

Los, który tak okrutnie obchodził się z nimi w ciągu ostatnich godzin, nagle zlitował się. Ale każdy kij ma dwa końce, a kosmici widząc tylko bliższy koniec nie podejrzewali, czym się skończy pobyt w jaskini w dolinie rzeki Prui.

* * *

— No i widzicie, powoli wszystko się ułoży — powiedział nawigator Po-bie, siadając na kamieniu przed wejściem do jaskini i spoglądając na zielone, wieczorne niebo usiane jasnymi gwiazdami, wśród których była też ich rodzinna Wassapoj, a wokół niej krążyła planeta Dom. Nawigatora Po-bie opanował cichy, beznadziejny smutek — wyglądało na to, że do końca swoich dni będzie mógł oglądać Dom tylko jak isierkę na cudzym niebie. Nawigator szaleńczo chciał wrócić do pracy, był przecież matematykiem, a wygwieżdzone niebo, przypominające mu o domu, zmieniło się na chwilę w ogromny monitor...

— Muszę wyjść — powiedziała cicho Nie-świa-mi, zatrzymując się koło nawigatora — ale boję się, że ktoś może być w ciemnościach.

— Tak, w chaszczach mogą kryć się dzikie zwierzęta — zgodził się nawigator.

— A może poszedłbyś ze mną i poczekał w pobliżu, gdy będę... — Nie-świa-mi nie mogła się zmusić do nazwania wprost tego, co będzie robić, bo w cywilizowanym społeczeństwie byłoby to ogromnie nieprzyzwoite, a Nie-świa-mi nawet tutaj nie zapomniała, że jest przedstawicielką wysokiej cywilizacji.

— Nic z tego — odpowiedział nawigator. — Jeśli pójdziemy razem, to dzikie zwierzęta zjedzą nas oboje. Taki wariant zupełnie mi nie odpowiada.

— To co mam zrobić? — zakrzyknęła ślicznotka.

— Znajdź sobie kogoś odważniejszego do towarzystwa albo możemy chodzić w krzaki całym kolektywem.

W tropikach bardzo szybko robi się ciemno. W czasie tej krótkiej rozmowy niebo zrobiło się granatowe. Krzaki w pobliżu jaskini wyglądały jak czarna paszcza nocy, dochodziły stamtąd jakieś

hałasy, trzaski, szuranie, a nawet westchnienia ukrytych tam stworzeń, bez wątpienia wrogo nastawionych do nagich uczonych.

Nie-świa-mi nie znalazła odważnego towarzysza i, korzystając z ciemności, wykonała toaletę pod ścianą pieczary, jak najdalej od rozmyślającego o komputerach Po-bie.

Rozsądny Op-zwo skorzystał z resztek światła i jeszcze o zmroku narwał trawy, z której umościł sobie w jaskini całkiem miękkie posłanie. Mi-ła poszła za jego przykładem, ale pozostali zajęci byli innymi problemami — sporami o przyszłość, skargami, rozmyślaniami i jękami, próbą rozpalenia ognia, planami przygotowania sieci do połowu ryb... I tak ciemność zastała wielu z nich zupełnie nieprzygotowanych, a gdy nastąpiła pora snu Op-zwo poczuł, jak w ciemnej jaskini zbierają się wokół niego koledzy, coraz bardziej odczuwający chłód panujący w podziemnej kryjówce i z każdą chwilą coraz bardziej przerażeni wizją samotnie spędzonej nocy. Dlatego dobry Op-zwo powiedział:

— Śpijmy dzisiaj znowu razem — mam dużo trawy, a jeśli Mi-ła dołączy swoje posłanie do mojego, to starczy dla wszystkich.

Kosmici rzucili się ku tłumaczowi Op-zwo i po chwili wszyscy leżeli razem tak, jak poprzedniej nocy.

Co prawda, nic nie powtarza się dwa razy. Wczoraj przytulali się do siebie ściśnięci ścianami niszy, w której znaleźli schronienie, a dzisiaj leżeli na płaskiej podłodze, byle jak przykryci trawą. Wczoraj panowało takie zimno, że aż szczękali zębami, a dzisiaj było chłodno, ale znośnie. Wczoraj nikt nie odważył się poruszyć i opuścić kłębowiska ciała, a dzisiaj od czasu do czasu ktoś wstawał i wychodził z jaskini, bo wszyscy najedli się zielonych bananów i orzechów, a ich nieprzyzwyczajone do takiego pożywienia żołądki nie wytrzymały tego.

Do tego głód tak męczył ludzi, że Po-be-be na przykład zuł trawę, z której zrobiono legowisko i nie mógł zasnąć, a kapitanowi tak wyraziście śniła się kolacja w domu rodzinnym, że tłumaczka Mi-ła o mało nie udławiła się śliną.

Bardziej dojrzałą i mądrzejszą Nie-mi dręczyła myśl o niechlubnym końcu życia. Swego czasu, wyruszając na ryzykowną wyprawę, Nie-mi z ochotą zgodziła się na twarde warunki — samobójstwo w przypadku niepowodzenia misji. Zgodziła się na ten warunek, tak jak człowiek godzi się z myślą o nieuchronności śmierci. Wiadomo, że zdarzy się to w jakiejś nieokreślonej przyszłości.

Gdy okazało się, że zrzędzeniem losu została skazana, nie mogła pogodzić się z myślą o konieczności zakończenia rozkwitającego życia w chwili, gdy dopiero co osiągnęła szczyt. Śmierć zmieniła się z niejasnego i dalekiego zagrożenia w realny obraz — krok w stronę przepaści i nie ma cię — I wtedy instynkt samozachowawczy okazał się silniejszy niż wierność planecie i państwu. Bohaterskich czynów dokonuje się w chwili zapomnienia, ale nie pod wpływem trzeźwych rozmyślań nad wyborem — posłuszeństwo czy życie.

Tak rozmyślała Nie-mi, leżąc na trawie, czując jak ścierpnięty bok dotyka zimnego kamienia i rozumiejąc, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że jest szczęśliwa — zadowolona z wyboru, w wyniku którego musi teraz znosić zimno i głód, ukąszenia komarów i ból w poobijanych stopach — to właśnie jest życie! To zwycięstwo jej wyboru nad ślepą wolą urzędników o kamiennych sercach.

W jej życiu nic się jeszcze nie skończyło — najważniejsze, że od tej chwili jest wolna i nikomu nie pozwoli odebrać sobie tej wolności. Nawet jeśli dane jej będzie przeżyć tylko rok, miesiąc, tydzień — przeżyje je na wolności!

Uśmiechając się przez łyzy, w półśnie przytuliła się mocniej do pleców kapitana Po-dyreka i napełniona sentymentalizmem wpiła się gorącymi wargami w jego szyję. Kapitan z zadowoleniem

mruknął przez sen — śniło mu się coś miłego.

* * *

Poranek, mglisty, chłodny i wilgotny, wpędził podróżników w jeszcze głębszą rozpacz. Biała wata pełzła po placyku przed jaskinią, wilgoć przenikała do szpiku kości, trudno było zejść do rzeki, bo mgła w dolinie była jeszcze gęściejsza.

Mi-ła obudziła się przed wszystkimi i leżała, oglądając razem ze swymi towarzyszami końcówki snów. Postanowiła, że gdy tylko zrobi się jasno ruszy na poszukiwanie owoców. Ale gęsta mgła zatrzymała ją na granicy placu.

Po chwili dołączył do niej Op-zwo, który także nie mógł spać. Stali w milczeniu i patrzyli na przelewające się przed nimi mleko, nie musieli nic mówić, by się rozumieć nawzajem.

Jak wiadomo, na Domu tłumacze (telepaci) najczęściej wstępują w związki małżeńskie między sobą. I mimo komplikacji, wynikających z tego, że cały czas wiadomo, co się dzieje w głowie partnera i całkowitej przezroczystości dla niego twojej głowy, takie związki są znacznie trwalsze niż związki między tłumaczami a zwykłymi ludźmi. Nic więc dziwnego, że gdy Op-zwo jeszcze przed odlotem poznał nową, młodą i uzdolnioną tłumaczkę, będącą do tego atrakcyjną dziewczyną, od razu pomyślał, że byłaby dla niego dobrą towarzyszką życia.

— Jeszcze jeden taki dzień mnie wykończy — powiedziała Mi-ła. — Nie mogę znieść cierpień innych ludzi. Przecież umrą z głodu, a ja będę musiała umrzeć razem z nimi.

— Czyżby nie nauczono cię, jak zamknąć zmysły przed oddziaływaniem cudzej woli?

— Przerabialiśmy to w szkole — odpowiedziała Mi-ła. — Ale jestem tak delikatna, że mimo wszystko czuję...

— Nie martw się — powiedział Op-zwo, kładąc rękę na gołym ramieniu swojej młodszej koleżanki, a ona aż wzdrygnęła się z zaskoczenia.

— Co masz na myśli?!

— Zbladłaś — powiedział Op-zwo. — Jesteś jeszcze taka młoda i naiwna. Nie byłaś jeszcze nigdy z mężczyzną...

— Nie wyznaczono mi dotąd męża — zgodziła się Mi-ła.

— Teraz sama go sobie wybierzesz.

— Kiedy zechcę?

— Kiedy zechcesz — jednego z nas.

— Nie! — sprzeciwiła się dziewczyna. — Mam nadzieję, że są tu inni mężczyźni.

— Niestety, nie znajdziesz szczęścia z obcym. Zapewniam cię.

Op-zwo nie uznał za stosowne ukrywać przed dziewczyną swego całkiem przyziemnego pragnienia. Ale doświadczony kusiciel oblekał je we mgłę podobną do tej, która kłębiła się u ich stóp. A Mi-ła rozumiała niebezpieczeństwo, ale w niebezpieczeństwie była jakaś zakazana słodycz... Zapomniała nawet o głodzie.

Mi-ła niechętnie spojrzała na stopy Op-zwo, a potem podniosła wzrok wyżej... Nie, to nie do pomyślenia!

Ale Mi-ła nie zdążyła niczego powiedzieć i nawet nie zdążyła zemdleć, bo najpierw Op-zwo, a po dwóch sekundach także ona sama usłyszała, jak do jaskini zbliża się ktoś zupełnie obcy. Ale rozumny.

Zaczęli cofać się ku jaskini. I wtedy Mi-ła straciła przytomność.

Op-zwo delikatnie pochylił się, by ją podnieść i zanieść dalej, ale nie zdążył, bo właśnie wtedy z mgły wyszedł starszy sierżant Sato.

Starszy sierżant Sato

Pochodzę z rodziny utrzymującej się z rolnictwa.

Jednak mimo niskiego pochodzenia, zawsze miałem wysokie ideały. W szkole należałem do stowarzyszenia Wiśniowego Pączka i byłem wychowywany w szacunku dla woli imperatora. Rozumiałem ducha bushido i zaczytywałem się opowieściami o przygodach roninów. Po ukończeniu szkoły planowałem wstąpić na uczelnię wojskową, bo trwała wielka wojna, w której wojska imperatora przelewały krew w imię utworzenia Wielkiej Wschodnioazjatyckiej Strefy Wspólnego Dobrobytu. Jednak słaby wzrok i byle jak zaleczona w dzieciństwie gruźlica, nie pozwoliły mi zostać pilotem, wystartować z pokładu lotniskowca i wziąć kurs na amerykańskie pancerniki w Pearl Harbor. Pogodziłem się z życiową porażką i dalej trenowałem ciało i ducha. Ćwicząc na pylistym polu za szkołą byłem przekonany, że moje życie przyda się imperatorowi.

Zmobilizowano mnie w marcu 1943 roku, gdy miałem 18 lat. Do tego czasu aktywnie uczestniczyłem w życiu stowarzyszenia Wiśniowego Pączka, a ponadto regularnie dyżurowałem w oddziale obrony przeciwlotniczej. Miałem narzeczoną, ale nie pamiętam jej imienia.

Jako żołnierz zostałem skierowany najpierw do Sajgonu. Dowódcą kompanii był lejtnant Kamiko, a dowódcą plutonu — lejtnant Imada. W ciągu pierwszego roku służby brałem udział w trzech operacjach bojowych, skierowanych przeciwko partyzantom. Ceniono mnie w kompanii, gdyż mimo słabego zdrowia zawsze wykonywałem rozkazy dowództwa nie oszczędzając się i wykazałem się wiernością imperatorowi oraz oddaniem dowódcy.

Na początku roku 1944 nasz pułk skierowano do Birmy, gdzie uczestniczyliśmy w operacji w prowincji Arakan i odparliśmy atak Anglików.

Byłem ranny, ale nie opuściłem szeregów armii. Zabiłem trzech angielskich żołnierzy. Latem 1944 roku zostałem awansowany do rangi kaprała. W tym czasie krążyły plotki że zostaniemy wysłani na jakąś wyspę na Pacyfiku, gdzie toczyły się ciężkie walki i gdzie rodziła się Wielka Wschodnio-azjatycka Strefa Wspólnego Dobrobytu. Jednakże przerzucono nas do Ligonu. W Ligonie było spokojnie. Wtedy były to jeszcze tyły frontu. Skierowano mnie na budowę kolei, gdzie pracowali angielscy i holenderscy jeńcy. Panował tam okropny klimat, szalała dyzenteria. Brałem udział w pacyfikacji pewnej wsi, gdzie znajdowali schronienie i opiekę wrogowie naszego imperium. Sprawilo mi to satysfakcję, bo niedaleko tej wsi zginął mój przyjaciel, którego imienia nie pamiętam. Srogo się zemściliśmy. Staliśmy po dwóch stronach osady i gdy inni podpalali domy, strzelaliśmy do tych, którzy próbowali uciec. Gdyby ktoś mnie spytał, czy czuję skruchę, odrzekłbym, że wyższa sprawiedliwość wymaga poświęceń. Ci, których męczy sumienie, są niebezpieczni na polu walki. Jestem przekonany, że nieszczęściem japońskiej armii imperialnej jest zbyt duża łagodność podczas walki z przeciwnikiem. Gdyby nasi wrogowie bardziej się bali, wcześniej by się poddali i w rezultacie przelano by mniej krwi, i japońskiej, i krwi naszych przeciwników.

Myślicie, że przez te wszystkie lata stałem się dzikim zwierzęciem, pozbawionym zdolności myślenia jak dzieci wychowane przez wilki? Jestem przekonany, że nie zamieniłem się w zwierzę. Ale miałem mnóstwo czasu na rozmyślania. Zrozumiałem, że na tym świecie tylko rozumne okrucieństwo może przynieść nam pokój. Jakakolwiek słabość prowadzi do pojawienia się różnych opinii, a różnorodność poglądów prowadzi do bałaganu i, w konsekwencji, do sporów i śmierci zarówno ludzi, jak i samej idei. Jestem przekonany, że gdyby mój punkt widzenia podzielało tysiące żołnierzy i oficerów imperatorskiej armii, to nasz hart ducha i umiejętność przeciwstawiania się trudnościom, niewyobrażalne wręcz dla innych nacji, pozwoliłyby stworzyć nową armię, przed którą wrogowie musieliby ugiąć się jaka trzcina na wietrze. Na tym kończę swe rozważania i przechodzę do opowieści o moim życiu.

W sierpniu 1945, po ciężkich walkach w dolinie Ligonu, nasz pułk został skierowany na odpoczynek i reorganizację w górzyste rejony na wschodzie kraju. Otrzymaliśmy dwa tygodnie odpoczynku, który był nam bardzo potrzebny.

Nasz oddział stał na przedmieściach miasteczka Tangi, mogliśmy chodzić do miasta. Od czasu, gdy flota amerykańska przechwyciła inicjatywę na oceanicznych szlakach komunikacyjnych, angielskie wojska miały lepszy sprzęt i przeważały nad nami siłą bojową. Mimo to z nadzieją patrzyliśmy w przyszłość, bo wiedzieliśmy, że duch bojowy naszej armii i tajna broń, nad którą pracowali japońscy uczeni, pomogą nam pokonać przejściowe trudności. Muszę nadmienić, że w naszym oddziale niestety nie wszyscy podzielali mój punkt widzenia, jednakże nasi dowódcy wyróżniali się odwagą i nie ustawali w wysiłkach, by dać nam pewność zwycięstwa. W te dni wszedłem w konflikt z młodszym lejtnantem Makino. Podczas prywatnej rozmowy ze mną i jeszcze dwoma podoficerami z naszego oddziału, lejtnant Makino stwierdził, że przegraliśmy wojnę i nasze imperium przez długie lata będzie płacić za przestępstwa samurajów i generałów. Jako jedyny z obecnych sprzeciwiłem się mu stanowczo, mimo że było on moim towarzyszem broni. Rozumiałem, że jego słowa spowodowane są zmęczeniem i upadkiem ducha bojowego. Gdybym był cywilem, zapomniałbym o tej rozmowie, ale wiedziałem, że w godzinie ciężkiej próby bojowej słowa lejtnanta Makino mogą wywrzeć demoralizujący wpływ na oddział. Postanowiłem więc w wolny dzień udać się do sztabu żandarmerii wojskowej — kempetai, by zasięgnąć tam rady u któregoś z oficerów.

Postanowienie to zrealizowałem w najbliższy wolny dzień. Wychodząc na przepustkę powiedziałem kolegom, że zamierzam odwiedzić garnizonowy dom publiczny, ale w rzeczywistości nic takiego nie miałem w planach.

W kempetai zaprowadzono mnie do pułkownika — dowódcy okręgu, i opowiedziałem mu o rozmowie w oddziale.

Tego samego dnia lejtnanta Makino doprowadzono do kempetai. W niedługim czasie został przesłuchany i rozstrzelany jako zdrajca. Sądzę, że w batalionie nikt nie dowiedział się o mojej wizycie w kempetai, chociaż niektórzy domyślali się tego. Gdy po dwóch tygodniach wróciliśmy na front ktoś strzelił do mnie z tyłu, cudem uniknąłem trafienia.

Ciężkie walki, które rozpoczęły się po naszym powrocie na front, toczyły się na linii pasma gór, gdzie okopaliśmy się. Pogoda była kiepska, padały deszcze, woda wlewała się do okopów. Z drzew cały czas spływały ciężkie krople. Wiedziałem, że to moja ostatnia walka, bo za plecami mieliśmy ogromne, długie jezioro, którego nie byliśmy w stanie przepłynąć, a Anglicy mieli nad nami przewagę liczebną, mieli dużo samolotów, podczas gdy my już praktycznie nie mieliśmy lotnictwa. Anglicy zaczęli atak o świcie, po przygotowaniu artyleryjskim. Udało nam się odeprzeć atak

piechoty, gdyż mieliśmy jeszcze karabin maszynowy. Jednakże straty naszego oddziału były wielkie. Muszę jednak dodać, że mimo to podczas walki czułem uniesienie, bez względu na głód i zmęczenie.

Nocą dotarł do nas czwarty oddział pod dowództwem sierżanta Aoki. Aoki wyglądał jak uczeń. Przepraszył, że przybył tak późno. Teraz było nas wszystkich razem trzydziestu sześciu ludzi. Mniej więcej koło dziewiątej usłyszałem pierwsze rozkazy wydawane po angielsku. Kule wbijały się w ziemię wzdłuż linii okopów. Wykrzykiwałem po kolei imiona moich żołnierzy, a każdy, kto był żywy odpowiadał mi krótkim „Haj!”. Potem krzyknąłem, że jeśli Anglicy podejną bliżej można rzucać granaty. W końcu, w prześwitach między krzakami zobaczyłem pierwszych żołnierzy wroga. Krzyknąłem:

„Trzeci oddział! Bagnet na broń! Przygotować granaty!” Z daleka, przez huk walki dotarł do mnie głos Aoki: „Do ataku!” Zobaczyłem jak młody dowódca oddziału podniósł się. Przestraszyłem się, że moi żołnierze dadzą się porwać jego przykładowi i krzyknąłem: „Trzeci oddział, zostać na miejscu!”

Młody Aoki upadł, a ci z jego żołnierzy, którzy pozostali przy życiu wycofali się z powrotem do okopu. Słyszałem jak chlupocze woda, gdy ich ciała padały do środka.

Anglicy byli całkiem blisko, docierały do mnie ich głosy. Strzelaliśmy i rzucaliśmy w nich granatami. Lecz oni mimo to byli coraz bliżej. Na szczęście do akcji włączyły się trzy armaty, które własnymi rękami zaciągnęliśmy w góry. Anglicy pogubili się i zaczęli się cofać. Dowódca plutonu, lejtnant Jahiro, wybiegł do przodu i nakazał atak na bagnety. Pobiegliśmy za nim. Dookoła byli tylko martwi Anglicy. Wróciłem w góry, gdzie odnalazłem dowódcę plutonu i zameldowałem mu o działaniach oddziału, z którego zostało czterech ludzi. Lejtnant powiedział: „Dziękuję panu, starszy sierżancie Sato, za stawienie czoła przeciwnościom”. Jak dziś pamiętam jego głos. Był tam także dowódca batalionu, który miał przy sobie wykaz zasług i na pierwszej stronie zapisał moje imię. Był to wielki zaszczyt dla piechura — nazywaliśmy to „kwiatem marzenia”.

W nocy znowu zaczął się ostrzał naszych pozycji.

Niedaleko ode mnie wybuchła mina, a ja straciłem przytomność.

Gdy odzyskałem przytomność była już głucha noc. W pobliżu słychać było głosy Anglików. Było cicho, głosy brzmiały spokojnie. Przez zarośla prześwitywały płomienie ogniska. Bardzo bolała mnie głowa, ręka zeszywniała i nie zginała się. Noga także była potłuczona. Poczółgałem się w stronę ogniska z nadzieją, że zobaczę tam swoich towarzyszy.

Pomyliłem się. Przy ogniu siedzieli Anglicy. Rozmawiali tak, jakby wyszli na spacer i nikogo się nie obawiali. Miałem ochotę powystrzelać ich z automatu, ale dopiero wtedy zorientowałem się, że nie mam broni. Być może zgubiłem ją, gdy siła wybuchu rzuciła mnie na bok, a może zabrano mi go, sądząc, że jestem martwy. Poczuję silny głód, bo przez dwie doby niczego nie jadłem, a od ogniska dolatywał smaczny zapach.

Anglicy długo jedli, potem zaczęli śpiewać, a ja pomyślałem, że nasi wycofali się daleko, bo inaczej Angole nie odważyliby się śpiewać. Dopiero potem przypomniałem sobie, że za wzgórzami jest tylko stromy uskoki i jezioro, więc nie ma się gdzie wycofać. Pomyślałem, że może przypłynęły tratwy i ewakuowały naszych.

W końcu Anglicy skończyli kolację i rozeszli się po namiotach rozstawionych na zboczu. Jeden z nich wziął garnek i wylał z niego zupę w krzaki. Byłem gotów go zabić. Potem poszedł spać, a ja poczółgałem się w stronę dogasającego ogniska. Pamiętałem, gdzie Anglik wylał resztki zupy. Czułem nienawiść do wroga wylewającego zupę, w czasie gdy żołnierze imperatorskiej armii głodowali. Byłem gotowy udusić wszystkich, ale czułem tylko ból i zawroty głowy. Myślałem, że

jakoś się podkradnę, a potem ukradnę im broń i wszystkich zastrzelę. Ale gdy znalazłem się w krzakach i macałem rękami w poszukiwaniu niedojedzonych resztek, w pobliżu rozległ się głos Anglika. Całkiem zapomniałem o strażniku, którego jednak zostawili, a on usłyszał jak buszuję w krzakach. Zamarłem, a Anglik posłał w krzaki serię z automatu. Pozostali zaczęli wyłazić z namiotów i pytać, co się stało.

Gdy wszystko ucichło udało mi się odczołgać od angielskiego obozu na w miarę bezpieczną odległość. Potem wspiałem się na górski grzbiet. Ze smutkiem popatrzyłem na okopy, w których spędziłem dwa dni. Okop był do połowy zalany wodą. Do głowy przyszły mi takie oto strofy:

Żółty liść pływa w czarnej wodzie.

W tym stawie utonęły nasze nadzieje.

Ale nie miałem do kogo ich wygłosić. Nie miałem na czym ich zapisać. Zszedłem w dół, ku jezioru przeciętemu na pół srebrnym blaskiem księżyca. Szedłem ostrożnie, bo po drodze mogłem natknąć się na angielskich żołnierzy. W ciemnościach potknąłem się o leżące ciało. Schyliłem się i poznałem mojego żołnierza, Ocuki, którego jeszcze wczoraj widziałem żywego. Niedaleko od wody, w naturalnym zagłębieniu znajdowało się dowództwo batalionu. Księżyc oświetlał to miejsce. Zobaczyłem trzy albo cztery ciała. Wewnątrz leżał trup majora — komendanta batalionu.

Poszedłem na północ wzdłuż brzegu jeziora, cały czas ukrywając się w zaroślach, miałem nadzieję, że dotrę do drogi prowadzącej do miasteczka Tangi, które z pewnością było jeszcze w naszych rękach. W ciągu dnia musiałem leżeć w krzakach, bo przez przypadek dotarłem do środka angielskiego obozu. Kilka razy niemal mnie zdemaskowano. Deszcz ustał, męczyło mnie pragnienie, ale głód nieco się uspokoił.

Następnej nocy wyszedłem na drogę, którą jechały na wschód angielskie samochody. I wtedy zrozumiałem — mam obowiązek prowadzić wojnę tak, jakbym nadal był w szeregach armii imperatora. W ciągu dnia znalazłem pistolet i magazynek. Z tego pistoletu zastrzeliłem we wsi jednego Ligończyka, który ściągał z masztu japońską flagę, a potem przez trzy dni musiałem kryć się w lesie, a oni uganiali się za mną jak myśliwi z nagonką. Nauczyłem się znajdować jadalne korzenie, kraść z pola jams, a z sadów banany i mango. W ciągu tych miesięcy zabiłem dwóch Anglików i byłem dzięki temu nieźle uzbrojony. Ale wraz z początkiem pory suchej musiałem ruszyć dalej na północ, bo z drzew opadły liście i można mnie było bez trudu znaleźć. A w tej okolicy wiedziano już o mnie i bano się, darzono nienawiścią i próbowano złapać. Byłem jak mała armia, groźna i nieuchwytna. Kilka razy próbowałem skrócić na wschód. Ale jakkolwiek bym nasłuchiwał, artyleryjska kanonada była coraz cichsza i zrozumiałem, że od towarzyszy dzielą mnie dziesiątki, a może nawet setki mil. Nie wiedziałem nic o losie mojego kraju, ale byłem przekonany, że dopóki trwam na swym stanowisku, dopóty istnieje Wielka Wschodnioazjatycka Strefa Wspólnego Dobrobytu, a sława japońskiego oręża dociera aż do Ligonu.

Człowiek przywyka do wszystkiego — do dobrego i do złego. Przywyka do nowego życia, a ono toczy się w tym samym tempie co poprzednie. Czasami zastanawiałem się, czy byłbym szczęśliwszy, gdybym wrócił do Japonii? Nie wiem. Wychowano mnie do spełnienia obowiązku. W każdym bądź razie, tutaj, w głuszy, spełniałem go. Nie byłem pionkiem, zerem, ale jak jeden z czterdziestu siedmiu roninów mściłem się za swego mikado, bo sądziłem, że jeśli zostaniemy pokonani, mikado będzie poniżony i odejdzie z tego świata.

Liczyłem miesiące, potem lata, obserwując jak zmieniają się pory suche i deszczowe. Nie

potrzebowałem broni palnej — po co zwracać na siebie uwagę wystrzałami — chociaż ją miałem. Dobrze służył mi bagnet, podobny do szerokiego noża...

Czasami w dolinie rzeki, na ścieżce wiodącej wzdłuż rzeki pojawiali się przemytnicy. Jeśli było ich wielu nie ruszałem ich. A gdy widziałem samotnego wędrowca wiedziałem, że mogę go zabić. W ciągu tych lat zdarzyło się to trzy razy.

Kilka razy ciężko chorowałem i nieco straciłem zwinność ruchów, ale górski klimat był zdrowy, jadłem surowe pożywienie i dlatego udało mi się zachować siły. Byłem przekonany, że na pewno nadejdzie dzień, gdy na wschodzie usłyszę kanonadę, nad głową przeleci myśliwiec z czerwonym kołem na skrzydle i spotkam się z towarzyszami.

* * *

Starszy sierżant Sato nie śpieszył się z wejściem do jaskini.

Stał nieruchomo pod nawisem, wszystkimi komórkami ciała wsłuchując się w to, co działo się wewnątrz jaskini, jakby tam był — niewidzialny, słuch i inne zmysły wyostrzyły mu się tak w ciągu dziesięcioleci spędzonych w lesie, że mógł równać się z dzikimi zwierzętami.

W jaskini byli jeszcze inni ludzie — kilkoro ludzi. Byli przestraszeni i rozmawiali w niezrozumiałym języku. Pojawiło się pytanie: czy mają broń? A nuż wpakują w niego z ciemności całą serię... No cóż, stałeś się strachliwy, sierżancie Sato. Przyzwyczyłeś się już do tego, że jesteś władcą maleńkiego na mapie, ale w rzeczywistości ogromnego świata, tak naprawdę nie potrzebujesz już ani Japonii, ani Ligonu — twoją wielkość można porównać tylko z ogromem gór i szumem lasu.

I wtedy, dziwiąc się własnemu spokojowi, Sato odsunął się w bok, żeby nie stać na drodze ewentualnej kuli. Położył dłoń na rękojeści noża — dobrego, amerykańskiego bagnetu, który służył mu przez wiele lat.

Sato miał też prawdziwą broń — karabin i pistolet znalezione w bunkrze, wysoko w górach. Tam, w suchym i kryształowo czystym powietrzu, przeleżały kilka lat po wojnie w towarzystwie szkieletów trzech Anglików, którzy bronili tego bunkra w 1942 i nie wyszli z niego żywi. Tam Sato znalazł także płaski, angielski hełm, który służył mu jako miska, i mnóstwo naboju. Powinien wziąć więcej, ale wtedy, dwadzieścia lat temu, nie wiedział, że zostanie tu tak długo. Ponadto sierżant miał jeszcze pistolet, całkiem nowy — zabrał go zabitemu przemytnikowi wraz z woreczkiem rubinów. Ale i karabin, i pistolet leżały daleko, w innej jaskini, w skrytce. Sato nigdy nie chodził na polowanie z bronią palną — odgłos broni mógł go zdradzić.

Sato postął przez chwilę nieruchomo, a potem zaczął powoli przesuwać się w stronę wejścia do jaskini, z plecami przyciśniętymi cały czas do skały.

Gdy kolejny krok miał wyprowadzić go na otwartą przestrzeń — zamarł, wciąż jeszcze nie wiedział, jak wywabić dzikusów pojedynczo z jaskini tak, by w razie czego mógł im popodrzynać gardła. Jego myśli przeniknęły do jaskini i dotarły do świadomości delikatnej Mi-ty. Natychmiast przekazała to do Op-zwo.

— Jest sam — powiedział Op-zwo do pozostałych. Mówił bezdźwięcznie, nie rozchylając warg, przesyłając myśli bezpośrednio do mózgow. Taki kontakt był dopuszczalny tylko w przypadku

najwyższej konieczności, w innych sytuacjach uważano go na Domu za nieprzyzwoity. — Jest sam. Ma nóż. Myśli, że możemy na niego napaść i dlatego chce nas zabić.

— O niebiosa! Tylko tego brakowało! — krzyknęła w myślach Nie-mi. — Iluz pragnie mojej śmierci!

— Zatrzymał się i myśli jak nas wywabić — kontynuował Op-zwo.

— Kim jest? — zapytał kapitan. — Czy jest przedstawicielem władz? A jeśli jest, to czy w tych stronach przyjęto od razu zabijać nieznajomych? Być może to po prostu nieporozumienie? Może oczekuje od nas jakichś przepustek albo zaświadczeń?

— Proponujesz, żebym z nim porozmawiał? — zapytał Op-zwo.

— Najwyraźniej nie mamy innego wyjścia.

— Poza tym, w najgorszym przypadku rozprawimy się z nim — oznajmił Po-be-be. — Jest nas wielu, a on jest sam I zabierzmy mu nóż. Przyda nam się.

Po-be-be zauważył pełne zachwyty spojrzenie Nie-świa-mi. Ślicznotka lubiła zdecydowanych mężczyzn. Jej ukochany Po-mgn odsiedział nawet kilka lat za ostentacyjne przejście przez ulicę w niedozwolonym miejscu.

— Przestańcie pleść głupoty — kapitan przerwał młodemu człowiekowi. — Nie wiemy, czy jest związany z miejscową władzą, ilu ludzi na niego czeka i jakie nieszczęścia mogą nas spotkać, jeśli nie przejawimy lojalności.

— A poza tym — zauważyła pełna życiowej mądrości Niemi — może wcale nie jest taki zły. Jeśli go nie wystraszymy, może stać się naszym zbawcą.

Myśl ta spodobała się wszystkim.

— Idź — powiedział kapitan do tłumacza Op-zwo.

Tłumacz zrobił kilka kroków w stronę starszego sierżanta, a ten usłyszał, a raczej wydawało mu się, że usłyszał, bo w rzeczywistości przechwycił myśl.

— Przepraszam bardzo, ale chciałem powiedzieć, że nie mamy żadnych złych zamiarów.

Sato nie poruszył się. Myślał teraz nie tak szybko jak kiedyś. Zrozumiał, że rozmawiają z nim. Ale w żaden sposób nie mógł się zorientować, skąd dobiega głos.

W jaskini panowała martwa cisza. Mi-ła przekazała pozostałym słowa Op-zwo.

— Kim jesteś? — zapytał w końcu Sato. Stał, przyciskając plecy do skały, przed sobą trzymał nóż.

— Nazywam się Op-zwo — odpowiedział tłumacz. — Nie skrzywdzimy nikogo. Jesteśmy tu obcy i cieszymy się, że spotkaliśmy człowieka.

— Obcy? Skąd jesteście, obcy?

— Przyszliśmy z gór, idąc z biegiem rzeki.

— Z Chin?

Op-zwo nie wiedział co to takiego Chiny, nie mógł też wydobyć tej informacji z głowy Sato, dlatego nie zaprzeczył.

— Czego tutaj chcecie? — zapytał Sato. — Po co przyszliście do mojej jaskini?

— Było nam zimno. Szukaliśmy domu.

— Ilu was jest?

— Siedmioro.

— Jaką macie broń? — zapytał Sato.

— Nie mamy broni.

— To niemożliwe. Chodźcie po górach bez broni?

— Przytrafiło nam się nieszczęście. Nic nam nie zostało.

— Wyjdź na otwartą przestrzeń — rozkazał Sato. — Wyjdź sam. Ręce trzymaj przed sobą.

Op-zwo podporządkował się. Wyszedł z jaskini, trzymając ręce wyciągnięte przed sobą. Mgła nieco rozwiała się, ale słońca nie było widać — w powietrzu nadal unosiła się lekka, ciepła mgielka.

— Stój! — rozkazał Sato.

Patrzył na dzikusa. Dzikus patrzył na sierżanta i przekazywał informacje pozostałym, znajdującym się wewnątrz jaskini.

Sato zobaczył człowieka wzrostu wyższego niż średni, z ciemną, opaloną, nie czerwoną, nie brązową, a po prostu ciemną skórą, w kolorze jaki przybiera woda stojąca długo w cieniu. Miał duże oczy, jaśniejsze niż skóra, włosy jasne, być może siwe. Włosy miał krótkie, dziwnie ostrzyżone — ścięte na jeża na karku, a pośrodku dłuższe, spadające na czoło.

Człowiek był całkiem nagi. Czegoś takiego Sato nigdy nie widział. Wiedział, że w górach żyją dzikie plemiona. Spotykał Nagów, Niebieskich Fonów i Tangi-cyniej, których kobiety chodzą obnażone do pasa, a mężczyźni noszą tylko przepaski biodrowe. Ale wszyscy oni rekompensowali swe skąpe odzienie bogactwem koralików, bransolet i innych ozdób. A ci byli nadzy. A co więcej, wstydzili się swej nagości, co jest zupełnie nietypowe dla dzikich (co prawda o tym Sato nie pomyślał) i starali się trzymać ręce tak, by zakryć niektóre części ciała.

Op-zwo patrzył na żylastego, pomarszczonego, wychudzonego człowieka w nieokreślonym wieku, z długimi, gładkimi, czarnymi włosami, związanymi z tyłu w ogonek, odzianego w podartą drelichową kurtkę bez rękawów i za krótkie spodnie.

Oczywiście, Op-zwo nie mógł wiedzieć, że człowiek ten nie pochodzi z tych okolic i urodził się daleko za morzem, że znalazł się tutaj na rozkaz swych rodaków, żeby podbić ten kraj.

Widział człowieka i wiedział, że emanuje z niego niebezpieczeństwo, złość na tych, którzy odkryli jego kryjówkę. Ale wiele myśli starszego sierżanta było zupełnie niezrozumiałych dla tłumacza, ze względu na ogromne różnice kulturowe, a także dlatego, że cywilizacja Domu wyprzedzała Ziemię o kilka stuleci.

— Wyjdź dalej — nakazał Sato — ręce trzymaj nad głową!

Op-zwo ze zdziwieniem zauważył, że przybysz obawia się, czy nie ma czasem broni, a przecież broni nie da się ukryć, gdy ktoś jest całkiem nagi. Poinformował o tym sierżanta.

Ostatnią rzeczą, jakiej spodziewałby się Sato, było usłyszeć słowa wypowiedane po japońsku przez dzikusa. Przez głowę przemknęła mu nawet myśl, że natknął się na niedobitki innego, ukrywającego się w lesie, japońskiego oddziału, który ucierpiał jeszcze bardziej niż on sam.

— Skąd jesteście? — zapytał tłumacza.

— Mieszkamy tam — powiedział Op-zwo i, czując niedowierzanie w myślach Sato, wykonał ręką nieokreślony gest pokazując, że nie mieszka w tej dolinie.

— Jesteś Japończykiem? — zapytał Sato.

Op-zwo zauważył, że jego rozmówcę ożywiła radosna nadzieja, ale mimo ogromnej chęci, by utwierdzić go w tym przekonaniu, nie mógł skłamać i nie otwierając ust odpowiedział, że raczej nie może uważać się za Japończyka, bo nie wie kim są Japończycy.

Dopiero wtedy Sato zauważył, że podczas rozmowy Op-zwo nie otwiera ust, jak brzuchomówca na jarmarku i jego nadzieja na spotkanie z rodakami rozwiała się ostatecznie.

Sato postanowił odłożyć na później rozwiązanie zagadki pochodzenia przybyszów i nakazał:
— Wychodźcie i ustawcie się wzdłuż ściany! — Sato cofnął się o krok, żeby w razie czego jak najszybciej uciec.

Op-zwo wezwał w myślach swych towarzyszy, a ci zaczęli wychodzić z jaskini.

Jako pierwszy wyszedł, oczywiście, kapitan.

Mógłby chociaż jakąś szmatę narzucić na lędźwie, pomyślał Sato, który nigdy nie obnażał się, by nie zrównać się z dzikimi zwierzętami.

Za kapitanem podążała Nie-mi.

Kobieta! Prawdziwa kobieta! I nie stara. Do tego całkiem goła!

Sato zainteresował się — kto wyjdzie następny?

Nie-mi nieśmiało uśmiechnęła się do sierżanta. Op-zwo informował towarzyszy o czym myśli Sato. Oznajmił, że na widok Nie-mi nieco zmiękł.

Po-bie nie zainteresował Sato, za to Po-be-be wydał mu się niebezpieczny i to mu się nie spodobało. Op-zwo poinformował o tym Poczyszającego w biedzie i bezsilności.

Na koniec wzrok Sato ucieszyło pojawienie się ślicznotki Nie-świa-mi, która co prawda nie mogła być uważana za piękność zgodnie ze sztywnymi europejskimi, a nawet ligońskimi kanonami, ale jej zdrowie, młodość i pewność siebie robiły ogromne wrażenie na mężczyznach z różnych planet.

Starszy sierżant Sato nie był pod tym względem wyjątkiem*.

Miotające nim uczucia były tak oczywiste, że podążająca za Nie-świa-mi tłumaczka Mi-ła gotowa była zapaść się p0(j) ziemię, a jej ręce rozpaczliwie miotaly się przed ciałem starając się zakryć te części ciała, na których zatrzymywał się wzrok starszego sierżanta, chociaż fragmenty te ustępowały co do wielkości obfitym kształtom Nie-świa-mi.

Ustawili się pod ścianą.

Byli spokojni i pokorni.

Sato przyjrzał się im i nawet przespacerował się przed szeregiem kosmitów, nieoczekiwanie dla samego siebie przypominając sobie dawno zapomniane uczucia młodszego dowódcy, przechadzającego się przed ustawionym w szyku oddziałem.

I właśnie wtedy, nie więcej niż kilka minut po pierwszym spotkaniu, Sato zrozumiał, że nie pozwoli odejść temu plemieniu, które tak nieoczekiwanie zważyło mu się na głowę i że zatrzyma ich przy sobie, bo nadszedł czas, by znowu rozkazywać ludziom. Zakończył próbę samotności i w nagrodę niebo zesłało mu poddanych.

Myśl o własnym oddziale cały czas kołatała mu się po głowie, pragnąc oblec się w słowa, a w tym czasie starszy sierżant cały czas przechadzał się przed szeregiem kosmitów i zadawał im pytania. Zrozumiał już, że nie ma sensu podnosić głosu — tłumacze wychwytywali nawet szept.

— Od dawna idziecie? — zapytał.

— Od dawna — odpowiedział Op-zwo. Nie mógł przecież przyznać się tubylcowi do pozaziemskiego pochodzenia.

Sato zatrzymał się przed Mi-łą. Oglądał jej nogi, zbyt delikatne i zadbane jak na dzikuskę, a także podrapane i pokłute łokcie, świadczące o tym, że przez jakiś czas dziewczyna musiała pieszo chodzić po lesie. Było to dziwne i Sato nie znajdował wytłumaczenia. Należało kontynuować przesłuchanie.

— A co jecie?

— Zbieramy... zrywamy...

— Kłamiecie — powiedział Sato. — To nie ta pora roku. Teraz w lesie ciężko jest przeżyć. A wy jesteście zadbani i to jak!

Nieoczekiwanie zrobił krok do przodu i twardymi jak kość palcami złapał i pociągnął ku sobie wałeczki tłuszczu na brzuchu nawigatora Po-bie.

— Nie — powiedział starszy sierżant — to kłamstwo! Bzdury! Przyznajcie się, skąd uciekliście!

— Mieszkamy w górach — uparcie powtarzał Op-zwo, bo nie mógł udzielić innej odpowiedzi.

— Dobrze — powiedział groźnym tonem Sato. — Jeszcze dzisiaj pójdziecie za mną do lasu i pokażecie jakie grzyby i owoce zbieracie. Jeśli będziecie kłamać — zabiję was.

— Jesteśmy głodni — powiedziała pełna życiowej mądrości Nie-mi. Czuła sympatię do Sato, bo był grubiański i muskularny. Paradoks polega na tym, myślała, że uważa nas za dzikusów, a my wiemy, że to on jest prawdziwym dzikusiem.

Sato zauważył, że nie rozumie słów dojrzałej kobiety. Zwrócił się do Op-zwo. Op-zwo przetłumaczył. Sato radośnie stuknął palcem w pierś Op-zwo:

— Ty jesteś Japończykiem, oni są dzicy.

Op-zwo zgodził się. Było jasne, że lepiej jest uchodzić za Japończyka niż za dzikiego.

— Jesteśmy głodni — powtórzyła Nie-mi.

— Idźcie i weźcie sobie — powiedział Sato. — Zawsze znajdujecie, to i teraz znajdziecie.

Kapitan Po-dyrek uważnie obserwował starszego sierżanta i wyciągnął już pierwsze wnioski na własny użytek. Niemało czasu poświęcił na przestudiowanie taśm i innych zapisów, dostępnych w Centrum Galaktycznym obserwującym Ziemię z ukrycia przez kilka dziesięcioleci i nie zapomniał o istnieniu na Ziemi wysoko rozwiniętego społeczeństwa, aparatów latających i broni atomowej. Kapitan miał wszelkie podstawy do tego, by sądzić, że człowiek, który pojawił się przed jaskinią, nie należy do śmietanki ludzkiego społeczeństwa, a raczej sam jest dzikusiem albo odszczepieńcem, nie można nawet wykluczyć, że należy do elementu przestępczego.

Rozmyślając tak, kapitan rozumiał, że mimo niebezpieczeństwa wynikającego z kontaktów z elementem przestępczym, dla nich, wyrzutków, sytuacja może okazać się korzystna — wyrzutek nie wyda wyrzutka. A przynajmniej nie będzie się śpieszył z wydawaniem.

— A kim ty jesteś? — zapytał kapitan.

Sato zdziwił się. Pytanie padło z ust chudego mężczyzny o rzadkich, przylegających do czaszki włosach. Oczy tego człowieka były osadzone tak blisko nosa, że wydawało się, iż ma tylko jedno oko rozdzielone poprzeczną przegrodą.

— Tutaj ja zadaję pytania — oznajmił Sato, przypominając sobie ulubione wyrażenie lejtnanta Mikado.

I aby rozwiać jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, kto jest tu najważniejszy, wyjął zza pasa nóż.

Kapitan wzruszył ramionami, ale w sposób niesłyszalny dla sierżanta przekazał pałeczkę sztafetową Po-bie. Ten był bardzo obrażony na dzikusa, który odważył się dotknąć jego brzucha.

— Nie wzywaliśmy cię — powiedział Po-bie.

— Nie drażnij go! — krzyknęła Nie-świa-mi.

Sato usłyszał ten okrzyk, nastroszył się, ale oczywiście nie zrozumiał co oznacza.

— Mają rację — powiedział Op-zwo. — Ten nieznajomy jest agresywny i chce nas sobie podporządkować.

— Nie potrzebuje nas! — poparła młodą kobietę Nie-mi. — Za to my go potrzebujemy. Powie nam, jak zdobyć jedzenie, nauczy nas wszystkiego.

— Słusznie — powiedział kapitan. — Ale on chce robić to z pozycji siły, a my chcemy, żeby nam się podporządkował.

Wdali się w spór i na kilka sekund zapomnieli o Sato, któremu szybko znudziło się wysłuchiwanie ich niezrozumiałego trajkotania, którego stary tłumacz z jakiegoś powodu nie chciał przełożyć na normalny, japoński język. W tym czasie myśli Sato biegły tym samym torem co rozważania kapitana. On także chciał kierować ludźmi, ale wyglądało na to, że w tym celu trzeba by ich nastraszyć. A jak nastraszyć siedmioro ludzi, gdy ma się do dyspozycji tylko jeden nóż?

Można tego dokonać tylko atakując znienacka. Napaść trzeba na najważniejszego — na łysego kierownika, który nawarzył tej kaszy.

Op-zwo i Mi-ła, zajęci rozmową swych kolegów, przegapili to postanowienie i ruch sierżanta.

Jednym skokiem pokonał odległość trzech kroków, dzielącą go od kapitana i zgrabnie, w mgnieniu oka, jakby nóż był przedłużeniem jego palców (tak zresztą było w rzeczywistości), przystawił ostrze do krtani kapitana — na centymetr, nie więcej, i zrobił nożem taki ruch, jakby chciał odciąć kapitanowi głowę, chociaż tego nie miał oczywiście w planach — chciał tylko nastraszyć dzikusów i udowodnić im, jaki jest silny. Tylko tyle. I niech zobaczą krew. Czerwoną krew. Może odzwyczaili się od jej widoku?

Raz — skok. Dwa — błysk noża. Trzy — kapitan cofnął się, nie rozumiejąc co się dzieje. Cztery — purpurowa krew bryzga z gardła kapitana... Kapitan czuje, że został zabity i powoli upada na kamienie.

Wszyscy widzą, że kapitan został zabity, ale nikt nie rozumie, jak to się stało.

Sato zrobił mały krok do tyłu — nikt by nie zgadł, że jest już po pięćdziesiątce. Nóż wsuwa się z powrotem do pochwy.

Kapitan osunął się na kamienie, z przerażeniem patrzy na swoje palce pokryte krwią. Wśród jego towarzyszy przetacza się westchnienie przerażenia. Wszyscy byli gotowi rzucić się mu na pomoc i wszystkich zatrzymał na sekundę, na dwie sekundy, na trzy sekundy... na pięć sekund groźny bezruch sierżanta Sato, bezruch węża wpatrującego się w ofiarę.

— O Bogowie! — zawołała nie wytrzymując milczenia Nie-świa-mi. — Czyżby go zabito?

I schyla się nad kapitanem.

Kapitan patrzy na zakrwawione palce — nigdy w życiu nie widział naraz tyle krwi. Drugą rękę przycisnął do gardła, a między palcami powoli przecieka krew.

Pozostali także zbliżyli się do kapitana, a im bliżej podchodzili, tym bardziej czuli się zjednoczeni, zdolni do oporu, opanowywało ich zupełnie cywilizowane oburzenie skierowane przeciwko dzikim, nieludzkim poczynaniom, na które pozwala sobie ten oberwaniec.

— Zabiłeś go! — powiedziała Nie-świa-mi, używając najbardziej obraźliwego spośród wszystkich określeń istniejących w jej ojczystym języku. Sato uśmiechnął się, prezentując zepsute zęby.

— Podrapałem go trochę, żeby nie gadał głupot — powiedział Sato.

— Umieram? — zapytał kapitan.

— Tchórz — powiedział Sato.

— Gardzę tobą, morderco! — powiedział kapitan. Bolało go tak, że poczuł się gorzej i zemdłał.

— Umarł! — zawołała Nie-mi.

— Nie — powiedział Op-zwo.

— Nie grozimu śmierć — powiedziała Mi-ła, spoglądając na Sato i czując, że w jego myślach

nie ma planów dalszego karania uczonych. — Jest mu niedobrze z głodu i ze strachu.

— Przetłumacz! — zażądał Sato, spoglądając na Op-zwo. Nie domyślił się, że Mi-ła też jest tłumaczką.

Op-zwo powtórzył słowa Mi-ły.

— Słusznie — powiedział Sato i poszedł w głąb jaskini, żeby sprawdzić, czy nie ukryli się tam jeszcze jacyś goście. Szedł spokojnie, bo ci nadzy ludzie z pewnością byli zbieraczami jagód i ślimaków, a nie prawdziwymi ludźmi. Jeśli nie napadli na niego od razu to znaczy, że nie mają dość siły, by napaść na niego później. Wystarczy tylko nastraszyć ich od czasu do czasu.

Sato nie miał do końca racji. Nie wiemy, jak by dalej potoczyły się wydarzenia, gdyby nie to, że kosmici musieli zachować w tajemnicy swe pochodzenie. Przecież odzyskawszy przytomność, kapitan sam powstrzymał rwącego się do walki Po-be-be.

Problem leżał gdzie indziej — krew nadal ciekła, widocznie Sato uszkodził jednak jakieś ważne naczynie krwionośne. Dlatego właśnie, gdy po kilku minutach Sato znowu znalazł się przed jaskinią, przekonał się, że nadzy ludzie zostali na swoich miejscach. Op-zwo zwrócił się do niego takimi słowami:

— Człowieku, zadałeś niepotrzebną ranę naszemu towarzyszowi. Jak widzisz, krwawi. Możesz okazać się winnym jego śmierci. Jeśli masz sumienie, powinieneś mu pomóc.

— Jak? — zapytał Sato.

Był szczerze zdziwiony. Od wielu lat nikomu nie pomagał i nie zamierzał robić tego w przyszłości.

— Masz jakiś materiał opatrunkowy? — zapytała pełna życiowej mądrości Nie-mi.

— Nie potrzeba — powiedział Sato.

Nie-mi śmiało podeszła do sierżanta i powiedziała:

— Natychmiast pomożesz naszemu... kapitanowi albo nigdy w życiu się do ciebie nie odezwę...

Obrzuciła spojrzeniem otaczających kapitana kosmitów i dodała:

— I nikt z nas nie powie do ciebie ani jednego słowa.

Najważniejsze to zaskoczyć oponenta. Sato mógł oczekiwać wszystkiego, ale nie takiej groźby.

Przez jakiś czas stał mrużąc oczy i patrzył na kobietę, jakby chciał zabić ją wzrokiem. Ale Nie-mi wytrzymała spojrzenie i nie uznała za stosowane nawet zasłonić piersi.

Sato energicznie odwrócił się i jednym skokiem znikł z placyku przed jaskinią.

— Jak mam to rozumieć? — zapytała Nie-mi.

Nikt jej nie odpowiedział.

— Może przynieść liści? — powiedział Op-zwo.

I jakby w odpowiedzi na to zdanie Sato znowu pojawił się przed jaskinią. W rękę trzymał pęk kosmatych liści. Podeszedł do kapitana i wyciągnął je w jego stronę.

— Trzeba to przyłożyć do rany — przetłumaczył jego słowa Op-zwo. — Przystanie krwawić.

Kapitan tak osłabł, że Po-be-be, który odebrał wykształcenie medyczne, klęknął przed nim, przyłożył liście do rany i przytrzymał je palcami.

Sato stał w pobliżu i strugał nożem kijek. Myśli jego były tak powolne i proste, że tłumacze nie mogli ich przechwycić jakby wokół nich była pustka. Pewnie przypominał pastucha tępo przyglądającego się pasącemu stadu.

Pozostali także milczeli, spoglądając na sierżanta i starając się zrozumieć, jaką zmianę tym razem przyniósł im los. Zależeli teraz od tego zagadkowego człowieka, zdolnego napaść na podobną sobie

istotę bez żadnego powodu, ciężko ją zranić i nie czuć przy tym żadnych wyrzutów sumienia. Do tego nikt nie wie, czy jest tu w pojedynkę, czy może w ślad za nim zjawi się wkrótce cała banda jemu podobnych.

— Mieszkasz tu sam? — zapytała Nie-świa-mi. Nie była względem niego tak surowa jak starsi koledzy.

Sato nie odpowiedział. Pytanie nie podobało mu się. Odsunął się od kosmitów i usiadł po turecku.

Siedział bokiem do nich tak, by nie widzieli, że ich obserwuje, ale nie miał odwagi odwrócić się do nich plecami: mimo wszystko dzicy to dzicy.

Potem Sato zdjął z ramienia ręcznie tkaną torbę — worek na szerokiej taśmie zabrany góralce, którą zgwałcił, a potem zabił. Torba bardzo mu się podobała, a poza tym lubił ją wąchać — wydawało mu się, że zachowała zapach tamtej dziewczyny.

Nigdy nie rozstawał się z torbą. Trzymał w niej różne potrzebne albo smaczne rzeczy, które zdobywał podczas wędrówek i które wołał zachować na potem.

Wyjął z torby dwa jabłka znalezione na dole, potem kilka dużych i, zdaniem Sato, smacznych ślimaków. Od dawna nic nie jadł i zgłodniał.

Obok ślimaków położył garść dobrych orzechów i najważniejszą zdobycz — cztery duże, słodkie cebule, każda wielkości pięści.

Sato zastanawiał się, od czego zacząć wieczerzę.

Pozostali patrzyli na niego. Po-be-be powiedział do kapitana:

— Niech pan trzyma sam. Już jest lepiej.

Kapitan posłusznie przytrzymał liście i także patrzył na obiad starszego sierżanta.

Sato zaczął od cebuli.

Kosmici mimowolnie zaczęli się do niego przybliżać. Wszyscy wiedzieli, że Sato ich nie lubi, że nie jest ich przyjacielem, że pojęcie humanitaryzmu jest mu obce, że powinni zachować honor i opanowanie — w przeciwnym przypadku będą bezsilni... Wszyscy to wiedzieli, ale widok jedzenia wywoływał ślinotok i zamglił rozum.

Nie-świa-mi pierwsza znalazła się koło Sato.

— Smaczne? — zapytała, a Op-zwo przetłumaczył.

— Normalne — powiedział Sato.

— Można spróbować?

Pytanie kobiety zdziwiło Sato. Nie zdecydował jeszcze czy ich wygna, czy uczyni swymi najemnikami, a oni już dopraszają się o jedzenie.

Nie odpowiadając Sato przysunął torbę do siebie i wyjął z niej płaską, aluminiową menażkę. Wyciągnął ją w stronę kobiety i powiedział:

— Przynieś wody.

Nie-świa-mi rozejrzała się, jakby szukając rady wśród kolegów, ale rady nie otrzymała, bo pozostali byli niezadowoleni z jej braku opanowania. Być może, gdyby umówili się wcześniej i w sprawie jedzenia zagadnął ktoś wybrany przez głosowanie, wszystko wyglądałoby inaczej. Ale Nie-świa-mi prosiła tylko dla siebie. Było to nieetyczne.

— Przyjacielu — powiedziała Nie-świa-mi, robiąc krok w stronę Po-be-be, któremu, jak podpowiadała kobieca intuicja, nie była obojętna — czy byłbyś tak miły i pomógł mi?

Nie-mi nie była w stanie powstrzymać uśmiechu. Oto Po-be-be skonsternowany. Ale obawa, by

nie wyjść w oczach rodaków na głupca, zmusiła go do niemalże niegrzecznej odpowiedzi:

— Chętnie bym ci pomógł, ale nie chcę wysługiwać się temu potworowi.

Po-bie klasnął w dłonie, co miało oznaczać akceptację.

Sato podniósł głowę i popatrzył na dzikich.

— No! — krzyknął.

I położył dłoń na rękojeści noża.

Nie-świa-mi, która z własnej winy znalazła się w niewygodnej sytuacji, nie miała innego wyjścia, jak tylko powoli ruszyć wąską ścieżką w dół, nad rzekę, a Sato z narastającym cały czas požądaniem patrzył w ślad za nią, a nawet nieco się uniósł, gotowy pobiec za nią i zrobić z tą dzikuską to samo, co z zabitą niegdyś góralką. Ale myśl o tym, że dzicy z pewnością wykorzystają jego lekkomyślność i rozkradną jego śniadanie, powstrzymała Sato, który z kamienny spokojem, w zamyśleniu przeżuwał słodki korzeń i tylko nadzwyczaj czujna i delikatna Mi-ła poczuła, że coś się święci, ale nie była w stanie określić o co chodzi i nawet spytała w myślach Op-zwo: „O czym się pomyślał?”

— Nie wiem — szczerze przyznał się Op-zwo. Zresztą była to jedyna możliwa odpowiedź, bo tłumacze (telepaci) nigdy nie okłamują się nawzajem. Jest to niemożliwe.

W tym czasie krew przestała ciec z głębokiej rany kapitana i mógł on na nowo wskazywać linię postępowania. Trzeba było coś zrobić. Jeśli ten drań był w stanie napaść na niego po kilku minutach znajomości, to za godzinę kogoś zabije.

A więc trzeba go unieszkodliwić.

Kapitan przywołał nawigatora, ten przykucnął koło kapitana i odezwał się pierwszy, jakby był telepata:

— Mamy dwa wyjścia, kapitanie.

Jeszcze wczoraj ci dwaj nie lubili się, jeszcze godzinę temu Po-bie był zły na dowódcę za to, że ten zabił jego krewniaka, ale teraz obaj rozumieli, że tylko wspólny opór przeciwko brutalnej sile może ich uratować.

— Mów — powiedział kapitan.

— Albo go zniszczymy...

— I co z tego będziemy mieć?

— Zdobywczy nóż!

— Tylko tyle?

— Nóż, spodnie, torbę... To niemało.

— Bardzo mało — sprzeciwił się kapitan — zbyt mało, by dzięki temu mogło przeżyć siedem osób.

— W takim razie może lepszy będzie drugi wariant? — mówiąc te słowa Po-bie patrzył jak znad rzeki wraca Nie-świa-mi, niosąc w ręce starą, cynową manierkę. Nie-świa-mi szła z wysoko podniesionym czołem, jakby rzuciła wyzwanie swym rodakom.

— Mów, mów — pogonił go kapitan niezadowolony z tego, że Po-bie zajmuje się czymś innym.

— Dostrzegam niebezpieczeństwo rozłamu — powiedział Po-bie.

— Potem z nią porozmawiam — obiecał kapitan. — Kontynuuj.

— Drugi wariant — wytrzymać — powiedział nawigator. — Wytrzymać i z pomocą naszych tłumaczy stopniowo, w ciągu kilku najbliższych dni dowiedzieć się, gdzie mieszka, kim są okoliczni mieszkańcy, dowiedzieć się jak najwięcej.

— Ale będziemy zmuszeni podporządkować się mu — z powątpiewaniem powiedział kapitan. — A jak wiadomo, dranie robią się jeszcze bardziej bezczelni, gdy im się na to pozwoli.

— Sam wiem, że ryzykujemy. Ale nie ma trzeciego wyjścia.

Nie-świa-mi podeszła do sierżanta, przykucnęła obok niego, podała mu menażkę, jednocześnie wciągając pełną piersią zapach pożywnych cebul.

Sato wziął manierkę z rąk młodej kobiety i położył obok siebie.

Potem, po chwili namysłu, odłamał kawałek cebuli — całkiem mały — i wyciągnął go w stronę Nie-świa-mi.

— Niewiele ci się dostało — powiedział stojący na skraju placyku Po-be-be, który szczerze przeżywał tę scenę, bo Nie-świa-mi bardzo mu się podobała, szczególnie teraz, gdy była obnażona i gdy zaczął ją zupełnie inaczej postrzegać — nie była już aż tak bardzo koleżanką i towarzyszem z ekspedycji, a stała się przede wszystkim kobietą i to bez względu na poziom Jej pracy magisterskiej.

— Będzie więcej — powiedziała Nie-świa-mi wyzywająco.

Rozumiała, że sprzeciwiając się woli grupy znalazła się w głupim położeniu.

Chciała powiedzieć jeszcze coś ironicznego i wyszukanego, aby ostatecznie usadzić Po-be-be, który pozwolił sobie patrzeć na nią zupełnie bez szacunku, ale nie zdążyła nic powiedzieć z prostego powodu: korzystając z tego, że kobieta patrzy w inną stronę, a może wcale nie myśląc o tym, starszy sierżant wyciągnął żyłaste palce i złapał ją za pełną, obfitą pierś. Takich piersi starszy sierżant nigdy dotąd nie widział, bo jego życiowe doświadczenie ograniczało się do wieśniaczek, dziewcząt z domu publicznego i dwóch czy trzech przypadkowych spotkań podczas wojny. Wszystkie bez wyjątku partnerki sierżanta były Azjatkami o drobnych piersiach, natomiast kobiety z planety Dom budową ciała przypominają raczej mieszkanki Południowej Europy o obfitych biustach i szerokich biodrach.

Nie-świa-mi podskoczyła i nieomal udławiła się kawałkiem cebuli.

— Jak śmiesz! — krzyknęła.

Pozostali odwrócili się w jej stronę, ale, mówiąc szczerze, nikt wtedy nie dostrzegł tragedii w jej sytuacji, wręcz przeciwnie — wszyscy uważali że to zabawne.

I wtedy sierżant po raz pierwszy roześmiał się.

— Koza! — powtarzał, a tłumacze nie rozumieli o co mu chodzi. — Koza! Skacze! Chodź tu, dam ci jeszcze! Nikomu nie dam, a tobie dam.

Op-zwo pokornie przetłumaczył słowa Sato. Nie-świa-mi zakrywając piersi prawą ręką podeszła bliżej i wyciągnęła lewą. Sato dał kobiecie dziką cebulę. Nie mógł jednak powstrzymać się od żartu: gdy sięgała po cebulę spróbował złapać ją za podbrzusze, ale nie zdążył, bo ślicznotka była już przygotowana na jego wyskok i na czas uciekła, ale nie do kolegów, a w drugą stronę, na brzeg placyku, żeby z nikim się nie dzielić.

Wrzucała do ust kawałek za kawałkiem, a głodni ludzie nie mogli oderwać od niej wzroku.

Kapitan z ogromnym trudem kontynuował rozmowę z Po-bie:

— Jest trzecie wyjście — powiedział w końcu niezbyt głośno.

— Jakie?

— Unieszkodliwimy go, zabierzemy mu nóż i, jeśli okaże się to konieczne, uwięzimy w jaskini. A wtedy nasi tłumacze postarają się wyciągnąć z niego wszystkie potrzebne informacje. Obejdzie się i bez przyjaźni, i bez morderstwa.

Cicha Mi-ła nie wytrzymała i podeszła do ślicznotki Nie-świa-mi.

— Przepraszam — powiedziała — ale na podstawie twoich uczuć wnioskuje, że jesz coś

smacznego.

Nie-świa-mi wsunęła do ust cebulę i zaczęła energiczniej przeżuwać.

— Chciałam prosić o odrobinę — powiedziała Mi-ła, przełykając ślinę, bo przecież jej sytuacja była najgorsza — tak wyraźnie odczuwała doznania smakowe Nie-świa-mi, jakby jadła sama, tylko że niczego nie miała w ustach.

— Czy nie widzisz — odparła Nie-świa-mi, nie przestając żuć ani na chwilę — jaką mam małą cebulę! Nie mogę się podzielić. Ale mogę dać ci dobrą radę.

— Jaką? — zapytała Mi-ła. Zadając pytanie już знаła odpowiedź.

— Podejdź do mężczyzny, który siedzi przed tobą i poproś go o cebulę — widzisz przecież, że ma jeszcze dwie. Widzisz?

— Widzę — pokornie powiedziała Mi-ła nie ruszając się z miejsca.

— W najgorszym wypadku cię uszczypnie — kontynuowała Nie-świa-mi. — Najwyraźniej na Ziemi to taki miejscowy obyczaj. Nic ci się złego nie stanie.

Aby zakończyć tę poniżającą dla Mi-ły rozmowę, tłumacz Op-zwo zdecydował się na radykalne rozwiązanie: sam ruszył w stronę Sato.

— Przepraszam — powiedział. — Był pan tak miły i ugościł Nie-świa-mi. — Op-zwo wskazał na ślicznotkę, która kończyła żuć ostatni kawałek, w myślach przeklinając Mi-łę za to, że ta zmusiła ją do pośpiechu.

— Nie-świa-mi — niepewnie powiedział Sato.

— Ale wśród nas są inne głodne kobiety. Czy nie mógłby pan wydzielić nieco żywności ze swych zapasów? Postaramy się odplacić za to dobrem.

— Hej! — zawołał Sato. — Niech sama poprosi.

— Boi się — odpowiedział Op-zwo.

— Kto się boi, ten chodzi głodny — powiedział Sato. Ci ludzie zainteresowali go. Najprawdziwsi dzicy — całkiem głupi i naiwni. Nie, nie zabije ich. Być może zabije tylko tego starego, któremu pokaleczył gardło. Ma bardzo złe spojrzenie. A pozostali będą pracować. — Niech się nie boi.

— Idź — powiedział Op-zwo ze smutkiem.

— Nie — powiedziała Mi-ła. — Boję się.

— Trzeba działać teraz — powiedział kapitan do nawigatora. — Natychmiast.

— Stanie pan na czele operacji? — zapytał Po-be.

— Niestety, muszę przekazać ci dowództwo — odpowiedział kapitan. — Widzisz, że jestem niedysponowany. Ale gdy tylko wrócę do zdrowia, zaraz wezmę na siebie obowiązek dowodzenia grupą.

— Nic z tego nie będzie — powiedział Po-be. — Nie mam na kim się oprzeć.

— Jest was trzech zdrowych mężczyzn!

— Op-zwo nie jest wojownikiem, boi się nawet lecącego motyla. A Po-be-be nie wierzyłem nawet za dawnych czasów. Jest typowym, rozpuszczonym egoistą, owocem naszego liberalnego systemu wychowania.

Op-zwo popchnął Mi-łę w stronę Sato, który siedział po turecku i trzymał na dłoni cebulę.

Mi-ła opierała się i kosztowało ją to wiele nerwów.

W tej samej chwili, nieoczekiwanie dla wszystkich, Nie-świa-mi zrobiła kilka szybkich kroków, nachyliła się, złapała cebulę spoczywającą na dłoni Sato, ale on zdążył zacisnąć palce i ślicznotka

została z niczym.

Sato zaśmiał się jeszcze radośniej. Akurat wtedy Mi-ła poddała się naciskom Op-zwo i tracąc równowagę upadła na kolana przed Japończykiem.

— Za późno — powiedział Sato, podniósł z ziemi trzecią cebulę i pomachał nią przed nosem tłumaczki.

Za to Op-zwo nie wytrzymał. Zaczął wrywać cebulę z ręki Sato, a ten zdecydowanym ruchem pociągnął cebulę ku sobie. Op-zwo stracił równowagę przewracając się na kamienie i Mi-łę.

Wtedy kapitan, zapominając o tym, że jest ranny, rzucił się naprzód, żeby obezwładnić Sato. Biegając krzyknął:

— Po-bie, Po-be-be, za mną!

Ale oni nie śpieszyli się i tym samym dali Sato możliwość wyciągnięcia zza pasa noża i przyjęcia wygodnej pozycji z szeroko rozstawionymi nogami.

— No cóż — wysyczał, a siedzący na ziemi Op-zwo posłusznie tłumaczył, bo na tym polegał jego główny obowiązek względem ludzkości. — Chodź tu, stary wężu! Chodź tu, widocznie jeszcze mało cię pociąłem!

Sato zauważył, że w jego stronę zbliża się jeszcze dwóch mężczyzn, co prawda wolno, ale jednak zbliżali się.

— A wy — krzyknął do nich — dwa kroki do tyłu! Już!

Po-bie i Po-be-be słysząc nieoczekiwany okrzyk zatrzymali się. Teraz Sato miał tylko jednego przeciwnika. Kapitana. Kapitan zrozumiał, że walka jest przegrana. Odwrócił się plecami do Sato i poszedł do jaskini.

* * *

Pod nieobecność kapitana jego rolę postarała się przejąć pełna życiowego doświadczenia Nie-mi, w tym celu zwróciła się do Sato z długim przemówieniem, w którym wyraziła umiarkowane niezadowolenie z jego zachowania. Starła się uświadomić Sato prostą prawdę: żeby cię szanowano, sam musisz szanować innych.

Gdy mowa dotarła do tego miejsca Sato szeroko rozciągnął wargi w znanym wszystkim, złowieszczym uśmiechu i powiedział:

— Kobieto!

Op-zwo nie potrafił przekazać pogardy brzmiącej w słowie starszego sierżanta, któremu nie dane było dotychczas spotkać kobiet mądrych i wykształconych i który dlatego właśnie sądził, że kobiety nadają się tylko do tego, by wykorzystywać je w roli kochanek, żon i, jako naturalna kontynuacja — w roli kucharek.

— Mimo wszystko! — sprzeciwiła się Nie-mi, rozumiejąc, że jeśli odpuści draniowi teraz, to potem jeszcze trudniej będzie go ukrócić. — Nie zapominaj, mój panie, że jest nas siedmioro, a ty jesteś jeden! Nawet jeśli masz nóż! Albo zgodzisz się natychmiast zawrzeć pokój i współpracować, albo cię porzucimy.

Nie-mi sama nie wiedziała, skąd w jej głowie pojawiła się taka groźba. Pojawiła się i tyle.

Chociaż wszystkim wydawało się, że Sato na to właśnie czekał.

W rzeczywistości słowa kobiety przstraszyły sierżanta. Zdążył już przyzwyczaić się do myśli, że plemię gołych ludzi zostało mu zesłane przez los, by miał kim rządzić i komu prezentować swą sprawiedliwość, swój gniew i swoje miłosierdzie. Skądinąd ostatniego słowa nigdy nie słyszał. Po odejściu nagich ludzi zostałby w samotności, a tego Sato zupełnie nie chciał. Zabawa w wodza plemienia wciągnęła go.

Dlatego groźba kobiety, która chciała być wodzem na miejsce starego wodza, zupełnie nie spodobała się sierżantowi. Jeszcze chwila i pójdzie za nią ten młody człowiek (Sato miał na myśli Po-be-be) — i co, ma wtedy biegać za nimi po lesie?

Sato wyciągnął rękę, wymacał na ziemi nieduży, trochę większy od orzecha włoskiego kamień i prawie bez zamachu rzucił nim w Nie-mi. Kamień trafił ją w twarz, sprawiając taki ból, że Nie-mi zapłakała, a Mi-ła zachwiała się i niemal zemdląła — na szczęście Op-zwo zdążył ją złapać.

— Nienawidzę cię! — krzyknęła Nie-mi.

Gdy odjęła rękę od twarzy wszyscy zobaczyli, że pod okiem zaczął już wyłaniać się siniak.

Jeśli Sato myślał, że złamał sprzeciw kobiety, to mylił się. Przecież przed nim stała nie góralka, a doktor habilitowany, wybitny umysł planety Dom.

Trzymając się za twarz, Nie-mi odwróciła się i odprowadzana milczeniem towarzyszy poszła na skraj placyku. Zeszła w dół ścieżką, a wszyscy patrzyli, jak jej głowa chowa się w krzakach. Po-be-be chciał pójść za nią, bo nie można zostawiać kobiety samej w lesie. Ale wtedy Sato podskoczył.

Nie mógł zignorować takiego buntu.

— Wszyscy mają zostać na miejscu! — rozkazał.

Op-zwo zatrząsł się ze złości, która wręcz wylewała się z tego małego oberwańca. Dlatego przetłumaczył nie tylko rozkaz Sato, ale dodał do niego także stosowny komentarz: trzeba się podporządkować.

I wszyscy się podporządkowali.

A Sato zwinny jak wilk szybko ruszył, nie oglądając się za siebie, po Nie-mi.

Na placyku zapanowała cisza.

Po minucie lub dwóch ktoś zapytał.

— Co tam? Co z nią?

— Myślę, że jej nie zabije — powiedział Op-zwo. Wszystkim było przyjemnie to słyszeć, bo w przeciwnym przypadku trzeba by biec w ślad za nim i stawić czoła złości okrutnego człowieka.

A Sato w tym czasie szybko i zwinnie podążał w dół w ślad za kobietą, która, co się samo przez się rozumie, szła znacznie wolniej, bo przecież nie była przyzwyczajona do chodzenia boso i nawet w gniewie cały czas patrzyła pod nogi i podwijiała palce, żeby nie nadepnąć na jakiegoś jadowitego owada albo gałąź.

I tak Sato dogonił kobietę tuż nad wodą.

Słońce stało już wysoko na niebie, jego promienie przebijały się przez liście i padały na płynącą wartko wodę, nad którą pobłyskując skrzydłami szybowały ważki.

Nie-mi nie usłyszała jak Sato podchodzi. Chodził po lesie bezszelestnie. Inaczej by nie przeżył.

Nie-mi stała nad wodą, nieoczekiwanie dla siebie samej zachwycona urodą tego obcego świata, oczarowana grą promieni słonecznych i szczebiotaniem ptaków, wartkim ruchem kryształowej wody... Zapomniała, co ją tutaj przywiodło i jakie niebezpieczeństwa mogą jej grozić. I dlatego głos Sato, nieznan, ale już znieawidzony, rozlegając się tuż obok zniszczył niejasne marzenia kobiety i

brutalnie ściągnął ją na ziemię.

Sato mówił szybko i jednostajnie. Uśmiechał się, ale było to widać tylko w przerwach między zdaniem, gdy wargi pozostawały rozciągnięte. Sato karcił kobietę i tłumaczył jej, żeby wybiła sobie z głowy kaprysy, bo on może bez problemu odciąć jej głowę i nic nadzwyczajnego nie zdarzy się z tego powodu, a jej współplemieńcy tylko się ucieszą, bo zostanie dla nich więcej jedzenia, które on, Sato, będzie im dawał.

Sato mówił i sam już uwierzył w swoją sprawiedliwość i wielkoduszność. Wydawało mu się, że dzikuska powinna go zrozumieć i przyznać mu rację.

Ale kobieta nic nie rozumiała, oprócz tego, że podlec jej grozi. Dlatego lodowatym tonem poprosiła, by wyniósł się stąd tam, skąd przyszedł. Potraktowała jego pogoń jako oznakę słabości i miała nadzieję, że pozostali także poprawnie zrozumieją zachowanie rozbójnika i lada moment ze wszystkich stron rzucą się na niego i pogonią go, poniżonego, precz.

Sato słuchał jej, przechyliwszy głowę na bok. Był zdziwiony tym, że jeszcze przed chwilą wszystko rozumiał, a teraz nie rozumie nic i nawet nie wie, czy kobieta go rozumie. Dlatego gestem nakazał jej powrót.

Ale kobieta udała, że nie rozumie gestu i pokazała siniak pod okiem. Powiedziała do starszego sierżanta:

— Nigdy ci nie wybaczę, świnio, tego, że odważyłeś się podnieść rękę na kobietę.

Sato złapał ją za łokieć, pragnąc tylko, żeby wróciła do jaskini. Wiedział, że musi wrócić jak najszybciej. Inaczej u jej współplemieńców mogą pojawić się niepotrzebne pomysły.

Nie—mi zaczęła się wrywać. No nie, tylko pomyślcie! Śmie mnie dotykać!

— Zaraz zacznę krzyczeć! — uprzedziła Sato.

— I tak pójdziesz! — odpowiedział Sato.

Żeby łatwiej było ją ciągnąć, Sato złapał Nie—mi w pasie mocnymi, żyłastymi rękami. Jej ciało było delikatne, nie znające pracy fizycznej ani nawet ćwiczeń. Przez kilkaset lat Niemi pracowała przy komputerze, a w wolnym czasie chodziła na basen albo na długie piesze wycieczki. Zmieniła kilku mężów, ale przez ostatnie osiemdziesiąt lat mieszkała sama, ale nie dlatego, że się zestarzała — nie, do starości było jej jeszcze daleko — a dlatego, że wciągnęła ją praca naukowa.

Starając się zmusić Nie—mi do powrotu do jaskini Sato przycisnął ją do siebie i właśnie wtedy zrozumiał w końcu, że przytula nieznajomą, tryskającą zdrowiem kobietę, która niezdarnie wrywa się z jego objęć.

Nie—mi także uchwyciła moment, gdy Sato z grubiańskiego dzikusa zamienił się w mężczyznę, który jej pragnie. Przestraszyła się tak, że nie mogła wydobyć z siebie głosu ani sprzeciwić się. Jakby zmiękła w dłoniach trzymającego ją Sato, a on zapalał jeszcze większą żądzą i jego dłonie zaczęły ugniatać jej piersi i brzuch. Nie—mi nie mogła się poruszyć i jeśli nawet wrywała się, to jej próby były nieśmiałe i z góry skazane na niepowodzenie.

Nigdy w życiu, przez stulecia, nikt nie próbował posiąść jej bez jej zgody, a co więcej, bez jej inicjatywy. Na Domu kobiety należące do kręgów inteligencji same wybierają sobie partnera, chociaż czasami wołałyby zrezygnować z tego zaszczytu. Ale panuje tam tak wielki szacunek dla kobiety, kobiety towarzysza, kobiety ukochanej, że mężczyźni podporządkowują się decyzjom kobiet, nawet jeśli nie mają na to ochoty. Tak więc wszystkie dramaty rozgrywające się na Domu — a zdarzają się tam tak samo, jak w całej Galaktyce — najczęściej wynikają z tego, że kobieta przeliczyła się z możliwościami lub z konfliktu między dwiema kobietami.

— Nie — szeptała Nie-mi, z przerażeniem czując na policzku i na szyi dotknięcie suchych warg i miękkich, długich wąsów i wiedząc, że jest całkowicie bezbronna.

— Nie — szeptała, czując jak gwałcieł rozbiera się, przewraca ją na trawę i kładzie się na niej, a ona cały czas nie może znaleźć dość sił, by go przegnać...

A potem nastąpiło najgorsze — ten dzikus, to zero, pretendujące do roli wodza, wszedł w nią, cicho ryczał z rozkoszy, której Nie-mi oczywiście nie mogła z nim dzielić, cały czas starając się zrzucić z siebie niezbyt ciężkiego, ale okrutnego i upartego gwałcieła.

Ostre kamienie gniotły ją w plecy i kaleczyły skórę, a ona nie mogła nawet wytłumaczyć tej równomiernie poruszającej się maszynie, że kaleczy jej plecy...

A tymczasem, na górze, przed jaskinią, zdarzenia także przyjęły nieoczekiwany obrót.

Widząc, że sierżant znikł w krzakach, Po-be-be nie mógł wytrzymać i, udając że się przechadza, ruszył w stronę pozostawionej bez nadzoru torby Sato. Obok niej leżały zapasy. Przechodząc obok, Po-be-be jakby niechcący nachylił się i złapał cebulę. Potem poszedł dalej, w głąb, w ciemność jaskini, chrupiąc cebulę tak bezczelnie, jakby kontynuował próbę jadalności owoców lasu.

Pozostali patrzyli na niego zdziwionymi oczami i nim zdążył skryć się w jaskini, obok torby zaczęła się niewielka przepychanka, o której nikt potem nie chciał wspominać, bo wtedy trzeba by było przyznać, że uczeni zachowywali się nieprzyzwoicie. Przecież nawet ogromny głód nie usprawiedliwia faktu, że Po-bie odepchnął Mi-lę tak, że aż rozbiła sobie kolano, a Op-zwo wyrwał (dla Mi-ły) ślicznotce Nie-świa-mi długi, biały korzeń, a ta poślizgnęła się na ślimaku.

Jeszcze chwila i torba była pusta, a kosmici udawali, że nie mają z tym nic wspólnego.

To zdarzenie wyjaśnia, dlaczego nikt nie przyszedł na pomoc Nie-mi, która rozciągnięta na trawie i kamieniach stała się ofiarą lubieżności starszego sierżanta Sato, którego w tym samym czasie ograbili jej współplemieńcy.

Ale jeden człowiek nie uczestniczył w przepychance.

Był to kapitan statku, Po-dyrek, zmaltretowany, prawie zniszczony przez sierżanta, ale niepokonany.

Z ciemności jaskini widział postępek Po-be-be i dalszą przepychankę. Ale nie wtrącał się, bo uważał, że nie ma do tego prawa. Rozumiał, że jego przyjaciele są niewolnikami własnych żołądków. I przez to mogą stać się łatwą zdobyczą dla Sato.

Kapitan wiedział, że przede wszystkim trzeba uratować Nie-mi, której mogło grozić śmiertelne niebezpieczeństwo, jeśli nadal będzie sprzeciwiać się dyktaturze dzikusa.

Podjąwszy decyzję, że jeszcze raz dołączy się do walki przeciw Sato, kapitan zdecydowanie opuścił jaskinię, wyszedł na placyk przed nią, zwrócił się do Op-zwo, który już podzielił się zdobyczą z Mi-lą i połknął tę odrobinę, która mu pozostała.

— Idziemy! — rozkazał tłumaczowi.

— Dokąd? — Tłumacz nie czytał myśli kapitana.

— Na dół. Nie-mi może potrzebować naszej pomocy. Tłumaczowi zrobiło się wstyd. Nic nie powiedział.

I gdy kapitan ruszył ścieżką w dół, Op-zwo pokornie podążył w ślad za nim.

Szli w milczeniu.

Ścieżka była wąska, korony drzew stykały się nad nią, więc w tym wiecznym cieniu nie czuło się upału.

Nagle Op-zwo wyszeptał:

— Stój.

— Co? — przestraszył się kapitan. — Coś złego?

— Nie wiem — wyszeptał Op-zwo, a potem, posługując się myślą, poinformował kapitana, że docierają do niego fale sprzecznych uczuć, przy czym uczucia Sato pełne są pożądania i wewnętrznych emocji, podczas gdy uczuć Nie-mi Op-zwo nie mógł zrozumieć — były w nich jednocześnie strach, poczucie beznadziejności, pogodzenie się z losem i nieco zadowolenia. Kobieta walczyła ze źródłem tego zadowolenia a jednocześnie wstrętu.

Po kilku ostrożnych krokach także kapitan, rozchyliwszy krzaki, mógł zorientować się, o co chodzi.

— Dlaczego nie woła o pomoc? — kapitan w myślach zapytał Op-zwo.

— Wstydy się, że ją zobaczymy — także w myślach odpowiedział tłumacz. — Najbardziej boi się, że dowiemy się o jej hańbie. Szybciej umrze, niż się do tego przyzna.

— Nie rozumiem — powiedział w końcu kapitan.

Kapitan pierwszy ruszył z powrotem, po drodze prosząc Op-zwo w myślach, by ten nikomu nie opowiadał o okropnej hańbie, która stała się udziałem Nie-mi...

Sato wrócił do jaskini pierwszy, jakieś dziesięć minut po kapitanie i Op-zwo, którzy z nikiem nie podzielili się swoimi obserwacjami.

Od razu zauważył, że został okradziony i zaczął krzyczeć na kosmitów wysokim, nieprzyjemnym głosem. Ale do tego czasu kosmici zdążyli skryć się w mroku jaskini. Słyszeli, oczywiście, krzyki Sato, ale nie odzywali się.

Gdy na placyk weszła, ledwie ciągnąc nogi, zhańbiona Nie-mi, Sato zwrócił się do niej, wyraziście wskazując na torbę i na wejście do jaskini.

— A czego innego można było oczekiwać? — odpowiedziała mu Nie-mi. — Ludzie, którzy nie mogli albo nie chcieli przyjść mi z pomocą, bez wątpienia mogli zniżyć się do zwykłej kradzieży.

Sato klął, krzyczał, ale naprawdę nie był za bardzo zdenerwowany.

W skrytkach miał pochowane dostatecznie dużo jedzenia — wystarczyłoby tego na pół roku życia w jaskini. Wiedział, że kradnąc jedzenie, ludzie ci stali się jego dłużnikami. Jest im wstyd. Jeszcze nie nauczyli się kraść.

* * *

Sato stał na środku placyku przed jaskinią i patrzył, jak smaczne ślimaki powoli pełzną po kamieniach — dzicy ich nie ruszyli. Sato podniósł ślimaka z kamieni, mocno ścisnął cienką skorupkę, wyrzucił odłamki i zadowoleniem połknął. Drugiego ślimaka wyciągnął do Nie-mi.

Nie-mi czuła wrogie, palące spojrzenia współplemieńców, rzucane z wnętrza ciemnej jaskini.

Wcale, ale to wcale nie miała ochoty łykać żywego ślimaka, ale rozumiała, że oto nadszedł decydujący moment w jej życiu. Musi dokonać wyboru, bez względu na to, jakie to trudne. Z kim trzymać, pomyślała, ja, koryfeusz nauki? Z niewychowanym, bezczelnym grubianinem, ale za to prostym i troskliwym, czy z tymi, którzy byli mi bliscy wczoraj, ale dziś zdradzili?

Nie-mi z całej siły zacisnęła palce, trzasnęła skorupka, ale od nadmiaru siły śliski ślimak wypadł

jej z dłoni, zatoczył łuk w powietrzu i skrył się w krzakach.

— Głupia! — krzyknął rozszłoszczony Sato, ale nie uderzył kobiety — być może nie widziała nigdy wcześniej ślimaków, może wcale nie pochodzi z gór, a spod ziemi albo z innego miejsca.

Nie-mi poczuła ulgę, sądząc, że tortura ze ślimakiem dobiegła końca, ale po chwili z przerażeniem zauważyła, że Sato jest zdolny do litości i troski. Przy samej skale znalazł jeszcze jednego ślimaka, sam zdarł z niego skorupkę, podszedł do znieruchomiałej, zhańbionej kobiety i nakazał:

— Otwórz usta.

— Prosi, żebyś otworzyła usta — z jaskini rozległo się tłumaczenie Op-zwo.

Nie-mi zamknęła oczy i zaczęła wyciągać pierwiastek kwadratowy z liczb całkowitych, z dokładnością do sześciu miejsc po przecinku.

Jej usta napęliły się czymś śliskim, ciepłym i ohydny, ale kobieta wiedziała, że jeśli nie chce stać się pośmiewiskiem dla współplemieńców, musi koniecznie połknąć ślimaka, a do tego nie może się zakrztusić, zwymiotować ani zemdleć.

Pałce Sato uparcie wciskały ślimaka w gardło Nie-mi, która była już o krok od śmierci przez uduszenie, gdy jej grdyka wykonała spazmatyczny ruch — widocznie bardzo nie chciała umierać — ślimak posłusznie ześlizgnął się przewodem pokarmowym, a uczucie, które opanowało Nie-mi w połączeniu z wyraźną ulgą było bajeczne.

Dziwne, pomyślała Nie-mi. Jeszcze godzinę temu wydawał mi się odstręczający. Od tego czasu nie było powodu, by obudziły się we mnie jakieś cieplejsze uczucia do tego człowieka — gwałciciela, który pozbawił mnie resztek ludzkiej godności, bydlaka... Bardzo chamskiego bydlaka... A jednocześnie to on, dziecię pierwotnych instynktów, okazał się jedynym, który pomyślał, że jest głodna i samotna. Z boku może wydać się śmieszne, że wtyka jej do gardła żywego ślimaka — brrr! Co za okropność! — a przecież jest to naturalne dla syna przyrody. Troszczy się o mnie tak, jak umie. Oprócz niego nie mam ani jednej bliskiej duszy w całej Galaktyce.

Łzy wdzięczności i smutku ciekły po policzkach kobiety, odwróciła się w stronę Sato i wyszeptała:

— Dziękuję.

I nie wydawał jej się już taki okropny jak przedtem.

* * *

A w tym czasie Sato rozmyślał co zrobić, żeby dzicy więcej nie kradli. Nie potrzebował złodziei w swoim otoczeniu.

— Ej! — nakazał głośno. — Wychodźcie wszyscy i ustawcie się pod ścianą. Słyszeliście rozkaz?

— Słyszeliśmy — odpowiedział z jaskini Op-zwo.

To on wyszedł jako pierwszy, nieco zgarbiony i trzymając przed sobą ręce zwrócone dłońmi do góry — w ten sposób manifestował całkowitą bezbronność. W ślad za nim ciągnęli pozostali kosmici, owładnięci uczuciem wstydu, bo do tej pory żaden z nich nie zhańbił się kradzieżą — kradzież była na Domu nie do pomyślenia.

Sato, patrząc jak ludzie ustawiają się wzdłuż kamiennej ściany myślał, że są wystraszeni, bo czekają na nieuniknioną karę. W rzeczywistości strach odgrywał drugoplanową rolę. Kosmitów męczył wstyd, uczucie dawno zapomniane przez starszego sierżanta.

Nie patrzyli w oczy swemu prześladowcy.

Sato popatrzył na Nie-mi, stojącą o krok z tyłu. Nie lubił, gdy ktoś stał z tyłu.

— Do szeregu! — nakazał kobiecie, a Nie-mi nie od razu zrozumiała, czego od niej chce.

Była przekonana, że teraz, gdy złożyła taką ofiarę, sam los oddzielił ją od tłumu drobnych złodziejasków. Dlatego nawet wtedy, gdy dzięki tłumaczeniu Op-zwo rozumiała rozkaz, nie śpieszyła się, szukając odpowiednich słów, którymi nie zdradziłaby kolegom istoty nowych stosunków, a jednocześnie pokazała dzikusowi całą swą pogardę. Jednak sierżant, który nie mógł długo czekać, był zmuszony popchnąć Nie-mi do szeregu, a ona, cała czerwona od nowej hańby, zajęła miejsce na końcu, obok Mi-ły, która mimowolnie odczytała niektóre jej myśli.

— Jesteście złodziejami! — krzyknął wysokim głosem Sato, tak jak kiedyś krzyczał lejtnant Mikado. — Jesteście brudnymi psami! Rozstrzelam was wszystkich!

Op-zwo starał się tłumaczyć nie tylko słowa, ale i obrazy, które widział sierżant wymawiając te słowa i, trzeba przyznać, że nie były tak straszne, jak słowa, mające raczej znaczenie rytualne.

— Oduczę was! — Sato podszedł do szeregu. Jako pierwszy stał kapitan. Podniósł oczy na różową twarz Sato i mimowolnie zakrył dłonią szramę na gardle, co bardzo rozbawiło sierżanta.

Sato nie wyjął noża. Dzicy już wiedzieli jak działa. Obejdzie się bez tego.

Ręka Sato uniosła się. Energicznie uderzył kapitana w policzek — głowa odskoczyła do tyłu i kapitan uderzył potylicą o ścianę.

Sato nie przestał. Nadal wrzeszczał na dzikich i groził im śmiercią, maszerował wzdłuż szeregu i każdemu (każdej) wymierzał policzek — bolesny, obraźliwy, bezlitosny.

Delikatną Mi-łą niemal przewrócił Op-zwo, który przyjął swój policzek spokojnie, a nawet zdążył się nieco uchylić, złapał Mi-łę, dusząc w sobie nienawiść do Sato i mając nadzieję, że nie wyrwie się ona na zewnątrz.

Uderzenie — głowa odskoczyła, oczy zmętniały z bólu i poczucia hańby.

Uderzenie — człowiek uderzył głową o skałę.

Uderzenie — za co? Tak nie można!

Nadeszła kolej ostatniej — Nie-mi.

Patrzyła z przerażeniem na gwałciciela. Czy odważy się ją uderzyć?

Sato poklepał Nie-mi po policzku — pewnie, tak jak się klepie psa.

Nie-mi pomyślała, że wołałaby, gdyby ją uderzył.

— Każdy, kogo przyłapię na działaniach niezgodnych z prawem — oznajmił Sato, odchodząc w końcu od dzikich — zostanie surowo ukarany. To, co widzieliście dzisiaj, to nie była kara. Dzisiaj to tylko ostrzeżenie. Dzisiaj żartowałem i uczyłem was. Nie zasłużyliście na nic innego. Ale nie lubię powtarzać lekcji. Rozumiecie?

Nikt mu nie odpowiedział, ale Sato nie oczekiwał odpowiedzi. Mówił dalej, bo przemyślał już kolejne kroki.

— Widzicie chmury?

Chmur prawie nie było, jeśli nie liczyć kłaczków waty na błękitnym niebie.

— Na razie chmur jest mało. Potem będzie dużo. Potem będą deszcze, codziennie. Jesteście parszywymi leniami i nie chcę was karmić. Ale jestem dobry i pokażę wam, gdzie szukać jedzenia i

jak je przechowywać. Jeśli będziecie mnie słuchać, to zawsze będziecie najedzeni. Jeśli będziecie robić głupoty, będę was karał i będziecie głodni.

Zakończywszy monolog, Sato pomyślał nagle, że nieźle byłoby ubrać gołe plemię, przecież to nieprzyzwoite, by kobiety chodziły tak, jak je urodziła matka. Ale potem zrezygnował z tego pomysłu, gdyż trudno byłoby go zrealizować bez napadu na wioskę Fonów albo miasteczko Tangi. Przecież dopóki ci dzikusy są nadzy, dopóty nie mają gdzie ukryć broni, ani zaplanować żadnego świństwa skierowanego przeciwko ich dobroczyńcy. Goli się rodzimy, goli umieramy, niech żyją jak chcą.

Starszemu sierżantowi nie przyszło wtedy do głowy, że w rzeczywistości są oni całkowicie ubranymi, a nawet są uczonymi. Żaden człowiek nie będzie żył poniżej dostępnego poziomu, żaden nie wyrzuci ubrania. Jeśli nie jest wariatem.

Wszyscy bez słowa protestu zebrali się, by wyruszyć na poszukiwanie jedzenia, tylko Po-be-be próbował się zbuntować. Nienawidził tego chama, pogardzał Nie-mi, która najprawdopodobniej za pozycję ulubienicy zapłaciła drożej, niż miała do tego prawo cywilizowana kobieta. Zamierzał wyzwąć Sato, ale wszyscy zaczęli go namawiać, aby nie podejmował bezsensownych działań.

— Bądź rozsądny — namawiał go kapitan. — W tej sytuacji dzikus dobrze nam życzy, chociaż nic dobrego dla nas nie robi. Czy rozumiesz mój tok myślenia?

— Zupełnie nie rozumiem.

— Uznał nas za swoich, powiedzmy, podopiecznych, ale rozumie, że wykarmić nas będzie nielekko. A więc musi nauczyć nas jak zdobywać i przygotowywać jedzenie. A to leży w naszym dobrze pojętym interesie. Bez względu na to, jaką decyzję podejmiemy ostatecznie, jednym z warunków przetrwania na Ziemi jest umiejętność samodzielnego zdobywania pożywienia. Czyżbyś tego nie rozumiał?

— Rozumiem — burknął Po-be-be.

— W takim razie chodź razem z nami, a rewolucją zajmiesz się, gdy będziesz miał pełny żołądek.

— Wszystkich rewolucji dokonywali głodni — sprzeciwił się Po-be-be.

— Co za naiwny i błędny pogląd, zaczerpnięty z oficjalnych podręczników historii! W rzeczywistości rewolucje wywoływali najedzeni albo bardzo najedzeni ludzie. Za to na barykadach z reguły walczą głodni. I często umierają zanim zdążą się zorientować, po której stronie się znaleźli.

Po tej lekcji Po-be-be zgodził się pójść razem ze wszystkimi. I tak zaczęła się pierwsza wspólna wyprawa starszego sierżanta Sato i plemienia nagich ludzi.

Wyprawa przeszła spokojnie, zasady gry, ustanowione przez starszego sierżanta, były dla wszystkich zrozumiałe — nadzy ludzie bali się odchodzić daleko od przewodnika, bo zaprowadził ich w dół rzeki, do błotnistej, dyszącej gorącą wilgocią dolinki, w której rosły najrozmaitsze smaczne i pożywne rośliny. W niektórych jadalne były łodygi, inne miały soczyste, sycące korzenie, jeszcze inne oferowały wędrowcom owoce. Bez pomocy Sato kosmici nigdy by nie zgadli, że te rośliny nadają się do jedzenia, a gdyby zaczęli próbować po kolei wszystko bez wyjątku, to już po kilku dniach wymarliby w wielkich mękach.

— Niebo nam go zesłało — powiedział kapitan, siedząc na zwałonym drzewie i sprawnie wyplatając koszyk z trzciny — przypomniał sobie zapomniane, dziecinne zabawy.

Nie-mi, donosząca zerwane łodygi trzciny, zgodziła się z kapitanem, tym bardziej, że w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że był świadkiem gwałtu.

— Musimy jak najszybciej nauczyć się od niego możliwie najwięcej.

— A potem go zabijemy, prawda? — pytanie wydało się kapitanowi dziwne. Nie potrafił

zdecydować się, czy Nie-mi kieruje się chęcią zemsty, czy też, odrzuciwszy emocje, myśli teraz jak członek ekipy.

Oba warianty rozważane przez kapitana były błędne. W rzeczywistości, nie chcąc się do tego przyznać nawet sama przed sobą, Nie-mi z nietypową dla niej namiętnością odtwarzała w pamięci scenę gwałtu i głośno życząc Sato śmierci zastanawiała się, czy zamierza się na nią skusić jeszcze raz.

— Jeśli okaże się, że trzeba zabić to stworzenie, by ratować intelektualny bagaż naszej grupy, będziemy zmuszeni to uczynić — powiedział kapitan, w zamyśleniu patrząc na postrzępione obłoki. Słowa te usłyszał Po-be-be, myjący w pobliskiej kałuży korzenie dzikiego jamsu.

— Jest pan niekonsekwentny, kapitanie — powiedział. — Nie dalej jak wczoraj udowodniał pan, że powinniśmy umrzeć, by ratować honor planety, a dzisiaj mamy ratować nasz potencjał intelektualny! Zgłupieliśmy, jeśli pozwalamy dzikusowi robie wszystko, co mu przyjdzie do głowy.

— Wcale nie wszystko! — warknęła Nie-mi, traktując to jako zarzut skierowany przeciwko niej. — Ja, na przykład, wcale nie zgłupiałam. Powinniśmy być wdzięczni... żywicielowi. Tak, żywicielowi! Od dziś możemy go tak nazywać.

Po-be-be zaśmiał się sardonicznie, zwracając w ten sposób na siebie uwagę Sato, który zwiesiwszy nogi siedział na skale, mając w polu widzenia wszystkich swych poddanych. Od czasu do czasu pokrzykiwał na zbieraczy pożywienia, gdy zachowywali się głupio lub zrywali niejadalne rośliny. Op-zwo, stojący u podnóża skały, przekazywał jego słowa pozostałym.

Starszemu sierżantowi podobała się nowa rola. Przecież, gdyby nie było gołych ludzi, musiałby sam szykować zapasy jedzenia na porę deszczową. Podobało mu się także to, że dzicy nie okazali się aż takimi idiotami, za jakich wziął ich z początku. Na przykład staruszek, którego Sato ukarał i nawet chciał zabić, okazał się niezłym rzemieślnikiem — wyplatał koszyki i jeśli koszyki będą mu dobrze wychodzić stanie się niezwykle cenny. Młody byczek, który ma tylko wymyć korzenie jamsu, znowu zaczął denerwować staruszkę i tę kobietę, którą Sato posiadał. Być może trzeba będzie ukarać nie starego, ale właśnie tego młodego i bezczelnego samca.

Słoneczko przygrzewało, dolinę napępniało wilgotne i gorące powietrze.

Szanowny starszy sierżant wyciągnął się i wsunął ręce pod głowę. Nie bał się już tych gołych ludzi. Będą dziś posłuszni. Zwierzętom i dzieciom zawsze trzeba dozować na zmianę kij i marchewkę. Myśleli, że będzie nadal ich bił. A on okazał się mądrzejszy. Teraz pokazał im marchewki. Więc są wdzięczni.

Sato spokojnie zasnął, a Op-zwo poinformował o tym Pozostałych.

Tempo pracy w dolinie od razu spadło i tylko kapitan nie Przystawał pleść koszyka, myśląc o czymś dalekim.

A pozostali, jak kto mógł, pokładli się na wyżej położonych miejscach i oganiając się od owadów zapadli w drzemkę.

Sierżantowi śniło się, jak po powrocie do Japonii, dziennikarze robią z nim wywiady.

* * *

PYTANIE: Czy naprawdę przez wszystkie te lata nie wiedziałeś nic o tym, co się dzieje na świecie?

ODPOWIEDŹ: Nie chciałem tego wiedzieć. Świat był wewnątrz mnie, świat stworzony przeze mnie. Inni ludzie myślą się.

PYTANIE: Nie wiedziałeś, że Japonia pogodziła się z porażką i przyznała się do błędów popełnionych podczas wojny?

ODPOWIEDŹ: Powtarzam, Japonia poniosła klęskę w jakimś innym świecie. W moim poddała mnie próbie samotności. Gdy przejdę próbę, wezwie mnie z powrotem.

PYTANIE: A jeśli to nie nastąpi?

ODPOWIEDŹ: To nieważne. To znaczy, że zdarzy się to w kolejnym wcieleniu. Przyjdę na świat jako Zbawiciel, Bodisatwa, nie znam innego prawa niż to, które sam ustanowię.

PYTANIE: Jeśli uważasz się za Zbawiciela, Bodisatwę, to znaczy, że dążysz do pokoju, do dobra.

ODPOWIEDŹ: Sądzicie, że jestem buddystą? Nie, nie wyznaję żadnej religii. Jestem cakravartin — władca wszechświata. Wprowadzę na świecie prawa ustanowione przeze mnie.

PYTANIE: Co to za prawa?

ODPOWIEDŹ: Cały czas chcecie zmusić mnie do odpowiedzi, które są dla was wygodne. Ale ja nie podlegam prawu karmy, to karma podlega mnie.

PYTANIE: Czy to znaczy, że przez ponad dwa dziesięciolecia, gdy chowałeś się przed ludźmi, kryłeś w chaszczach, bałeś się pokazać mieszkańcom gór...

ODPOWIEDŹ: Nigdy, nikogo się nie bałem, zawsze byłem wierny prawom bushido — honorowi samuraja. Ale wiedziałem, że mój dzień jeszcze nie nadszedł i dlatego byłem milczący i sprytny jak lis.

PYTANIE: Tym niemniej ukrywałeś się w lesie. Był° trudno?

ODPOWIEDŹ: To nie tak. Przyzwyczailem się do samotności, przyzwyczailem się do czekania. Niczego mi nie brakowało, bo las może wykarmić mądrego i silnego człowieka, który nie ma zbyt wygórowanych wymagań. W ciągu tych lat zmieniałem kilkakrotnie kryjówkę. Zazwyczaj były to jaskinie, suche, znajdujące się blisko wody. Jeśli się nie śpieszysz, zawsze znajdziesz taką jaskinię.

PYTANIE: A jeśli jej nie ma?

ODPOWIEDŹ: Nawet w najdalszych zakątkach gór można znaleźć ruiny opuszczonego klasztoru albo domu, a nawet twierdzy. Człowiek może bez trudu się zgubić — potrafię zlać się z lasem i ziemią, jestem częścią świata. I jego panem.

PYTANIE: Taką kryjówkę miałeś w dolinie Prui?

ODPOWIEDŹ: Tak, w dolinie Prui znalazłem dobrą jaskinię i urządziłem ją. Sądziłem, że zamieszkać w niej na długo.

PYTANIE: Nie zagrażały ci dzikie zwierzęta?

ODPOWIEDŹ: Wszystkie zwierzęta wiedziały, że jestem władcą lasu. Bały się mnie.

PYTANIE: A ludzie?

ODPOWIEDŹ: Ludzie kiepsko się czują w dzikich górach. Jeśli pojawiają się w moim rewirze, wyczuwam ich na milę. Nawet górali.

PYTANIE: Czyli nie bałeś się ich?

ODPOWIEDŹ: Dlaczego miałbym się ich bać, jeśli mi pomagali?

PYTANIE: Jak mogli ci pomagać?

ODPOWIEDŹ: Nie chcieli tego. Przecież lubię dobrze zjeść. A dziczyzna i ryby oraz leśne owoce to za mało. Robiłem wypadki na wieś. Miałem, na przykład, schowany worek ryżu, który zdobyłem we wsi plemienia Fon. To była daleka wyprawa, ale opłaciła się z taktycznego i wojskowego punktu widzenia.

Udało mi się zdobyć tam sól, której zawsze mi brakowało i inne produkty spożywcze, którymi chciałem sobie podogadzać.

Rankiem, gdy przeniosłem część zdobyczy na wzgórze z którego chciałem iść dalej w stronę doliny, zobaczyłem, jak pewna młoda kobieta rusza do lasu po grzyby, kierując się dokładnie w moją stronę. Obudziła się we mnie żądza.

Rzuciłem swoje rzeczy w krzaki i tropiłem ją tak, jak tropiłbym łanię, starając się niczym nie zdradzać swej obecności. Muszę przyznać, że doświadczenie w prowadzeniu wojny w lesie i życie w lesie nauczyły mnie poruszać się bezszelestnie jak nietoperz i szybko jak jelen. Śledziłem ją, a żądza we mnie rosła. Nawet nie podejrzewałem, że tak mną zawładnie. To była młoda dziewczyna, góralka, ubrana w krótką spódnicę zszytą z jednego kawałka materiału, rozpiętą bluzę, czarną pelerynkę, pamiętam jeszcze naszyjnik ze srebrnych monet. Włosy schowała pod niebieskim turbanem, przez co jej szerokie kości policzkowe wydawały się jeszcze większe. Koszyk przywiązała na plecach. Miała krótkie i grube nogi. Szedłem za nią, a ona nie czuła mojej obecności, potem zatrzymała się i schyliła, żeby zebrać grzyby. Było tam dużo grzybów, rosły pokrywając całą polankę. Pomyślałem, że przyda mi się w przyszłości informacja, że są jadalne. Nie zbierałem grzybów, bo bałem się zatrucia. Gdy przekonałem się, że od wsi oddziela nas las i wzgórze i że nikt nie usłyszy jej krzyków, spokojnie wyszedłem na polanę, podszedłem do dziewczyny, ale ona zauważyła mnie i od razu wszystko zrozumiała — rzuciła koszyk i zaczęła uciekać.

Kiedy w końcu ją dogoniłem, zaczęła się bronić. Być może nic bym jej nie zrobił, ale broniła się i moje ręce wyczuły jak jest słaba. Przez wiele lat nie wiedziałem co to kobieta, ale chęć wejścia w kobietę nigdy we mnie nie osłabła.

Gdy zerwałem z tej dzikuski spódnicę przestała ze mną walczyć i zrobiła się pokorna. Wszedłem w nią i było to słodkie. Pomyślałem: dlaczego nie robiłem tego do tej pory? Dlaczego myślałem, że kobiety z gór to tylko zwierzęta? Ta dziewczyna nie była zwierzęciem. Była bardzo przestraszona i starała się zrobić mi jak najlepiej, żebym ją polubił. Pomyślałem, jak dobrze byłoby zostawić ją przy sobie na zawsze. Dbałaby o mnie i przygotowywała jedzenie.

PYTANIE: Co zrobiłeś potem?

ODPOWIEDŹ: Musiałem zabić dziewczynę, bo ludziom nie można wierzyć. Przy pierwszej okazji uciekłyby do swojej wsi, wysłedzono by mnie i zabito. Nie chciałem jej zabijać. Zakopałem ją w ziemi, urządziłem prawdziwy pogrzeb, taki jak w jej plemieniu. Chciałem, żeby duch tej dziewczyny był spokojny i nie prześladował mnie. Potem opuściłem to miejsce, bo myśliwi zaczęli szukać zaginionej dziewczyny i wysłedziliby mnie.

PYTANIE: Zabiłeś jeszcze innych ludzi?

ODPOWIEDŹ: W ciągu ostatnich miesięcy zabiłem tylko jednego człowieka. Sądzę, że był to złodziej z kopalni rubinów. Zatrzymał się na noc w mojej dolinie. Przestraszyłem się, że znajdzie moją kryjówkę. Zabiłem go. Miał pistolet i naboje, które mi się przydały, a także woreczek z rubinami.

PYTANIE: Czy zdarzyło się to na długo przed spotkaniem z gołymi ludźmi?

ODPOWIEDŹ: Kilka tygodni wcześniej.

PYTANIE: Proszę opowiedzieć o spotkaniu z gołymi ludźmi.

ODPOWIEDŹ: Tej nocy nie spałem w jaskini, ale wyżej, w górach. Nie spieszyłem się z powrotem do niej, bo zaniepokoiło mnie pojawienie się w okolicy żołnierzy. Ze dwa razy nad doliną przeleciał helikopter. Żołnierze czegoś szukali w moim cesarstwie. Wiedziałem, że nie stanowią dla mnie zagrożenia, ale mimo wszystko postanowiłem być ostrożnym. W lesie, wysoko w górach, zobaczyłem jelonka, który stracił matkę. Tropiłem go długo, bo miałem ochotę na mięso. Dopiero wieczorem dopadłem go i zabiłem. Napilem się krwi i najadłem mięsa.

PYTANIE: Nie przygotowywałeś jedzenia? Nie gotowałeś, nie smażyłeś?

ODPOWIEDŹ: Po pierwsze, to niebezpieczne — dym widać z daleka. Po drugie, w surowym mięsie i krwi jest dużo witamin, a ja muszę utrzymywać się w formie bojowej — nie mogę być słaby. Dlatego i mięso, i ryby jadłem tylko na surowo. O świcie wstałem, rozebrałem tuszę, wziąłem ze sobą język, tylne nogi i poszedłem do swojej jaskini. Była mgła.

Wyszedłem z krzaków przed jaskinię i zobaczyłem, że przed wejściem stoi dwóch dzikusów, a dokładniej dzikus i dzikuska. Zupełnie goli. I coś szepczą między sobą w swoim języku.

Weszli do jaskini, mojej jaskini! Młoda dziewczyna zemdląła, a starszy niósł ją, jakby chciał się przede mną schować. Wyglądało to komicznie!

PYTANIE: I nie zabiłeś ich?

ODPOWIEDŹ: Nie było sensu ich zabijać.

* * *

Sato obudził się pierwszy. Nad góry, od strony doliny, nadleciał helikopter — leciał tak daleko, że dźwięk jego silnika brzmiał jak brzęczenie komara. Ale Sato od razu się obudził. Leżał rozbudzony, ale nie poruszał się, nie otwierał oczu — cały zamienił się w słuch. Ostatnimi czasy helikoptery częściej hałasowały nad tymi dzikimi górami, ale Sato nie wiedział, że powodem pojawienia się helikopterów był wzrost aktywności handlarzy narkotyków i próby Ligonu wstąpienia do ASEAN — w tym celu trzeba było udowodnić całej Południowo-Wschodniej Azji, że rząd postanowił rozprawić się z nieporządkami w rejonie „złotego trójkąta”... Aby skuteczniej zwalczać bazy przemytników, trzeba było je znaleźć, więc w Ligonie zaczęła się zakrojona na szeroką skalę operacja przygotowania szczegółowych map regionu północnego — do tego celu wykorzystano wojsko.

Sato nic o tym nie wiedział, ale jeszcze w czasie wojny nauczył się, że największe niebezpieczeństwo dla żołnierza stanowi dobiegający z powietrza dźwięk silnika — ukryj się, zniknij, znieruchomiej.

...Helikopter zamilkł — to znaczy, że odleciał do wiosek Fonów.

Sato otworzył oczy i od razu odkrył, że jego nowi poddani wykorzystali drzemkę wodza, natychmiast rzucili pracę i sami położyli się, by odpocząć.

Jeśli tak będzie nadal, szybko się rozpuszczą.

Myśl ta przestraszyła Sato, a strach doprowadzał starszego sierżanta do wściekłości.

Podskoczył jak rozzłoszczona pantera i zbiegł w dół ze skały. Wąsy rozwiewały się jak cienkie

warkoczyki na wietrze, skakał wśród rozleniwionych przez upał, sennych kosmitów, walił ich rękami i nogami, jak właściciel niewolników, podejrzewający, że leniwi niewolnicy doprowadzą go do bankructwa.

Ludzie, którzy dopiero co zaczęli pogrążyć się w drzemce, podskakiwali i próbowali ukryć się przed gniewem samozwańczego wodza. Dostało się i Nie-mi. Tylko kapitanowi udało się uniknąć kary, bo nie spał i gdy tylko zobaczył nadciągającą burzę w postaci gniewu Sato, złapał prawie gotowy koszyk i uciekł przyciskając go do piersi.

Do jaskini wracali zgnębieni, ledwie ciągnąc za sobą nogi. Każdy taszczył swoją część żywności, a kapitan razem z Po-be-be, który szeptem opowiadał jak unieszkodliwi tego bandytę, targali koszyk pełen korzeni jamsu.

Na placu przed jaskinią, ciągle jeszcze ponury Sato, nakazał rozłożyć żywność, by wyschła. Potem kazał wyznaczyć dyżurnych, którzy mieli za zadanie odganiać od żywności ptaki i zwierzęta.

Następnie oznajmił nagim ludziom, że ma ich dość. Nie ma zamiaru znosić ich niechlujstwa, lenistwa i nikczemności. Niech się wynoszą tam, skąd przyszli i nie przeszkadzają mu żyć po swojemu. Idźcie sobie.

Nikt nie ruszył się z miejsca, chociaż Po-be-be wymamrotał coś niezrozumiałego, coś jakby zamierzał skorzystać z propozycji Sato. Sato tylko na to czekał.

— Kto powiedział, że odchodzi? Czy to ty, szakalu? — obnażył nóż i rzucił się na Po-be-be.

Po-be-be był dobrze rozwiniętym młodym człowiekiem w kwiecie wieku, znacznie silniejszym od Sato. Ale nie wiedział nic o stosowaniu siły poza placem do toczenia piłki. Gdy zobaczył, jak w jego stronę zbliża się nóż, do którego rękojeści przyklejony jest rozwścieczony morderca, podjął jedyną możliwą decyzję — nie zwracając uwagi na kamienie i kłujące gałęzie, pobiegł ścieżką w dół tak prędko, że po chwili Sato został daleko w tyle.

Oczywiście, starszy sierżant mógłby dogonić niepokornego nagiego człowieka, jeśli nie teraz, to za pół godziny. A po dogonieniu spokojnie podciąć mu gardło, bo Po-be-be nie wiedział, jak zablokować atak nożem. Ale Sato przypomniał sobie, jak dzikusy rozprawili się z jego żywnością i wyobraził sobie jak teraz, dławiąc się i mlaskając, pożerają zebrane zapasy. Dlatego plunął na zbiegłego Po-be-be i szybko wrócił na górę, gotowy rozprawić się z resztą.

Ale nie miał się z kim rozprawiać, bo na placyku królowała napięta, ale pokojowa atmosfera. Przecież przybysze nie byli dzikusami — to, na co pozwolili sobie pod wpływem strasznego głodu, teraz nie mogło mieć miejsca, gdy głód już oszukali. Tak więc siedzieli na placyku, nieszczęśliwi, spoceni, zmęczeni i z lękiem wsłuchiwali się w dźwięki dochodzące z lasu, czekając na przedśmiertny krzyk Po-be-be.

Gdy Sato wrócił, ruszyli mu naprzeciw, a Op-zwo, przeczytawszy w jego myślach, że nie zrobił krzywdy Po-be-be, poinformował o tym pozostałych.

Reszta dnia minęła bez specjalnych wydarzeń, a Sato był nawet w dobrym nastroju. Dlatego obie strony wykorzystały czas, by lepiej się poznać nawzajem. Znacznie bardziej delikatni i mądrzejsi od starszego sierżanta kosmici odgadli, że kiedyś w tych stronach toczyła się wojna, a ich nowy wódz o imieniu Sato, a właściwie pan Sato, dowodził jednym z oddziałów. Ale potem pojawiła się niejasność, której nie mogli rozszyfrować nawet tłumacze — z jakiegoś powodu oddział odszedł, a pan Sato wolał zostać w górach. Jest tutaj najważniejszy, wszyscy się go boją, a on nie chce odchodzić do innych ludzi...

Potem nadszedł drugi wieczór na Ziemi.

Niebo zaczęło szybko ciemnieć, mieniając się tropikalnymi barwami zachodu, a po chwili pojawiły się jasne gwiazdy. Od doliny powiało chłodem. Sato nakazał Nie-świa-mi przynieść wody z rzeki, w tym celu dał jej angielski hełm, a sam, przykazawszy pozostałym zostać przed wejściem do jaskini, wszedł do środka. Odnalazł schowek, w którym miał ukryty koc i wałek pod głowę. Przygotował sobie posłanie jak najbliżej wejścia, potem sam rozdał wszystkim żywność na kolację i nikt z kosmitów nie protestował, chociaż dał znacznie więcej jedzenia kobiecie Nie-mi i kapitanowi — za koszyk.

W tym czasie Nie-świa-mi zeszła nad rzekę i zaczęła nabierać wodę. W dole panowała ciemność, więc młoda kobieta bardzo się bała — za każdym krzakiem wiedziała skradającego się drapieżnika, a potem, gdy już nabrała wody do hełmu, usłyszała młody, męski głos: „Nie bój się, to ja!” — przestraszyła się tak, że uciekła na górę, gubiąc po drodze hełm.

Gdy wbiegła na placyk, akurat kończył się podział żywności na kolację.

— Co się stało? — zapytał Sato, przybierając groźną minę.

— Proszę mi wybaczyć — odpowiedziała Nie-świa-mi.

— Ale tam ktoś jest. Przestraszyłam się, uciekłam. Proszę mi wybaczyć...

Sato podskoczył. Był gotowy do walki.

— A gdzie miska? — zapytał.

— Zgubiłam ją.

— Zostaniesz ukarana — powiedział Sato i powoli, bezszelestnie ruszył ku brzegowi placyku.

Ale nie udało mu się zejść na dół i samemu sprawdzić, gdzie się podział hełm.

Hełm pojawił się na skraju placyku — niósł go Po-be-be w wyciągniętych przed siebie rękach. Trzymał go tak, aby pan Sato widział, że Po-be-be nic nie knuje.

— To ja — oznajmił, a Op-zwo pośpiesznie przetłumaczył, żeby Sato nie zabił młodego uczonego. — Byłem na dole, gdy zeszła Nie-świa-mi. Przestraszyła się i upuściła hełm. Pomyślałem, że pan Sato z pewnością niepokoi się, gdzie jest hełm.

— Z tymi słowami Po-be-be ostrożnie położył hełm u stóp Sato. Ten szybko go podniósł i stuknął Po-be-be w twarz, przewracając go.

Potem Sato odwrócił się do Nie-świa-mi i powiedział:

— I tak zostaniesz ukarana! Mogłaś zgubić miskę. Zrozumiałaś?

— Przecież to nie moja wina! — krzyknęła kobieta głośniej, niż to było konieczne. — Przestraszył mnie!

— On już został ukarany i dobrze zrobił przynosząc miskę z wodą. Może tu przyjść.

Wszyscy poczuli ulgę. Wszyscy martwili się losem Po-be-be, którego mogły zjeść dzikie zwierzęta. Zresztą on sam też się tego obawiał, inaczej nie przyniósłby napełnionego wodą angielskiego hełmu.

Op-zwo wykrzyczał w stronę Po-be-be zaproszenie Sato.

Potem wszyscy usiedli do kolacji. Ukarani Nie-świa-mi i Po-be-be musieli zadowolić się małymi cebulkami. Dobrze chociaż, że udało im się coś przegryźć w czasie zbierania żywności.

Ściemniało się szybko. Pojawiły się komary. Wszyscy w milczeniu zjedli to, co im przypadło w udziale. Potem Sato pozwolił iść do jaskini. Sam zajął swoje wygodne posłanie i nakrył się kocem.

Pozostali ułożyli się na legowiskach z trawy.

W jaskini było ciemno. Ale przez szerokie wejście widać było jasne gwiazdy.

— Dobranoc — powiedział do wszystkich kapitan. — Życzę wam zdrowia i jutrzejszego dnia.

Było to standardowe zdanie, jakim kapitan statku zwracał się co wieczór do swej załogi.

Wszyscy kosmici byli wdzięczni kapitanowi Po-dyrekowi za słowa, przypominające im, że należą do cywilizowanego społeczeństwa i, jeśli będą podtrzymywać się nawzajem, mogą mieć nadzieję na ratunek.

* * *

Sato nie mógł usnąć. Był zdenerwowany.

Przeżył w tych górach dwadzieścia dwa lata. Lata te przeleciały szybko, bo Sato zawsze był zajęty — niełatwo było się wyżywić, uniknąć spotkań z ludźmi i zwierzętami, znieść choroby i chłody. Z drugiej strony, od czterdziestego piątego minęło już tyle lat, że wojna i inni ludzie wydawali się tylko duchami. Można się przekonywać, że istnieją, ale najprawdopodobniej nie ma ich wśród żywych. Utonęli w drodze do Japonii, zginęli w ostatnich walkach lub umarli od chorób. I Sato był ostatnim człowiekiem na Ziemi. Ostatnim prawdziwym człowiekiem. Ale jeśli tak jest, to życie straciło sens, bo był jak obłok, który przepłynie nad górami, nawet nie skropiwszy ich deszczem... A może nie trzeba było zabijać tej góralki? Urodziłaby mu syna. Dlaczego tak się smucisz, starszy sierżancie? Przecież zamiast góralki masz kilka żon, bogowie zesłali ci niewolników. A co, jeśli jest to kolejna próba? Próba mądrości? Może teraz obserwują go z góry, żeby zdecydować, czy jest godzien książęcej władzy. Przecież to oczywiste — nadzy ludzie nie są prawdziwymi ludźmi, zupełnie możliwe, że to wilkołaki. Czy mogą istnieć prawdziwi dzicy z takimi delikatnymi rękami i nogami, czy może istnieć na świecie plemię, niezdolne samo się wyżywić? Dosłownie jakby spadli z nieba. O, właśnie — spadli z nieba!

Robiło się coraz chłodniej — noce w górach są znacznie zimniejsze niż w dolinach. Sato naciągnął koc pod samą brodę. Pomyślał, że nagim ludziom z pewnością trudno jest znieść taką pogodę, ale jeśli przyszli z północy, to powinni być przyzwyczajeni do zimna.

Sato słyszał jak jego ludzie kaszlą, przewracają się z boku na bok, wzdychają, ale nie mają odwagi odezwać się.

Wyczuł, bardziej intuicją niż oczami — nawet jego bystry wzrok był niewystarczający, by dojrzeć, co się dzieje w jaskini — że ostrożnie, na czworakach zbliża się do niego kobieta. Zgadł, że Nie-mi, którą uszczęśliwił dzisiaj za dnia nad rzeką (znalazł już na własny użytek odpowiednie słowo: uszczęśliwił), zmarzła leżąc na nędznej stercie trawy i chce wprosić się do niego pod koc. Sato uśmiechnął się i pomyślał, że sam powinien kazać jej położyć się obok. Byłoby i przyjemnie, i ciepło.

Kobieta nachyliła się nad nim i coś wyszeptała w swym niezrozumiałym języku.

— Właż — powiedział Sato, a jego głos poniósł się po jaskini, ale Sato było wszystko jedno, czy go słyszą, czy nie.

Kobieta przesuwiała ręce po kocu, starając się wymacać starszego sierżanta, by się koło niego położyć. Gdy kobieta weszła pod koc okazało się, że ma tak zimne nogi, że Sato miał ochotę uciec. Ale środkowe części ciała były znacznie cieplejsze, niż nogi i palce u rąk, więc Sato szybko zapomniał o tym, że ma zimne nogi.

Kobieta delikatnie przytuliła się do Sato, miała gładki, miękki brzuch i pełne, delikatne wargi, jej włosy były gęste i sprężyste.

— O-lalala — szeptała kobieta, a Sato pomyślał, że wcale nie jest pewien, czy obejmuje swoją Nie-mi — zdaje się, że tamta miała krótsze włosy. I zapach jest inny. Sato, jak zwierzę w dżungli, miał niezwykle wyostrzone powonienie i pamięć zapachów — wszystkie zwierzęta dobrze pamiętają zapachy. Zapach kobiety przytulającej się do sierżanta był inny niż zapach Nie-mi.

Ręce kobiety były zwinne i uparte. Macały, gładziły, drapały sierżanta, aż obudziła się w nim ogromna chęć, by zawładnąć tą kobietą i zaspokoić jej pragnienie, bo przecież spełniał swój obowiązek bycia mężem wszystkich kobiet w plemienu.

Ale mimo wszystko deprymowała go myśl, że w ciągu jednego dnia wchodzi w drugą kobietę. A może zaistniała pomyłka? Może ta kobieta szła do innego mężczyzny i pomyliła się w ciemnościach?

To raczej niemożliwe. Przecież nieznaną kobietą dopiero co zdjęła z niego spodnie, a inni mężczyźni spodni nie mieli. Po co zdejmować spodnie z kogoś, kto ich nie ma na sobie? A więc nie zdziwiło ją to, że ma je na sobie.

W tym miejscu rozważania Sato zostały przerwane, bo oddech kobiety stawał się coraz szybszy, jej ręce coraz mocniej przyciskały do siebie podatne, ale nieprzyzwyczajone do takich objęć, żylaste ciało starszego sierżanta. Od kobiety bił już taki żar, że Sato zaczął pogrążyć się w nim, jak w wannie z gorącą wodą — jak w dzieciństwie, w wiejskiej łaźni...

I wtedy, nie umiając i nie chcąc pokonać w sobie zwierzęcia, Sato wciągnął pod siebie drżące ciało, odnalazł drzwi do niego i wpadł do środka jak pocisk z ciężkiej broni, zaczął siać spustoszenie wewnątrz kobiecego ciała, które oczywiście nie należało do dobrej i mądrej Nie-mi, a należało do kogoś innego — raczej do Nie-świa-mi, pełnej sił ślicznotki niż do subtelnej i nieśmiałej Mi-ły.

A jaskinia nie spała.

Jaskinia wsłuchiwała się w coraz szybsze westchnienia pod ścianą, ale jako że akt miłosny odbywał się w całkowitej ciemności, tylko tłumacze (telepaci) byli przekonani, że znają istotę rzeczy, wsłuchując się w próbę zamarzniętej i dlatego właśnie pogardzającej zasadami ślicznotki Nie-świa-mi, dostania się pod koc starego, japońskiego sierżanta.

Pozostali gubili się w domysłach.

Nie wiadomo dlaczego, kapitan sądził, że scena miłosna rozgrywa się między Po-be-be a ślicznotką Nie-świa-mi, a nawigator Po-bie zakładał, że to telepaci zbliżyli się do siebie korzystając z ciemności. Po-be-be miał nadzieję, że jest świadkiem tego, jak rozwija się romans między Sato i Nie-mi.

Nie-mi niestety wiedziała, że leży w zimnie, a Sato nie ma obok niej. Wiedziała także, że jęczący głos należy do jej niedawnego gwałciciela i było dla niej jasne, że starszy sierżant nie zadowolili się jej starzejącym się ciałem, ale uległ prowokacji jednej z dwóch kobiet — najprawdopodobniej tej kocicy Nie-świa-mi, której mało było doprowadzić do zguby utalentowanego wynalazcę Po-mgn i która teraz dla dodatkowego kawałka chleba odpycha łokciami innych, znacznie lepszych od siebie ludzi.

Miłosne westchnienia osiągnęły apogeum, zmuszając pozostałych ludzi do zatkania uszu, a Mi-ła nawet wybiegła z jaskini na nocne zimno, bo tak wyprowadziła ją z równowagi burza uczuć, przenikająca do jej podświadomości.

— Jesteś prawdziwym mężczyzną — z wdzięcznością wyszeptała kobieta, leżąca w objęciach Sato. Ale Sato nie zrozumiał jej słów, chociaż oczywiście było, że brzmi w nich akceptacja.

Nie-świa-mi, obdarzając sierżanta gorącą miłością, jakiej do tej pory nie znał, liczyła nie tyle na stałe uczucie, co martwiła się, by nie zmarznąć w nocy. Stawszy się naczyniem, które obdarowało Sato miłością, objęła go rękami i zamierzała spokojnie zasnąć pod ciepłym kocem.

Ale nic z tego! Właśnie wtedy, gdy Nie-świa-mi zaczęła się uspokajać, po gospodarsku przyciskając do siebie starszego sierżanta, skończyła się cierpliwość jej starszej koleżanki — Nie-mi.

Ta rozumiała, że znajduje się w szponach mroźnej nocy, że zbliża się śmierć, a winę za to ponosi egoistyczny, niegodny cywilizowanego człowieka postępek dziwki Nie-świa-mi. Nie mogła dłużej się z tym godzić. Wstała z kłującej trawy i zrobiła sześć kroków dzielących ją od łoża miłości. Op-zwo, na którego nadepnęła po drodze, spróbował myślami uspokoić ją i powstrzymać, ale oczywiście nic z tego nie wyszło.

Jak wściekła furia Nie-mi uderzyła w koc i zaczęła wyciągać spod niego zapadającą w sen rywalkę.

Ta nie od razu zorientowała się, co za nieszczęście na nią spadło i kto atakuje ją paznokciami i zębami, ale najgorzej dostało się Sato, bo bójka dwóch kobiet toczyła się na jego ciele — dwie potężne, dobrze odkarmione kobiety kopały go, biły, drapały, wgniatały w kamienie.

Pozostali mieszkańcy jaskini wstali, ale nie podchodzili bliżej, żeby nie dostać przy okazji. Milczeli wszyscy, oprócz Po-be-be, który wesołymi okrzykami zagrzewał wojowniczkę do walki.

W końcu Sato udało się uwolnić od kobiet i koca i odturlać na bok.

W ciemnościach widział niewiele więcej niż kosmici, ale mimo wszystko miał przewagę nad nimi, bo dokładnie wiedział, kto się gdzie znajduje.

Dlatego, opanowawszy nieco sytuację, Sato złapał za włosy Nie-mi i przypomniał sobie jak niedawno głaskał te włosy, gładził je i dotykał wargami. Ale natychmiast odpędził od siebie zbędne wspomnienia i zaczął okładać kobietę pięściami, by przywołać ją do porządku. Początkowo oganiała się, nie wiedząc, kto ją tak boleśnie bije, ale potem przestała opierać się i próbowała odczłgać się jak mogła najdalej.

Sato zostawił ją w spokoju i wyciągnął z posłania drugą, jeszcze ciepłą kochankę i sprawił jej, zupełnie przeciw niewinnej, takie samo manto jak starszej kobiecie. A potem wygnał ją ze swego łóżka.

Przekonany, że nikt więcej nie naruszy jego snu, Sato zawinął się w koc i spróbował usnąć.

A kobiety nie mogły znaleźć w ciemności swych żalonych posłań, więc Op-zwo otworzył przed nimi umysł i zawołał je w myślach do siebie, by się objąć i grzać nawzajem.

Niemalże wszyscy kosmici zbili się w żalną kupkę i próbowali zasnąć, tylko Nie-mi i Nie-świa-mi nie spały — zbyt bolące je miejsca po uderzeniach przez sierżanta. Płakały więc cicho, starając się nie obudzić pozostałych.

Nie spał także Po-be-be.

Chciał zniszczyć Sato, ale potem postanowił zniszczyć Nie-świa-mi. Myślał o tym, że z własnej winy padamy ofiarami niesprawiedliwości i nieszczęść. W końcu kobiety same wybrały się na obiad do ludożercy. I wcale nie wiadomo, kto najbardziej zasłużył na śmierć — być może wcale nie dzikus, a cywilizowane kobiety, z doktoratami, poniżając nie tylko siebie, ale i całą, wielką cywilizację, która wysłała je w kosmos.

Tak rozmyślając, Po-be-be zasnął jak dziecko, a początkowa płytko drzemka szybko zamieniła się w głęboki sen, który jednak został przerwany i to w jeszcze bardziej dramatyczny sposób.

O dziwo, źródłem kolejnych niepokojów był najspokojniejszy członek załogi — nawigator Po-bie, który do tej pory nie wtrącał się w konflikty i nie przejawiał chęci rozprawienia się z Sato.

Ale tej nocy, leżąc na twardym posłaniu i cierpiąc okropnie z powodu zimna, Po-bie w myślach żegnał się ze swym stosunkowo długim i udanym życiem i rozumiał, że zakończy się ono tutaj, na dalekiej, dzikiej planecie, chociażby dlatego, że nie ma już sił, by walczyć z losem. Rozmyślając jak każdy rozumny człowiek nad swą śmiercią, nie przypuszczał, że będzie tak brudna, bezsensowna i hańbiąca. Okazało się, że w rozkazie dowódcy o konieczności popełnienia samobójstwa w przypadku awaryjnego lądowania na Ziemi, kryła się wyższa mądrość — umierać należy z honorem. Stchórzyłeś, ocaliłeś życie zapominając o sumieniu, więc jesteś teraz skazany na powolną śmierć, jak kochający wolność drapieżnik w zoo.

Po-bie był do głębi oburzony tym, że szlachetne kobiety planety Dom sprzedały swą cześć i ciało za odrobinę ciepła w nocy i dodatkowy kawałek chleba. Z obrzydzeniem patrzył, jak jego koledzy pokornie znoszą wysoki sierżanta, chociaż nic nie stoi na przeszkodzie, by się zjednoczyli i wygnali go. I tak oto cywilizacja Domu nie wytrzymała próby przeszłości, próby zwierzęcych obyczajów starego świata. Ale honor tej cywilizacji można było uratować. A dokonać tego mógł tylko jeden człowiek — były nawigator Po-bie, gotów poświęcić się w imię wolności pozostałych.

Teraz podczołgam się do niego, planował akcję nawigator, i odszukam w ciemności jego gardło. Ważę więcej od niego, uduszę go... Nie, nie tak. Zrzuci mnie i wyrwie się. Trzeba znaleźć coś ciężkiego, żeby uderzyć sierżanta w głowę.

Drugi wariant był prostszy, nie wymagał walki i można go było zrealizować w ciągu sekundy. Trzeba było tylko znaleźć kamień...

Po-bie wiedział, że przez resztę życia będzie go męczyło sumienie, przypominając o strasznym przestępstwie, na które porywa się dla dobra towarzyszy. Najprawdopodobniej jedynym wyjściem dla mnie będzie śmierć, myślał nawigator. Za to pozostali odetchną. I uczciwe kobiety nie będą musiały handlować swymi ciałami, a odważnemu kapitanowi nikt nie przystawi noża do gardła.

Kamień znalazł się nadzwyczaj szybko, jakby leżał pod ręką i czekał, aż nadejdzie jego godzina. Nawigator ucieszył się, była to dobra wróżba.

Teraz trzeba było wstać tak, by nikt nie zauważył jego ruchów.

Nawigator podniósł się na łokciu i przez jakiś czas wsłuchiwał się w oddechy pozostałych mieszkańców jaskini. Ale nie usłyszał nic podejrzanego.

Wtedy podczołgał się do legowiska sierżanta, obmacując ręką ziemię. Najważniejsze — nie pomylić się, najważniejsze — nie podnieść ręki na któregoś ze swoich...

Ale szczęście nadal sprzyjało nawigatorowi.

Macające w ciemności palce natknęły się na grubą tkaninę — brzeg koca, którym był przykryty Sato.

A gdzie jest głowa? Królestwo za latarkę!

Nawigator wsłuchiwał się w oddech sierżanta. Ten we śnie zazgrzytał zębami i ciężko dyszał, jakby biegł. O niebiosa! — pomyślał nawigator. Przecież to też człowiek! Żywa istota, z jej nadziejami, bólem i rozczarowaniami! Czy mam moralne prawo podnieść na niego rękę i przerwać jego życie, nawet jeśli w stosunku do nas człowiek ten zachowuje się nie najlepiej?

Nawigator miał ochotę obmacać głowę, by jeszcze raz przekonać się, że nie zaszła pomyłka. A jeśli któraś z kobiet mimo wszystko wróciła pod koc Sato, a on teraz zabije niewinnego człowieka?

I tak Po-bie zamarł z kamieniem w rękę, a myśli jego skakały, szybowały, zabijając się

nawzajem. Z jednej strony był przekonany o słuszności swej decyzji — było jasne, że kosmici zetknęli się z pozbawionym sumienia przestępcą, który w miarę tego, jak będą mu ustępować, będzie stawał się coraz bardziej bezczelny. Dzisiaj pokaleczył nożem kapitana i zgwałcił kobiety, jutro zacznie ranić i zabijać niewinnych ludzi. Obowiązek, właśnie obowiązek, zmusza Po-bie do samosądu... A wtedy pojawiły się inne myśli, domagające się sprawiedliwości. Dlaczego działania kapitana, który zabił drugiego nawigatora są dopuszczalne i dobre, przecież drugi nawigator chciał żyć tak samo jak kapitan? Dlaczego rząd planety Dom uważa, że ma prawo nakazać astronautom grupowe samobójstwo w imię jakichś mglistych interesów państwowych, w imię tego, by niektórzy rządzący stali się jeszcze potężniejsi i mogli posyłać nowych ludzi w nowe zawieruchy, z takim samym, nieludzkim rozkazem? Czy poczynania Sato, męczącego i wyzyskującego ludzi dla własnego dobra, są gorsze niż działania gigantycznej maszyny, która nadaje swym bandyckim nakazom formę prawa? Czy strach, który czujemy przed Sato, różni się od tego, który czujemy, choć nie chcemy się do tego przyznać, przed państwem? Czy nie dlatego, że państwo nazywa swe przestępstwa naszymi ofiarami w imię wyższego celu?

I tak Po-bie klęczał nad człowiekiem przykrytym kocem, podnosząc kamień nad jego głową i nie mogąc zdobyć się na uderzenie.

I w końcu stało się to, co musiało się stać. Po-bie zachwiał się z wysiłku i ruch ten obudził Sato. Ten w okamgnieniu zorientował się, że grozi mu niebezpieczeństwo, podskoczył, wyrwał kamień z ręki Po-bie i mocno uderzył go w głowę.

Stało się to tak szybko, że nawet tłumacze się nie obudzili — śniły im się tylko koszmary, krew i śmierć...

Sato znowu położył się pod kocem, ale długo nie mógł usnąć, bo ciągle zwidywało mu się, że nadzy mściciele podkradają się do niego ze wszystkich stron.

* * *

O świcie, na zewnątrz jaskini odezwały się pierwsze ptaki, promień słońca, który wpadł do groty, oświetlił następującą scenę: z jednej strony, z kocem naciągniętym na głowę spokojnie pochrapywał starszy sierżant, a z drugiej strony skłębieni, z poplątanymi rękami i nogami, bo każdy chciał się znaleźć w środku kłębowiska, spali pozostali ludzie, a oba te legowiska rozdzielało leżące pośrodku ciało nawigatora Po-bie — na jego łysinie wyrastał gigantyczny guz. Obok leżał niewielki, okrągły kamień, którym najwidoczniej zadano cios.

Powoli i bezszelestnie, jak zjawy, kosmici wstawali z kamieni i gromadzili się wokół ciała Po-bie, nie mając odwagi zakłócić snu starszego sierżanta.

Kobiety przyklekły koło nawigatora, a Po-be-be, który odebrał wykształcenie medyczne, uniósł powiekę nawigatora i poruszając tylko wargami powiedział:

— Wątpię.

Delikatna Mi-ła odpowiedziała na to w myślach: „A mnie wydaje się, że w nim ciągle jeszcze kołacze się życie”.

W tej samej chwili, wyczuwając ruch w jaskini, ocknął się Sato. Od razu usiadł i złapał za nóż.

To dziwne, pomyślał, spoglądając na grupę nagich ludzi. Jeszcze wczoraj wieczorem nie bałem się ich, a teraz, gdy zgmiotłem wszelki opór, gdy boją się chociażby odezwać w mojej obecności, coś mnie przeraża i niepokoi, cały czas czekam na uderzenie w plecy.

— Chciał mnie zabić — głośno powiedział Sato. — Słyszycie? Wszyscy zwrócili się w stronę tłumaczy.

— Tak myśli — powiedział Op-zwo. — Szczerze w to wierzy. Po-bie napadł na niego.

— Zuch, Po-bie — mruknął pod nosem Po-be-be — chociaż umarł z honorem. W przeciwieństwie do poniekórych... — Przez poniekórych Po-be-be samokrytycznie rozumiał siebie.

— Tak będzie z każdym — kontynuował Sato — kto odważy się podnieść rękę na twórcę państwa sprawiedliwości i wiecznego pokoju!

Wszyscy odgadli, że miano państwa sprawiedliwości i wiecznego pokoju nosi od tej chwili ciemna jaskinia i jej mieszkańcy.

Nie wypuszczając noża z ręki Sato wstał i podszedł do ciała Po-bie.

— Szakal! — powiedział z pogardą. — Chciał mnie zabić po ciemku, podpełzając... No już, wszyscy mają krzyczeć: szakal!

Wszyscy niezbyt głośno krzyknęli słowo, które w języku planety Dom oznacza zwierzę żywiące się padliną.

Hałas sprawił, że Po-bie ocknął się, otworzył oczy, ale niestety nikogo nie poznał.

— Przepraszam — zapytał Mi-ła, która nachyliła się najbliżej niego — gdzie jesteśmy?

— O niebios! — ucieszyła się Mi-ła. — Żyje!

Wszyscy zaczęli cieszyć się z tego, że Po-bie żyje. Sato nie dzielił z nimi radości, wyszedł na placyk przed jaskinią i zorientował się, że zapomniał wystawić na noc wartownika — wraz z brzaskiem na placyku pojawiły się ptaki i drobne zwierzęta, by pożywić się wczorajszymi plonami.

Sato krzyknął na ostatnich grabieżców, a następnie zawołał swych poddanych, by przenieśli uszczuplone zapasy do jaskini.

Po-bie nadal leżał na kamiennej podłodze i za nic nie chciał poznać swych towarzyszy. Wydawało mu się, że jest na ojczystej planecie Dom, na letnim obozie, a od chwili, gdy się urodził, minęło dopiero jedenaście lat.

Pod wieczór doszedł do wniosku, że jest staruszką Nie-kowaton, która kiedyś zdobyła biegun północny na jego ojczystej planecie.

Nie udało się przywrócić mu świadomości.

* * *

Przez kolejne tygodnie wiosny 1977 nagle plemię wraz ze swym wodzem prowadziło uporządkowany i jednostajny tryb życia. Rano, po krótkiej toalecie i sprzątaniu, Sato osobiście prowadził przez godzinę musztrę, potem mężczyźni wyruszali na poszukiwanie jedzenia, a kobiety albo zajmowały się tym samym, albo szykowały obiad i zajmowały się konserwowaniem żywności na czas pory deszczowej. Po obiedzie Sato rozdzielał pochwały i kary. Tych drugich było znacznie

więcej. Potem znowu zaczynała się musztra, której sensu nie rozumiał żaden z nagich ludzi. A wyjaśnienia Sato nikogo nie zadowalały. Kosmici byli przekonani, że musztra to rytuał religijny rozprzestrzeniony w górskich regionach Ziemi.

Wieczorem następowały kolejne pochwały i kary, a po zapadnięciu zmroku Sato szedł spać, biorąc ze sobą do łóżka, w zależności od nastroju, Nie-mi lub Nie-świa-mi. Te dwie kobiety czasem klóciły się i biły o prawo spania z sierżantem, bo wynikały z tego nie byle jakie przywileje podczas podziału żywności i pracy, a Sato, będąc zasadniczo rozumnym władcą, oddawał wolną od obowiązków w jego legowisku nałożnicę mężczyźnie, który wypadł najlepiej podczas musztry. Fakt ten nie podobał się kobietom, bo żadna z nich nie chciała spać z Op-zwo, ani z pozbawionym rozsądku Po-bie. Ale prawo jest prawem. Tylko Mi-ły Sato nie wykorzystywał jako nałożnicy, bo nie lubił kościstych kobiet. Mi-ła była szczęśliwa.

Kwiecień nie przyniósł dużych postępów w musztrze, więc Sato zrezygnował z pomysłu rozdania mężczyznom drewnianej broni i szabli.

Wtedy w dolinie pojawili się ligońscy żołnierze.

Najpierw coraz częściej latały helikoptery. Codziennie nad doliną przelatywała jedna albo dwie maszyny. Co prawda nadzy ludzie nie bali się helikopterów — być może zetknęli się z nimi, gdy mieszkali na północy, w chińskich górach, a może brali je za duże ptaki.

Potem nastał ten nieszczęsny dzień, gdy Sato, który wybrał się na poszukiwanie ślimaków, zobaczył idących wzdłuż rzeki ligońskich żołnierzy. Żołnierze rozmawiali głośno, śmiali się i niczego się nie bali. Sato poczuł ukłucie w sercu — jak człowiek, który pielęgnował trawnik przed domem i nagle zobaczył, że obcy samochód zdziera darń.

Sato siedział na grubej, zwisającej nad rzeką gałęzi i wyobrażał sobie, jak skacze na żołnierzy, rozrywa ich na strzępy, rozdeptuje, niszczy... Ale był dość ostrożny, by nie pozwolić nienawiści zapanować nad sobą. Co by osiągnął napadając na patrol? Przecież jest sam, a żołnierzy wielu, a po napadzie zrobiliby się ich jeszcze więcej. Co innego gdyby udało się napuścić na patrol przemytników, ale duże grupy przemytników i handlarzy narkotykami nie chodziły tą doliną — była na to zbyt dzika i za wąska.

Sato przepuścił żołnierzy mając nadzieję, że nie odkryją jaskini i wrócił do domu.

Zebrał nagich ludzi przed jaskinią i powiedział tak:

— W naszej dolinie pojawili się bandyci, którzy szukają w górach ludzi, żeby ich zabić.

— Po co mieliby nas zabijać? — zdziwił się Po-be-be.

— Dowiedcie się, jak was zabijają — odpowiedział Sato. — A dopóki jesteście moimi ludźmi chcę, żebyście żyli. Rozkazuję: w żadnym wypadku nie pokazywać się na oczy ludziom w zielonym ubraniu i zielonych czapkach. Jeśli wyśledzą naszą jaskinię, to raczej was zabiję niż pozwolę, by żołnierze zamęczyli was na śmierć!

Sato mówił z takim przekonaniem, że Op-zwo i Mi-ła pogubili się — kłamie czy też może ludzie w zielonych ubraniach rzeczywiście polują na nagich ludzi?

— Niewykluczone... — zauważył kapitan, gdy kosmici omawiali ten problem pod nieobecność Sato, że jakaś grupa, miejscowa albo pochodząca z innej planety, otrzymała z Centrum Galaktycznego rozkaz, by nas odszukać i zniszczyć.

— Albo posłali ich nasi, z Domu — powiedział Po-be-be.

— Będę się bawić i śpiewać — powiedział szalony Po-bie.

— Zamilcz! — rozkazała Nie-mi.

Na Domu ludzi kalekich, szaleńców i mizmatyków traktowano źle. Samo ich istnienie działało na korzyść teorii ogłupienia — najgorszego, co może przytrafić się człowiekowi. Tak więc straciwszy pamięć, nawigator Po–bie nie mógł liczyć na współczucie rodaków. Zły stosunek do niego wynikał także z tego, że wszyscy musieli tracić немало czasu na musztrę, która bez względu na starania poborowych i upór sierżanta nie dawała pożądaných efektów. Kosmici ciągle łamali szyk i mylili nogi. Sato mianował szalonego nawigatora orkiestrą. Ten zrobił sobie fujarkę i z radością ćwiczył o najdziwniejszych porach dnia i nocy. A gdy uczeni, bez względu na wiek i płeć, pod dusznym, burzowym niebem równali szyk lub wykonywali zwrot „na–pra....wo!”, Po–bie siedział w cieniu i przeraźliwie dał w fujarkę, wywołując powszechną nienawiść. Kosmici dwukrotnie próbowali połamać fujarkę, ale, jak każda walka prowadzona nie z przyczyną, a z objawami, zamachy te nie doprowadziły do niczego, jeśli nie liczyć faktu, że każda kolejna fujarka miała dźwięk bardziej przenikliwy od poprzedniej.

— Być może tylko ucharakteryzowali się na ludzi — zauważył Po–be–be, który ostatnimi czasy zmienił stosunek do Sato, bo ten mianował go kapralem i obiecał przy pierwszej nadarzącej się sposobności naszyć mu na pagony trzy złote gwiazdki, a na razie pozwolił spać z Nie–świa–mi w te noce, gdy nie zajmowała się panem starszym sierżantem.

Mi–ła pomyślała, że lepiej było skończyć ze sobą, gdy był na to czas, niż denerwować się kolejnymi zagrożeniami. Przecież Op–zwo, chociaż jest dobrym człowiekiem, nie obroni wszystkich.

Op–zwo wychwycił myśl ukochanej i przyznał jej rację.

— Musimy stąd odejść — powiedział kapitan Po–dyrek. — Z pewnością pan Sato zna kryjówki, gdzie można przeczekać, dopóki nie zakończą się poszukiwania.

— Skąd wiesz o kryjówkach? — rozżłościł się Sato. Ale Op–zwo dodał, że kapitan nic nie wie, ale sądzi, że taki przedsiębiorczy i ostrożny człowiek, jak pan Sato, na pewno ma zapasową kryjówkę.

Sato chrząknął i nic nie powiedział.

Nie wiedział, po co żołnierze łążą po dolinie i dlatego denerwował się potrójnie. Jeśli postanowili zorganizować tu placówkę, to nie pomogą żadne zapasowe kryjówki.

Następnego dnia pojawił się kolejny powód do niepokoju.

Sato zobaczył z jaskini, że ktoś czai się w krzakach na drugim brzegu. I nie tylko kryje się, ale wręcz obserwuje wejście do jaskini. Sato stracił ponad godzinę, starając się odgadnąć, kim jest obserwator. Tego dnia nie opowiedział o tym, co zobaczył, swym podopiecznym — po co ich straszyć? Ale sam — przekonał go „zajaczek” odbity od soczewki lornetki i jasna plama twarzy kryjąca się za łodygami bambusa — był przekonany, że obserwują go wojskowi i że zainteresowanie jaskinią nie jest przypadkowe. Wojsko coś wie, ktoś był nieostrożny.

Sato rozżłościł się i chociaż nie miało to większego sensu, zawołał do siebie Nie–mi i udał się razem z nią za skałę. Niemi była donosicielem, za co dostawała dodatkową żywność. Kobieta wysunęła podejrzenie, że nieostrożną osobą była Miła, która ostatnimi czasy sama, bez pozwolenia wodza, zaczęła zbierać niepotrzebne do niczego kwiaty.

Sato dał Nie–mi jabłko jako premię, potem wziął pejcz, spleciony jako narzędzie kary przez biegłego w rękodziele kapitana i nakazał Mi–łej, która w tym czasie czyściła dzikie cebule, udać się razem z nim nad rzekę. Odchodząc, nakazał Po–be–be pilnować, by Op–zwo nie ruszył na pomoc dziewczynie — wiedział, że Op–zwo z pewnością usłyszy wewnętrzny krzyk ukaranej. Po–be–be odpowiedział, że rozkaz zostanie wykonany, a Mi–ła, czując już, że czeka ją kara i to niezасłużona,

zadrzała — nigdy jeszcze nie była chłostana. Owszem, była bita, ale nie chłostana.

— Odwróć się.

Sato nakazał dziewczynie stanąć na czworakach i zaczął ją chłostać. Mi-ła nie sprzeciwiała się i znosiła ból przede wszystkim dlatego, by nie dręczyć nieszczęsnego Op-zwo. Pokornie znosiła uderzenia i widok ten stopniowo coraz bardziej podniecał Sato, więc nie bacząc na opór tłumaczki wszedł w nią i został jej pierwszym mężczyzną. Mi-ła gorzko płakała. Op-zwo również płakał i groził samobójstwem. Kapitan zebrał wszystkich kosmonautów i kolektyw podjął decyzję o wyrażeniu pogardy dla Nie-mi, która doniosła na tłumaczkę, w rezultacie czego ta ucierpiała zarówno fizycznie, jak i moralnie. Ale Nie-mi nie zgodziła się z zarzutem oznajmiając, że ją samą także nieraz tak poniżano..

Żołnierze nie opuścili doliny — rozbili obóz w odległości około dwóch mil, na drugim brzegu rzeki. Mieli tam namioty z łózkami oraz duży namiot ze stołem do jedzenia. I jeszcze jeden namiot — kuchnię. Sato wiedział, że taki obóz wytrzyma aż do silnych deszczy — wtedy zostanie zmyty. Deszcze powinny zacząć się lada dzień. Wszystko to było wielce zagadkowe.

Zagadka stała się jeszcze dziwniejsza, gdy helikopterem przywieziono cywili. Jedna kobieta i dwóch mężczyzn wyglądali na Angoli, był z nimi jeszcze jeden dżentelmen — wyglądał jak Ligończyk, ale ubierał się jak Angol. Wraz z nimi przyleciał ligoński major. Sato miał wrażenie, że to właśnie on prowadził kilka dni temu obserwację jaskini.

Wszyscy ci ludzie jedli, pili, głośno rozmawiali, jakby byli u siebie w domu. Sato żałował, że nie wziął ze sobą Op-zwo, który mógłby dobrać się do ich myśli i dowiedzieć się, po co tutaj przyjechali. Ale zabierać ze sobą Op-zwo, od czasu ukarania Mi-ły, było niebezpiecznie.

Kolejny dzień przyniósł nowe nieszczęścia.

Angole przyszli pod jaskinię i obserwowali ją z krzaków po drugiej stronie. Pewnie myśleli, że w jaskini mieszkają straszni idioci, którzy niczego nie widzą i niczego nie słyszą. Akurat tutaj Sato nieco się mylił: jego nadzy ludzie zachowywali się tak, jakby nigdy przedtem nie mieszkali w lesie. Nie zauważali oczywistych rzeczy — śladów pozostawionych przez żołnierzy podchodzących do rzeki i licznych obserwatorów, przemykających się nie dalej niż o jakieś sto kroków od jaskini. Jeszcze trochę i zaczną w lesie wpadać na żołnierzy i mówić: przepraszam, czy my się już gdzieś wcześniej nie spotkaliśmy?

Nadzy idioci zajęli się w tym czasie zagadnieniem rozniecania ognia. Oznajmili swemu wodzowi, że ogień można rozniecić tarciami. Sato, którego myśli były zajęte znacznie ważniejszymi problemami, nie podjął dyskusji. Kapitan sam zrobił jakieś parszywe patyki, pocierał je, a kiedy rzeczywiście nic z tego nie wyszło, strasznie się rozzłościł i niemal zaczął płakać — widzicie go, rybki smażonej mu się zachciało. A sierżant miał ochotę powiedzieć: jeszcze zobaczysz smażoną rybkę, jeszcze jak zobaczysz.

Oczywiście, gdyby życie potoczyło się inaczej, Sato dałby im zapalniczkę. Miał dobrą, gazową zapalniczkę — znalazł ją przy zabitym przemytniku. Ale dym to ogromne niebezpieczeństwo — nic innego tak łatwo nie zdradzi samotnika: dym widać z odległości wielu mil. Szczególnie z góry.

Sato nic nie powiedział gołym ludziom. Niech żyją jak indyki przeznaczone do rzeźni, niech sobie gulgoczą. Dzikimi żyli, dzikimi umrą. Sato odwołał nawet musztrę i naukę japońskich rozkazów.

Podjął już decyzję o przeniesieniu się do tajnej kryjówki. Trzeba wziąć ze sobą wszystkie zapasy przygotowane na porę deszczową, inaczej plemię wymrze — tam, w tajnej kryjówce, z jedzeniem jest kiepsko.

Ale Sato ociągał się. Ociągał się dlatego, że nie rozumiał, czego chcą od niego i nagich ludzi przyjezdni żołnierze i Angole. Dlaczego Angole i Ligończycy działają razem? Polują na Sato? Czy na nagich ludzi? A może szukają przemytników?

Mimo że był gotowy do wydania poddanym rozkazu przygotowania do ewakuacji, postanowił poczekać jeszcze jedną noc.

Nocne wydarzenia wszystko zmieniły.

Tej nocy tłusty Hindus w czarnej marynarce opuścił obóz i ruszył w górę z biegiem rzeki.

Sato nie mógł spać, tej nocy wygonił nawet Nie-świa-mi, która miała nadzieję nacieszyć się kocem, wyszedł na placyk przed jaskinią i usłyszał, jak gruby Hindus, zupełnie nieprzystosowany do chodzenia po górach, przedziera się przez zarośla bambusa. Początkowo Sato pomyślał nawet, że to szalony słoń.

Upewniwszy się, że przez las przedziera się samotny Hindus, Sato opuścił jaskinię i ruszył w ślad za Maturem.

Podążał za nim aż do jaskini, w której Matur znalazł trup górala, a potem szedł za nim z powrotem, aż do swojej jaskini. Nie chciał robić nic złego Hindusowi, aby nie ściągnąć na siebie zainteresowania żołnierzy i nie wzbudzić w nich podejrzeń, ale kiedy gruby Hindus zaczął wchodzić do dużej jaskini, Sato stracił opanowanie. Nagle wydało mu się, że gruby Hindus zgadł, kto zabił przemytnika i gdzie należy szukać woreczka z rubinami. A może nie zgadł, tylko dowiedział się. Być może mieli z nieboszczykiem umówiony jakiś znak, który góral zdążył zostawić przed śmiercią?... Hindus może zażądać woreczka z rubinami, a jeśli go nie dostanie — jutro pojawią się żołnierze.

Sato dogonił Matura tuż przy wejściu do jaskini i mocno uderzył po głowie pałką.

W tym momencie nie zastanawiał się, czy zabije Matura, czy nie, po prostu nie chciał wpuścić go do jaskini.

Matur leżał na ziemi. Sato przykucnął obok niego i zaczął się zastanawiać nad dalszym postępowaniem. Myślał długo, aż do chwili, gdy Matur jęknął. Okazało się, że wciąż żyje. Co teraz? Dobić i ukryć ciało? Tutaj nie tak prosto jest ukryć trupa — doświadczeni górale, a do straży granicznej brano na pewno takich właśnie, szybko go znajdą. A Prui jest na zakrętach za płytka — nie uniesie trupa w dolinę.

I tak, patrząc na pozbawionego czucia Matura, Sato zrozumiał, że trzeba go przede wszystkim przesłuchać. Dowiedzieć się od niego, kto i po co przyszedł do doliny.

A potem, przed odejściem, dobijemy go.

Podjąwszy taką decyzję, Sato zarzucił sobie nieruchome ciało Matura na plecy i chwając się pod jego ciężarem, ruszył do jaskini.

Jurij Sidorowicz Wspolny

Jestem zmuszony wtrącić się na chwilę w bieg wydarzeń, bo chronologicznie dochodzimy już do momentu, gdy na scenie pojawiliśmy się my — uczestnicy międzynarodowej konferencji w Ligonie.

Nikt nie powinien oskarżać nas o ślepotę. Proszę dobrze mnie zrozumieć — gdyby kosmici byli w skafandrach, gdyby ich oczy emitowały promieniowanie, gdyby mieli po trzy pary rąk, oczywiście zgadlibyśmy, że mamy do czynienia z przybyszami z innej planety. Ale jak mogliśmy coś takiego pomyśleć, skoro widzieliśmy całkiem zwyczajnych nagich dzikich, którzy zachowywali się jak na dzikusów przystało. To tak, jakbyśmy zajrzeli do łaźni i nie mogli zgadnąć, kto tam jest generałem, a kto żebrakiem.

Nie pomogła także wizyta w jaskini, bo nie zobaczyliśmy tam nic oprócz ekskrementów i suchej trawy na legowiska.

Tak więc, bez względu na moją niechęć do dyrektora Matura, muszę przyznać, że niełatwo byłoby mu odgadnąć, z kim mamy do czynienia. Oczywiście, gdybym w niewolę do nagich ludzi dostał się ja, odkrycie nie musiałyby czekać i byłoby fachowo opisane. Ale nie poszczęściło mi się, bo nie przyjaźnię się z przemytnikami.

Na jakiś czas oddam głos dyrektorowi Maturowi i zacytuję wybrane fragmenty z jego kłamliwej książki. Ale wydaje mi się, że stronice opisujące jego pojawienie się w jaskini zasadniczo opisują prawdę.

Dyrektor Matur

Odzyskałem przytomność w półmroku, w pomieszczeniu o niskim, kamiennym suficie. Leżeć było niewygodnie. Spróbowałem wstać i zrozumiałem, co jest przyczyną niewygodności — ręce miałem związane za plecami, a nogi także owinięte liną lub lianą. W każdym bądź razie nie mogłem ich rozsunąć, a próba podniesienia ich, by sprawdzić w jakim są stanie, nie zakończyła się sukcesem. Energiczne ruchy wywołały wybuch bólu w głowie. Wtedy przypomniałem sobie jak szedłem nocą przez las i jak usłyszałem szelest w krzakach... I to wszystko! A więc napadli na mnie ci ludożercy, a potem związali mnie, przytaszczyli do jaskini i teraz, najprawdopodobniej, szykują ogromne ognisko, żeby mnie podsmażyć, albo wyruszyli na poszukiwania aromatycznych przypraw. Może nie jedzą ludzi bez pieprzu, cebuli i czosnku?

Byłem przekonany, że leżę na ziemi w jaskini, którą obserwowaliśmy. A więc spełniły się moje najgorsze obawy.

Każdy człowiek wie, że kiedyś w końcu umrze. Niektórych to przeraża, inni spokojnie, a nawet niecierpliwie oczekują zakończenia cierpienia na ziemskim padole. Ale pewnego pięknego dnia lekarz mówi ci: „Jakoś nie podoba mi się ta krostka! Proszę zrobić badania onkologiczne!” I tyle! W tej jednej chwili przestajesz należeć do ludzi, którzy kiedyś umrą, a znaj —dujesz się w grupie tych, którzy umrą niedługo.

Tak było ze mną. Dopiero co obserwowałem tę jaskinię z daleka, nawet współczułem nieszczęsnym dzikusom, którzy nie mają czym okryć przyrodzenia. I nagle — co za niesprawiedliwość mojej karmy! — zostałem jeńcem, czyli stworzeniem bardziej żalonym niż oni sami.

Moje trwożne rozmyślenia przerwał dziwny dźwięk. Z ciemności donosiła się muzyka, ale dziwna, nieprzyjemna i budząca trwogę. Z ogromnym trudem uniosłem głowę i zobaczyłem, że pod ścianą siedzi w kucki goły dzikus i dmucha w coś podobnego do fletu. Oto mój więzienny strażnik!

— Ej! — krzyknąłem, zamierzając pokazać temu chamowi, gdzie jest jego miejsce. — Rozwiąż mnie natychmiast, bo inaczej nie zostanie tu kamień na kamieniu!

Dzikus, zdziwiony dźwiękiem mojego głosu, wstał i podszedł bliżej.

Wyglądał złowieszczo, usta wykrzywił w złośliwym uśmiechu. Pięści kołysały się nad moją głową.

Staram się w miarę możliwości uczciwie przekazywać swe uczucia. Weźcie pod uwagę, że byłem tylko bezsilną ofiarą, związaną jak baran. Co innego mogłem pomyśleć, jeśli dopiero co widziałem w innej, małej grocie trupa okrutnie zabitego kuriera, a sam tylko cudem pozostałem przy życiu po uderzeniu w głowę?

Mimo wszystko wziąłem się w garść, zebrałem całą wolę i odwagę i zażądałem:

— Natychmiast mnie rozwiąż! Inaczej poskarżę się majorowi!

Ale dzięki mnie nie zrozumiał. Zaczął kołysać się i śpiewać coś w nieznanym języku, a ja pomyślałem, że śpiewa pieśń rytualną przed złożeniem ofiary jednakże w tej samej chwili, gdy chciałem już wzywać pomocy, do jaskini weszli inni dzicy. Okrążyli mnie i z ciekawością przyglądali się.

Staralem się przyjrzeć dzikim z bliska. Muszę przyznać, że widok całkiem gołego i nie wstydzącego się swej nagości człowieka jest dla inteligentnego biznesmena ohydny. Co prawda kobiety stanowiły wyjątek. Jedna z nich — wiotka jak trzcina, delikatna i maleńka — wcale nie wydawała mi się zbyt naga. Nazwałbym ją raczej przyjemnie obnażoną. Potem dowiedziałem się, że dziewczyna ma na imię Mi-ła.

Gdy przyglądałem się dzikim, w moim umyśle rozległy się słowa:

— Nie wolno tak o mnie myśleć. Wstydę się. Kto mógł to powiedzieć?

Nie zdążyłem niczego się domyślić, gdy do jaskini wszedł stary Japończyk z długimi, zwisającymi na piersi, czarnymi wąsami jak u karalucha. Miał na sobie szorty. Zza pasa sterczała rękojeść noża. Od razu odgadłem, że Japończyk jest tu najważniejszy. Jak to mówią, wśród ślepców jednooki jest królem.

Nowo przybyły zwrócił się do mnie w swoim języku, a ja nic nie rozumiałem. Ale moja głowa, stara, mądra głowa zaczęła pracować. Co wspólnego, zadałem sobie pytanie, mają stary Japończyk i nadzy ludzie zupełnie innej rasy? Nic!

Czy to znaczy, że Japończyk w jakiś sposób przyłączył się do grupy, a nawet w jakiś sposób ją opanował?

— Tak! — usłyszałem w mózgu ten sam głos. — Właśnie tak!

Powiodłem wzrokiem po twarzach dzikich i wydało mi się, że delikatna dziewczyna, która tak mi się spodobała, delikatnie opuściła powieki, jakby dając mi znak, że mnie rozumie.

Japończyk warknął coś, zwracając się do najstarszego z dzikich — pokornego mężczyzny o wydatnych kościach policzkowych, który, jak się w niedługim czasie dowiedziałem, był tłumaczem-telepatą. Miał na imię Op-zwo.

Op-zwo popatrzył na mnie i w moim mózgu natychmiast rozległ się inny, tym razem jego głos:

— Wielki wódz naszego narodu pyta, skąd przyszedłeś i czego chcesz?

— Żądam, by mnie natychmiast rozwiązano — nakazałem.

Moje słowa przetłumaczono, poznałem to po tym, że Japończyk spochmurniał i wyszczerzył zęby.

Dwóch dzikusów nachyliło się nade mną, zaczęli rozplątywać liany, a w moim mózgu znowu odezwał się głos tłumacza:

— Wielki wódz prosi, byś zachowywał się godnie i nie próbował uciekać.

Patrzyłem na wielkiego wodza i myślałem: a co jeśli jest jednym z tych Japońców, którzy tkwią w dzikich ostępach jeszcze od czasów wojny i których czasami znajdują na Filipinach albo na Kalimantanie? Zapomniano o nich, porzucono, a oni, bezgranicznie wierni cesarzowi i przysiędze, nadal służą cieniem zapomnianej wojny, czekając, że ktoś sobie o nich przypomni i odszuka.

Jeśli tak, to Japończyk oczywiście zetknął się z plemieniem przypadkowo.

„Być może masz rację — usłyszałem w głowie głos. — Ale nie do końca rozumiem te myśli. Co to znaczy Japończyk? Co to znaczy cesarz?”

Spróbowałem odpowiedzieć również w myślach, ale wtedy do naszej rozmowy wtrącił się szalony muzyk i zaczął głośno śpiewać.

Japończyk uderzył go pięścią i muzyk pokornie odszedł pod ścianę.

Rozwiązano mnie. Ale ręce i nogi miałem tak ścierpnięte, że nie mogłem nimi poruszać. Z pewnością moje cierpienia dotarły do mózgu Mi-ty lub Op-zwo. Nachylili się nade mną i zaczęli masować kończyny. Spróbowałem usiąść i dopiero wtedy zorientowałem się, że jestem obnażony tak samo, jak reszta dzikich.

— Co to znaczy?! — krzyknąłem wzburzony. — Żądam, by natychmiast zwrócono mi ubranie! Za kogo mnie bierzecie?

Ale dżicy nie zrozumieli mojego oburzenia, a Japończyk, nawet jeśli zrozumiał, postanowił zignorować moją prośbę.

Nigdy dotąd nie znalazłem się w tak dramatycznej i hańbiącej sytuacji. Złapałem leżący na ziemi pęk trawy i zakryłem się nim, jednak jak wiecie, mam tendencje do nadwagi i dlatego pęczek skrył się pod moim brzuchem nie dając żadnego widocznego efektu.

Nikt się nie śmiał, przecież oni nie znali odzieży!

Może to wcale nie plemię, myślałem cofając się do najciemniejszego kąta jaskini, tylko sekta nudystów?

„Nie — rozległo się w mojej głowie. — Nie jesteśmy sektą nudystów. Zostaliśmy zmuszeni do obnażenia się, kierowani wyższymi pobudkami”.

„To wasz, parszywy interes” — zgodziłem się.

Wszyscy patrzyli na mnie z ciekawością, ale nikt nie miał zamiaru mi pomóc.

— Kto mnie rozebrał? — zapytałem, nie myśląc nawet, że w pasie miałem ukryte dziesięć dolarów — żelazną rezerwę.

— Mówisz po angielsku? — zapytałem Japończyka.

— Mało-mało — odpowiedział, bardziej z zaskoczenia niż z chęci podzielenia się tą informacją.

— Służyłeś w straży obozu dla jeńców wojennych? — zapytałem, nie dając Japończykowi czasu na opamiętanie.

— Nie więcej niż pół roku — odpowiedział Japończyk po angielsku.

— I od tej pory jesteś na naszej ziemi?

— Nie odpowiem — warknął Japończyk.

Ale już odpowiedział. Zdradził mi wszystkie swoje maleńkie tajemnice. Od tej pory przestał mnie interesować.

— Pójdziemy rzeka — powiedział Japończyk po angielsku. Jego angielski był koszmarny, ale mimo wszystko można go było zrozumieć. — Nie uciekaj. Ja szybko biegać, ja mam nóż.

Pokazał ostrze, w nadziei, że mnie wystraszy.

— Pójdiesz z nami — rozkazał Japończyk leciwemu telepacie imieniem Op-zwo.

Zrobiłem kilka kroków i znalazłem się na placyku przed jaskinią. Był środek dnia. Miałem nadzieję, że z drugiego brzegu rzeki obserwują mnie już zaniepokojone oczy moich kolegów etnografów. Na pewno zorganizowano poszukiwania i wojskowe helikoptery śpieszą, by uratować moją skromną osobę.

Stałem i nie robiłem kolejnego kroku.

Dlaczego ten stary drań poszedł ze mną nad rzekę? Czy nie dlatego, że wolał zabić mnie z dala od jaskini, z dala od oczu dzikich?

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Sato ma nad plemieniem nagich ludzi władzę absolutną i sądziłem, że musi się z nimi liczyć.

„W jego sercu nie ma zamiaru zabicia cię, nieznajomy — usłyszałem w mózgu głos tłumacza Op-

zwo. — Chce się o tobie więcej dowiedzieć”.

Wierzyć mu, czy nie?

„Wierzyć” — Tłumacze potrafili czytać myśli. Nie zdziwiło mnie to. Mój wuj, Soni, w czasach gdy brał udział w zbrojnej walce przeciwko angielskim kolonialistom, usłyszał pewnego razu wewnętrzny głos, który podpowiedział mu, by następnego dnia zrezygnował z udziału w demonstracji. Wuj posłuchał. Anglicy rozstrzelali uczestników demonstracji.

Szedłem w dół, ku rzece, podążając za Japończykiem. Wiedziałem, że im dłużej będę znajdował się na otwartej przestrzeni, tym większe będę miał szanse na odnalezienie.

Jednakże nad wodą Japończyk wybrał miejsce w cieniu dużego drzewa mango. Byliśmy niewidoczni.

— Pij — powiedział Japończyk.

Bulwersowało mnie, że sam chodzi w spodniach, podczas gdy kulturalni ludzie nie mają do zakrycia wstydu nic poza własnymi dłońmi.

Ale najpierw musiałem odzyskać siły.

Zszedłem nad wodę, utrzymując pewien dystans od Japończyka i obserwowałem go kątem oka — kto wie, co za podstępne myśli mogły się wykluć w jego głowie?

Ale, ku mojemu zdziwieniu, Japończyk siedział nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w skałę, znajdującej się na drugim brzegu rzeki. Uspokoilem się i piłem powoli. Musiałem to robić na czworakach.

Japończyk powiedział zdanie. Od razu popatrzyłem na Op-zwo. W mojej głowie natychmiast rozległo się tłumaczenie: „Po co przyszedłeś do nas?”

Pomyślałem, że właśnie teraz powinienem zastraszyć tego nikczemnego dzikusa i barbarzyńcę, bo inaczej będzie źle.

Skrzyżowałem ręce na piersiach i odwróciłem się w stronę Japończyka.

— Przyszedłem tutaj, bo chodzę, gdzie chcę i robię, co chcę

— odpowiedziałem tak stanowczo, jak tylko było to możliwe.

— Moje wojsko znajduje się na drugim brzegu, gotowe w każdej chwili napaść na jaskinię i jej mieszkańców. Dlatego powinieneś jak najszybciej oddać mi ubranie i przeprosić.

Nastąpiła długa przerwa — najwyraźniej Op-zwo tłumaczył moje groźby na japońskie myśli.

Potem Op-zwo powiedział do mnie w myślach: „Nasz wódz, Sato, zapytał mnie, czy nie kłamiesz mówiąc o swym wojsku i swej sile?”

— A ty? Co odpowiedziałeś? — Ogarnął mnie strach. Oto gdzie kryła się zdrada!

— Odpowiedziałem, że sporo zmyśliłeś.

— Dlaczego to zrobiłeś? — byłem gotowy rozerwać na strzępy głupiego staruszka.

— Bo nie potrafię kłamać — odpowiedział Op-zwo. Sato uśmiechnął się, zgadując o czym rozmawiamy.

— Czego szukałeś? — takie było kolejne pytanie Japończyka.

— Jesteśmy uczonymi — powiedziałem. — Jest nas wielu. Latamy na powietrznej maszynie, którą nazywamy helikopterem. Znaleźliśmy was i waszą jaskinię. Obserwujemy was jak mrówki.

Sato krzyknął. Zrozumiałem, że znowu zarzuca mi kłamstwo. Ale tym razem Op-zwo ze smutkiem pokiwał głową. Wiedziałem, że nie należy straszyć tych dzikusów i stojącego na ich czele Japończyka. Mogliby dojść do wniosku, że najbezpieczniej będzie mnie zabić i uciec, gdzie oczy poniosą. Ale z drugiej strony, nie mogłem dać im do zrozumienia, że jestem sam. Zabiliby mnie jak

bezbronne lwiątko.

— Pan Sato domyślił się, że byłeś w maleńkiej jaskini, nieco wyżej z biegiem rzeki, tej, w której leży martwy człowiek — nieoczekiwanie powiedział Op-zwo.

— Nie!

— Obraz tej jaskini znajduje się w twojej pamięci, wędrowcze — powiedział tłumacz.

— Lepiej było nie myśleć — pomyślałem w duszy, czym jeszcze bardziej zasmuciłem prostodusznego dzikusa, który nie żywił do mnie niechęci, a mimo to zaszkodził mi.

Do dzisiaj pozostaję w przekonaniu, że ci tak zwani kosmici są z punktu widzenia naszej kultury dzikusami. Nie rozumieją najprostszycch rzeczy. A jeśli już coś rozumieją, to wyciągają zupełnie błędne wnioski. Czy jeden podstarzały bandyta mógłby podporządkować sobie całą grupę dorosłych ludzi, przejąć nad nimi władzę tylko dlatego, że ma nóż i jest bezczelny?

Ale choć sens pytania Sato nie od razu do mnie dotarł, to jednak po chwili olśniło mnie, pojawił się niejasny jeszcze domysł.

Dlaczego japoński włóczęga pyta właśnie o kuriera, o człowieka, na poszukiwanie którego wysłał mnie szanowny Szalejezwami? Nie mogłem od razu zdradzić swych domysłów. Przecież jeśli Sato go zabił, to wziął też przesyłkę, którą niósł kurier. Moje kontakty z mieszkańcami jaskini nabrały nowego znaczenia. Miałem obowiązek poznać prawdę.

W tym czasie Sato kontynuował przesłuchanie:

— Mówisz, że jesteś ważnym dowódcą?

— Tak — powiedziała — jestem najważniejszy.

— Będą cię szukać?

— Już szukają. I niedługo znajdą.

— Kiepsko z tobą — powiedział Japończyk. — Musimy cię zabić, żeby cię nie znaleźli.

— Dlaczego? Za co?

— Bo nie można znaleźć tego, czego nie ma. Nie będzie cię — nie znajdą cię.

— Ale i tak zostanieiecie ukarani.

— Już mnie karano, i to nie raz — uśmiechnął się Japończyk. — Nikogo się nie boję.

— Ale nadzy ludzie z pewnością opowiedzą o twoim niegodziwym przestępstwie.

— Naprawdę tak myślisz? — zapytałem Op-zwo.

— Ciągłe myśli o śmierci. Ale w tej chwili nie zamierza nikogo zabijać. Nie podjął jeszcze decyzji.

Wtedy usłyszeliśmy głosy. A dokładniej, zanim zdążyłem usłyszeć — Japończyk i dzikus mieli słuch lepszy ode mnie, nie na darmo przeżyli tyle lat w dżungli — Sato już podskoczył. Szybko odwrócił głowę, zupełnie jak dzikie zwierzę. Miałem wrażenie, że najeżył się i zatrząsł.

W moim mózgu — w żaden sposób nie mogłem do tego przywyknąć — rozległy się słowa tłumacza: „Idą tutaj ludzie. Dużo ludzi”.

Sato podniósł rękę, prosząc, bym zamilkł. Następnie zwrócił się do mnie.

— Wypuszczę cię, szanowny Maturze. Ale błagam, byś nikomu nie mówił, że odważyliśmy się ciebie uderzyć. Nie chcę, aby na głowy niewinnych kobiet spadła kara.

— Proszę się nie martwić! — odparłem ironicznie. — Tylko twoja głowa poleci.

Najwyraźniej słowa te były błędem taktycznym. Gniew Japończyka natychmiast skierował się przeciwko gołym dzikusom:

— Zabiję ich! Wszystkich — krzyknął. — A sam ucieknę! Z tym okrzykiem Sato rzucił się w

górze, po zboczu, a Op—zwo zwrócił się do mnie:

— Błagam, dyrektorze Matur, proszę uratować moich rodaków.

— Ale jak mam im pomóc? Czy chcesz, żebym wyruszył na spotkanie towarzyszy, którzy mnie szukają i kazał im się pośpieszyć?

Nieszczęsny tłumacz przecząco pokręcił głową.

— Nie, tylko nie to! — zawołał. — Przez ten czas Sato zabije pozostałych. W panu cała nasza nadzieja! Proszę się pośpieszyć, zbawicielu!

Zrozumiałem, że tłumacz ma rację. Jeśli natychmiast nie uratuję dzikich, tak cennych dla rozwoju etnografii, to zginą i niczego się o nich nie dowiemy. Pomknąłem za Japończykiem i znalazłem się w jaskini tuż po nim.

Wszyscy dzicy, pięć albo sześć osób, nie więcej, siedzieli przytuleni do ściany.

— Zaraz was zabiję! — zawołał ochrypłym głosem Japończyk.

Dzicy padli na kolana i wyciągnęli ku niemu cienkie ręce, błagając o litość. Ale Sato był nieubłagany. Wyciągnął zza pasa ostry bagnet i ruszył w stronę młodej, delikatnej dziewczyny—tłumaczki.

— Tylko nie ona! — krzyknął Op—zwo. — Ktokolwiek, byle nie ona!

Sato chichotał diabolicznie.

— Zatrzymaj się, nieszczęsny! — powiedziałem grobowym głosem, który potrafię wydobyć z siebie tylko w chwilach wielkiej rozterki.

— Ani myślę! — upierał się Japończyk.

W kolejne zdanie włożyłem całą szlachetność mej duszy.

— Zgadzam się zostać zakładnikiem!

— Co to znaczy?

— Oszczędzisz tych biedaków. A ja zostanę z tobą. Jeśli dojdiesz do wniosku, że twemu parszywemu życiu coś zagraża — oto moja pierś. Wbij w nią nóż, ale oszczędź nieszczęsnych!

Sato zamyślił się.

Dzicy, jak jeden mąż, padli przede mną na kolana, dziękując za ratunek.

Pomyślałem, że sprytny Japończyk wie, że jako zakładnik jestem tysiąc razy więcej wart niż wszyscy dzicy razem wzięci.

— Zgoda — powiedział. — Ale pójdziesz razem ze mną do mojej tajnej kryjówki.

— Dobrze — odparłem. Udało mi się kupić to, co najcenniejsze — czas! Kupiłem życie dzikich.

Ludzkość mi tego nie zapomni.

— Zabrać zapasy! — rozkazał Sato. — Każdy bierze tyle, ile zdoła unieść. Wyruszamy natychmiast.

Sato pierwszy wybiegł z jaskini. W półmroku dojrzałem wejście do kolejnego pomieszczenia.

— Za mną! — rozkazał Sato.

Obciążeni wiązkami cebul i korzeni, owocami i łądygami roślin, ruszyliśmy za Japończykiem.

Rozległ się zgrzyt.

Nie od razu domyśliłem się, że Sato podnosi płytę ukrytą w podłodze, kryjącą tajne przejście przed oczami postronnych osób.

Weszliśmy do wąskiego korytarza. Było zimno.

Sato zamknął wejście płytą i kazał nam iść naprzód. Sam został z tyłu.

Szliśmy dość długo, aż w końcu zobaczyliśmy w oddali światło.

Jak zagubiony w jaskini Tomek Sawyer, pobiegliśmy w stronę światła i wkrótce znaleźliśmy się przy wyjściu z jaskini.

Owo wąskie wyjście wyprowadziło nas do niewielkiej, głębokiej kotliny albo krateru, ukrytego między dwoma wierzchołkami gór. Dno kotliny zajmowało niewielkie jezioro.

Staliśmy tam długo, czekając na Sato.

Jakież było moje zdziwienie, gdy zamiast Sato z czarnego koła — tajnego wyjścia z jaskini — wyszła, marszcząc się, Anita Kraszewska.

Dopiero za nią pojawił się Sato.

Jurij Sidorowicz Wspólny

W tym momencie pozwolę sobie przerwać dyrektorowi Maturowi, bo im dalej, tym bardziej odbiega on nie tylko od rzeczywistości, ale i od zdrowego rozsądku. Mamy tu do czynienia z lawinowym efektem kłamstwa. Wystarczy skłamać raz, by okazało się, że kłamstwo trzeba uwiarygodnić. Na kłamstwo nakłada się kolejne kłamstwo. I tak dalej...

Wystarczyło, że dyrektor Matur skłamał co do motywów swego postępowania, które nie miały nic wspólnego z troską o nagich ludzi, a wynikały wyłącznie ze strachu i nadziei na zdobycie woreczka z rubinami, by okazało się, że musi wnieść poprawki do opisu ucieczki z jaskini.

Nie chcę dalej cytować jego zapisów. Jedno kłamstwo pociąga za sobą drugie i stopniowo Matur wprowadza czytelnika do świata całkowicie wymyślonego. Pojawia się obraz heroicznego bohatera, szlachetnego i bezinteresownego Matura, który nie tylko ma ocalić nagich ludzi, ale także ratuje pokój na świecie.

Do chwili pojawienia się w jaskini Anity Kraszewskiej mogłem opierać się tylko na wątpliwej jakości notatkach Matura. Ale opowiadanie Anity sprawia, że wszystko wraca na miejsce.

* * *

...Anita stała się ofiarą spostrzegawczości.

Promień światła, rzucony przez jej latarkę, prześlizgnął się po szczelinie w podłodze. W tej samej chwili, tuż przed zamknięciem wejścia do tunelu, Sato postanowił rzucić ostatnie spojrzenie na jaskinię pełną wrogów. Podczas tego właśnie spojrzenia jego oczy napotkały wzrok Anity. Anita krzyknęła — usłyszałem ten okrzyk, ale nie zwróciłem do niego większej uwagi — i ruszyła ku szczelinie, żeby sprawdzić, kto się tam chowa. W przeciwieństwie do mieszkańców planety Dom i dyrektora Matura, ta polska panienka, przedstawicielka znanego i starego szlacheckiego rodu, nie wiedziała co to strach.*

Sato zorientował się, że został wykryty i wybrał jedyne możliwe wyjście z sytuacji: działał szybko i bezlitośnie — płyta podniosła się, żyłasta ręka sierżanta złapała Anitę, która straciła równowagę i wpadła do podziemia. Płyta natychmiast wróciła na miejsce. Nasze poszukiwania spełzły na niczym.

A o tym, co było dalej, Anita opowiedziała mi dopiero po odzyskaniu wolności.

Anita Kraszewska

Zamiast wezwać pomoc ruszyłam w stronę czarnej szczeliny, z której ktoś wyglądał — w każdym bądź razie światło latarki odbiło się w czyichś oczach. Pomyślałam, że patrzy na mnie jakieś zwierzątko kryjące się w szczelinie. A szczelina była tak wąska, że tygrys na pewno by się w niej nie zmieścił. Dlatego właśnie podeszłam bliżej i nawet nachyliłam się nad szczeliną, żeby lepiej przyjrzeć się „zwierzątku”.

W tej samej chwili płyta odchyliła się jak właz do przewodu kanalizacyjnego, pechowo uderzyła mnie w czoło — na chwilę „odpłynęłam” i zachwiałam się. Tej chwili starczyło „zwierzątku”, by pociągnąć mnie do siebie.

Kolejne wspomnienie to nieprzyjemne odczucie, jakbym była ścierką do podłogi, którą ktoś wyciera kamienie, by przygotować norę na wizytę sąsiada kreta.

Przytomność odzyskałam całkowicie dopiero w pełnym świetle.

Siedziałam oparta o kamienną ścianę biegnącą pionowo ku niebu. Zdawało mi się, że jestem w ogromnej szklance, a na jej dnie pozostało trochę wody — tak gładkie i pionowe były ściany otaczające dolinę, w której się znalazłam. Jakby w takich właśnie szklankach smoki wysiadywały swe jaja.

Bolała mnie głowa. Przeciągnęłam palcami po poplątanych włosach i aż podskoczyłam z nieoczekiwanego bólu — na głowie miałam ogromny, krwawiący guz.

Gdy znowu otworzyłam oczy, zobaczyłam w końcu nagich ludzi.

Stali w pewnej odległości ode mnie, w niewysokich zaroślach, zwrócenii plecami do skały.

A na brzegu jeziora, patrząc w szare niebo, stał ich wódz, który w przeciwieństwie do pozostałych nie był nagi, lecz ubrany w szorty przerobione ze starych, wojskowych spodni i w stary, angielski hełm, spod którego sterczały długie, czarne kosmyki. Najwyraźniej był Chińczykiem lub Japończykiem, podczas gdy pozostali należeli do białej rasy, chociaż wyróżniali się swoistym, zielonkawym odcieniem skóry.

Moją uwagę przyciągnął jeszcze jeden człowiek, którego nie od razu zauważyłam, bo chował się, kucając za krzakami. Nie myśląc o skutkach, ucieszyłam się i nie ukrywałam radości. — Pan Matur! — krzyknęłam. — Tak się o pana martwiliśmy!

Zapominając o ranie, zerwałam się na równe nogi i pobiegłam do bratniej duszy, dyrektora od wody mineralnej.

Nie wiadomo dlaczego, nie ucieszył się wcale ze spotkania i zaczął odwracać się ode mnie. Ale nie zdążył. Obiegłam już krzak i znalazłam się tuż obok niego.

I wtedy zrozumiałam przyczynę dziwnego zachowania Hindusa: był całkiem goły. Katastrofalnie goły. Nagość bardzo grubego, starego człowieka to szczególny rodzaj koszmaru, takiej postaci nie można pokazywać nawet w muzeum figur woskowych — zwiedzające kobiety w ciąży mogłyby przed

czasem urodzić żaby.

Zakłopotana odwróciłam się w stronę pozostałych nagich ludzi. Wszystko robiłam nie po kolei. Przecież ciągle nie miałam pojęcia, gdzie jestem i dlaczego.

— Dzień dobry — zwróciłam się do nagich ludzi. — Nie bójcie się mnie. Chcę tylko na was popatrzeć. Specjalnie przyleciałam tutaj, żeby was poznać.

Patrzyli na mnie, czy to wstrząśnięci moją fryzurą, czy dzinsowym kompletem, który przemierzył ze mną pustynię Gobi i Wyspę Wrangla.

Nie oczekiwałam żadnej reakcji, a jednak nastąpiła. Stary, bardzo chudy dziki z łysą, otoczoną tylko wianuszkami kręconych włosów głową, zaczął szybko trajkotać, zwracając się do pozostałych. Reszta zatrajkotała w odpowiedzi. Zwróciłam uwagę, że mają zupełnie inne gesty niż my. Pomyślałam wtedy, że żyjąc przez stulecia w izolacji nie mieli możliwości dowiedzieć się od bardziej rozwiniętych ludzi, jak należy wyrażać zgodę lub sprzeciw.

I wtedy usłyszałam głos. Ktoś niewidoczny oznajmił mi świetną polszczyzną, że cieszy się z mojego przybycia, ale chciałby dowiedzieć się, kto przysłał mnie do nawiązania znajomości i co zamierzam zrobić, gdy się już poznamy.

Wstrząśnięta, powiodłam wzrokiem po dzikich, kątem oka zerknęłam na Japończyka, który w zamyśleniu przeliczał sterty i pęczki jedzenia przyniesione przez nagich ludzi. W końcu doszłam do wniosku, że nikt tutaj nie zna polskiego, bo z pewnością nie mogli znaleźć nauczyciela, a zwracają się do mnie telepatycznie, przy czym największym talentem telepatycznym wśród nich jest łysawy pan z loczkami za uszami.

Słusznie, potwierdził łysy. Dobrze pani odgadła, cieszymy się niezmiernie ze spotkania z rozumnym człowiekiem.

Poczułam zapach Nagrody Nobla. Przecież dzikie plemię to jedno, a to samo plemię obdarzone zdolnościami telepatycznymi, pozwalającymi przeżyć w warunkach katastrofy ekologicznej — to drugie.

W tym czasie pan Matur skrył się w krzakach i stamtąd wyraził radość z powodu mojego przybycia.

Interesowało go, czy przybyłam by go uratować, a jeśli nie, to gdzie są ratownicy, którzy powinni tego dokonać?

— Gdzie pan podział spodnie, kolego? — zapytałam.

— Te potwory! — zawołał w odpowiedzi Matur, ale nie udało mu się dokończyć zdania, bo jednocześnie rozległ się głos łysego — okazało się, że jest on tłumaczem i ma na imię Op-zwo. Tłumacz zrobił krok do przodu, żebyśmy go lepiej słyszeli, ale jak dla mnie, lepiej byłoby, gdyby tego nie zrobił. Ujrzawszy tak blisko całkiem gołego, starego człowieka, który nie był dzikusiem, a najprawdopodobniej szanowanym ojcem rodziny, który odszedł do sekty odszczepieńców, poczułam się strasznie zakłopotana, bo przy takim stopniu obnażenia całkiem przyzwoite części ciała zaczyna się odbierać jako coś nieprzyzwoitego.

— Przepraszam — powiedział Op-zwo i odskoczył za krzak.

Możecie zapytać, dlaczego właśnie wtedy zgadłam, że dzicy wcale nie są dzikimi, ale zwykłymi członkami sekty? A dlatego, że przywódca sekty, Op-zwo, był ostrzyżony! Pokażcie mi ostrzyżonego troglodytę!

Op-zwo odpowiedział telepatycznie na to spostrzeżenie: „Ale przecież z tego można by wyciągnąć wniosek, że nawet pierwotne społeczeństwa dokonują obróbki owłosionych

powierzchni”.

— Ale pierwotne społeczeństwa nie mogą objaśnić tego pokrętnym, pseudonaukowym językiem — odpowiedziałam.

— Kobieto! — usłyszałam głos człowieka w szortach. Ten akurat, chociaż ubrany, na pewno od dawna nie słyszał o fryzjerze. Mówił po japońsku. A kiedy Op-zwo chciał przetłumaczyć, powiedziałam:

— Nie trzeba, byłam na studiach doktoranckich na Uniwersytecie Tokijskim.

Następnie odwróciłam się w stronę człowieka w szortach i zapytałam go, w miarę znośnym japońskim, czego ode mnie chce. Do tego czasu zdążyłam się już zorientować, że to właśnie jego oczka zerkwały na mnie spod płyty i to właśnie on przeniósł mnie do tej kamiennej szklanki.

— Chcę, żebyś się rozebrała — powiedział.

O dziwo, nie był wcale zaskoczony moją znajomością japońskiego. Był dość prymitywny, bo inaczej nie przeżyłby tylu lat w lesie, a do tego przez ostatnie dni telepaci przyzwyczaili go, że otaczający świat może wyrażać się w sposób zrozumiały.

— To wykluczone — powiedziałam. — Nie mam zamiaru się rozbierać.

— Rozkazałem — oznajmił Sato. — Wszyscy są rozebrani, ty też. Czy to jasne?

— A pan? — zapytałam.

— Mnie nie wolno. Jestem starszym sierżantem cesarskiej armii.

— Nie widzę szarży — powiedziałam, żeby go rozzłościć. Niektóre jego uczucia były ukryte głęboko.

— Żołnierz japońskiej armii zawsze jest na służbie, nawet jeśli tajna misja wymaga, by kontaktował się z cywilami.

Pewnie był to paragraf jakiegoś regulaminu dla szpiegów.

— Ukrywa się pan od dawna?

Nie wiadomo dlaczego, pytanie to wyprowadziło go z równowagi.

— Nie ukrywam się! — zawołał cienkim głosem. — Trwam na posterunku!

Jeszcze coś krzyczał, ale nie słuchałam uważnie i nie wszystko rozumiałam — jakkolwiek by było, ponad dziesięć lat nie miałam do czynienia z językiem. Zorientowałam się kim jest — zapomniany podczas odwrotu wojownik zdobywca, czytałam o takich. Pewnie swego rodzaju rekordzista — od końca wojny minęło ponad trzydzieści lat.

Nagle zauważyłam, że Sato trzyma w ręce długi bagnet skierowany w stronę mojej twarzy. Sato uparcie domagał się striptizu.

— No i po co to? — zapytałam.

— Szukają cię ubranej, gołej nie szukają — powiedział Sato. — Poza tym goli nie mają kieszeni. Nie mogą schować broni!

Uśmiechnął się, pokazując wiele zepsutych zębów.

— Tylko spróbuj mnie rozebrać! — powiedziałam, starając się przybrać obojętny wyraz twarzy.

Sato zbliżał się do mnie powoli, czerpiąc sadystyczną przyjemność ze smakowania chwili... Ciekawe, czy chce mi poderznąć gardło, czy tylko rozebrać?

— Pani Anito! — zawołał dyrektor Matur, wyglądając zza krzaka. Wyglądał okropnie, ale nie było w tym żadnej pornografii, bo brzuch zwisał mu po kolana jak zasłona. — Błagam panią, proszę się rozebrać. Potrzebna nam pani żywa! Jest pani jeszcze młoda!

— A co ma tu do rzeczy młodość! — rozzłościłam się. — Nie chcę się rozbierać. Mama nie

pozwała mi rozbierać się przy nieznajomych wujkach.

— Co powiedziała? — zapytał Sato. Nóż zbliżał się do mnie z determinacją czołgu.

— Proszę przestać — poprosiłam starszego sierżanta — inaczej będę zmuszona podjąć stosowne kroki.

— Och, nie, pani Anito! — wrzeszczał Matur. Ale nie ruszył mi na pomoc.

Zainteresował mnie ten fenomen.

— A dlaczego nikt mnie nie chce bronić? — zwróciłam się do nagich ludzi, ale nie zdążyłam otrzymać odpowiedzi, bo sierżantowi znudziło się wygrażanie mi i rzucił się na mnie z nożem, bez wątpienia z zamiarem przebicia mojego płaskiego, pozbawionego choćby grama tłuszczu, brzucha.

Musiałam odchylić się nieco i pozwolić staremu chuliganowi przebić nożem powietrze, a potem, wysunawszy lekko biodro, złapałam przelatującego obok mnie Japończyka za rękę, wykręciłam ją i wrzuciłam drania do jeziora — wpadając podniósł fontannę wody.

Bagnet zadzwięczał, padając na kamienie. Wszyscy stali jak rażeni gromem i patrzyli na mnie.

— No i proszę — powiedziałam. — Wszyscy są wolni.

W tej samej chwili musiałam spojrzeć na jezioro, bo Sato hałasował i rzucał się, a woda z pewnością była zimna — a nuż utonie...

Podeszłam do wody i wyciągnęłam rękę, by pomóc mu wyjść na brzeg.

Sato przestał się miotać i postanowił utopić się, w tym celu zanurzył się z głową pod wodę. Ale nic z tego nie wyszło, bo znajdując się o trzy kroki od brzegu, natychmiast wyskoczył, żeby zaczerpnąć powietrza. Woda sięgała tam do pasa.

— Wyłaż — powiedziałam. — Proszę więcej nie rozrabiać.

Ale Sato tylko rzucił na mnie pełne oburzenia spojrzenie i patrząc nad moim ramieniem zaczął krzyczeć do swych towarzyszy, żeby złapali mnie, bo inaczej pożałują.

Właśnie miałam powiedzieć nagim ludziom, że słowa Sato świadczą o jego bezsilności, gdy zważyło się na mnie stado słoni i pod tym ciężarem upadłam na żwir.

Słuchali go!

Nieszczęśni dzicy zrywali ze mnie ubranie, szarpali, szturchali, starałam się przekonać ich, by nie byli aż tak gorliwi, przecież nie mam ze sobą drugich dżinsów, ale tylko dyrektor Matur zwrócił uwagę na moje okrzyki.

Powiedział do dzikich:

— Trzymajcie ją, proszę, mocno. Ja najlepiej wiem, jak się rozbiera kobiety.

Zaśmiał się nieprzyjemnie.

Nie mogłam go zabić, bo dzicy rzeczywiście trzymali mnie mocno za ręce i nogi, a do tego ktoś usiadł mi na głowie. Matur profesjonalnie rozebrał mnie, nie zwracając uwagi na moje próby oporu.

Na szczęście nie zgwałcił mnie, Sato też nie miał tego w planach. Jak się potem dowiedziałam, miał w plemienu dwie faworyty, a takich chudych i żylastych bab jak ja po prostu nie znosił.

Ciągle jeszcze leżałam przygwożdżona do kamieni, gdy Sato podszedł bliżej. Woda z długich włosów i kolan skapywała na moją twarz.

Pokazał mi pistolet. Najwyraźniej zdążył wyciągnąć go z kryjówki, w czasie gdy mnie rozbierano.

— Niech odejdą — powiedziałam i nadzy ludzie z ulgą rozeszli się.

Matur stał o trzy kroki ode mnie, przyciskając do piersi moje ubranie.

— Oddałbyś chociaż majtki — zawstydziłam dyrektora.

— Wszyscy powinni być równi, madame — sprzeciwił się Matur. — Chętnie bym pomógł. Ale sama pani widzi — jest uzbrojony i niebezpieczny.

Nie byłam przekonana, że chodzi o broń. Albo że tylko o broń. Czekoladowe ślepka Matura błyszcząły, obwisłe wargi trzęsły się, ze skrucłą spojrział na Sato i zapytał:

— Co mam zrobić z ubraniem?

Sato z dostojeństwem wskazał czarną dziurę w ścianie — pewnie była to jego tajna kryjówka. Matur podreptał tam i rzucił mój drogocenny majątek w ciemność. A ja, czując na sobie uważne spojrzenia dzikich, przyglądających się wszystkim szczegółom mego ciała, miałam ochotę kucnąć albo zwinąć się w kłębek.

Ale nie mogłam ukucnąć, bo zwyciężywszy dzięki pomocy swych strachliwych poddanych, Sato zaczął pouczać mnie piskliwym głosem i grozić wszelkimi możliwymi karami, a ja zastanawiałam się, czy przyłożyć mu jeszcze raz, mogłam przecież wybić mu z ręki pistolet i zorganizować przewrót wojskowy, ale potem doszłam do wniosku, że ryzyko przewyższa ewentualne korzyści. Tylko patrzeć jak nas znajdą i wyciągną stąd.

Gdy Sato uspokoił się, do dzieła przystąpił Matur.

— Szanowna pani — powiedział, spoglądając na tłumacza Op-zwo w nadziei, że ten poinformuje o jego wystąpieniu mokrego wodza — nie ma pani racji. Pan Sato utrzymuje dyscyplinę, bo tylko w ten sposób można kontrolować takich ludożerców, jak oni.

Tłumacząc te słowa Op-zwo cały zjeżył się z oburzenia. Ale wytrzymał.

— Droga pani — kontynuował Matur, patrząc na mnie maślanymi oczami — mogła pani wyrządzić krzywdę kobietom i dzieciom!

— Nie widziałam tu żadnych dzieci — sprzeciwiłam się. — A co do kobiet, to do dzisiaj sądziłam, że do nich należę. A propos, nienawidzę, gdy mężczyźni rzucają się na mnie z nożem.

Pistolet w ręce sierżanta drgnął, a Matur zaczął mówić dwa razy szybciej:

— W tej chwili nie zaryzykowałbym nazwania pani kobietą, madame Anita! Zachowuje się pani nie po kobiecemu, o nie! Skrzywdziła pani pana Sato, napadając na niego.

— Jeśli nie możesz mówić prawdy, to lepiej zatkaj się — przerwałam Maturowi i poczułam akceptację tłumacza Op-zwo. Ale, niestety, akceptację tę poczuł także Sato, który dopiero co błogo się uśmiechał, słuchając monologu Matura, a tu nagle energicznie podskoczył i kopnął Op-zwo w biodro tak, że ten upadł. A gdy rzuciłam się mu na pomoc, Sato od razu pokazał mi wnętrze lufy — taką czarną dziurkę.

Nikt nie przyszedł z pomocą jęczącemu tłumaczowi. Nawet wiotka dziewczyna — tłumaczka Miła — odważyła się tylko nieco zbliżyć do rozciągniętego na ziemi ciała.

Pomogłam tłumaczowi wstać, obawiając się co prawda, że ten maniak mimo wszystko naciśnie na spust. Ale udało się. Tłumacz pomagał mi. Mógł zajrzeć do ciemnego umysłu Sato i poznać, jeśli nie myśli, to przynajmniej najważniejsze pragnienia. I uprzedzić mnie... Tym razem wyglądało na to, że Sato nie zamierza strzelić. Zastanawiał się, co ze mną zrobić. I wymyślił.

— Ty, gruby Hindusie — powiedział pokazując lufą w stronę dyrektora — zachowałeś się dobrze. I dobrze mówiłeś. Rozumiesz?

— Rozumiem — pisnął Matur.

— Teraz będziemy mówić. Jeśli kobieta odpowie źle, ukarzę kobietę. Pozostali mają iść stąd precz, sformować szyk i zająć się musztrą! Odpowiedzialny za to jest Po-be-be.

Młody człowiek, nieźle zbudowany, o miłej twarzy, wyprężył się jak struna i odpowiedział:

— Tak jest, panie starszy sierżancie!

I wszyscy nadzy ludzie, bez względu na płeć i wiek, poszli tam, gdzie ziemia była równa. Patrzyłam w ślad za nimi. I zauważyłam jeszcze jeden ważny szczegół: szli, podwijając palce stóp i utykając, jak ludzie, którzy nigdy nie chodzili na bosaka i dla których takie chodzenie jest męką. Co zrobili z butami? — pomyślałam.

— Ty też idź — Sato zwrócił się do Op-zwo, który nie ruszył się z miejsca, planując najwyraźniej nam pomagać.

Op-zwo odszedł, co mnie szczerze zmartwiło — mógł mi podpowiadać i pomagać. Czułam, że jest dobrym człowiekiem. Jeśli Sato postanowi nieoczekiwanie zastrzelić mnie, nie będzie nikogo, kto mógłby uprzedzić ofiarę.

Sato obejrzał się i zobaczył dyrektora Matura, stojącego posłusznie o trzy kroki od nas.

— I ty też! — krzyknął. — Maszerować! Równo! Nauczę was dyscypliny!

Matur był zdezorientowany.

— A ja, po co? — zapytał. — Nie jestem dzikusem.

— Właśnie że jesteś gołym dzikusem!

Sato znęcał się nad grubasem, co sprawiło mi dużą satysfakcję, bo zawsze i wszędzie powtarzam, że wszelkie ustępstwa wobec drani prowadzą tylko do dalszego poniżenia. Dranie znają tylko jeden język — język siły. Nie miałam zamiaru się poddać. Co prawda byłam osamotniona, a więc muszę być sprytna. Będę sprytna...

Matur schował głowę w ramionach i ruszył maszerować, a był to widok godny bogów. Co prawda nikt się nie śmiał — ja nie miałam czasu, Sato był pozbawiony poczucia humoru, a nadzy ludzie nie wiedzieli z czego przyjęto się śmiać, a z czego śmiać się nie wolno.

Goły oddział był śmieszny i przerażający. Bez wątpienia, wszyscy poborowi pana Sato byli mieszczuchami, nie mieli do czynienia ze sportem i rzadko bywali na plaży. Pokornie ustawili się wzdłuż ściany. Młody człowiek stanął twarzą do nich, gruby, ponury mężczyzna w średnim wieku podniósł do ust fujarkę i aczał wydobywać z niej przenikliwe dźwięki. Pozostali przestępowali z nogi na nogę.

— Po co tu przysłaś? — zapytał Sato, widząc, że w pobliżu nikogo nie ma.

Patrzyłam jak Matur wpycha się do oddziału.

— Z pewnością pan Matur już wszystko opowiedział.

— Po co tu przyszliście?

Rozległ się trzask wystrzału. Podskoczyłam — spod nóg bryznęły kawałki żwiru, poborowi zamarli przerażeni.

— Mów — powiedział Sato.

Co za nieszczęsne stworzenie, pomyślałam. Całe ciało w bliznach po ranach, skaleczeniach i wrzodach, twarz przeorana zmarszczkami, białka oczu żółte z czerwonymi żyłkami, włosy rzadkie, brudne, nie ma paznokci u stóp tylko jakieś kościane narośle...

— Przyjechaliśmy, żeby obserwować nagich ludzi — powiedziałam po japońsku.

— Po co?

— Na Ziemi nie ma już gołych ludzi. A my jesteśmy uczonymi. Chcieliśmy poznać ich język i obyczaje.

— Po co?

— Żeby dużo wiedzieć.

— Kłamiesz — powiedział Sato, ale bez przekonania.

— O tym, że tu jesteś, nikt nie wiedział. Nikomu nie jesteś potrzebny. Możesz iść gdzie chcesz.

— Nie! — krzyknął sierżant. — To moja rzeka! To mój las! To moi ludzie!

— Rzeka i las są niczyje — powiedziałam tak cicho i spokojnie, jak tylko się dało. — Ludzie też są niczyi.

— Ludzie zawsze są podzieleni — powiedział Sato. — Żołnierz ma oficera, ty masz męża.

— Nie mam męża — na własne nieszczęście sprzeciwiłam się temu bandycie. Obudziłam w nim sadystę.

— Ty! — krzyknął, wskazując na Matura. — Do mnie!

Op-zwo wyjaśnił Maturowi, czego od niego chcą i sam pobiegł truchcikiem za grubasem.

— Maturze — zapytał Sato — kochasz mnie?

Nie wiem, czym Sato tak oczarował naszego grubasa — nie było mnie przy tym, jak zaczynał się ich romans — ale Matur, nie wahając się ani sekundy, wycierając pot, który wystąpił mu na czoło od energicznych ćwiczeń, zakrzyknął:

— Kocham pana, panie sierżancie Sato!

— Pomożesz mi?

— Pomogę.

— Jesteś gotów zginąć za cesarza?

— Za kogo? — zapytał Matur, który nie wiedział kim jest cesarz. W całym tym towarzystwie tylko ja byłam w stanie domyślić się, że chodzi o Hirohito, dożywającego swych dni na tokijskim dworze.

— Za mojego cesarza! — Sato na wszelki wypadek skierował pistolet w stronę Matura.

— Tak jest! — radośnie oznajmił Matur.

— W takim razie wiedz, że kocham tych, którzy są mi oddani. Ofiarowuję ci żonę.

— Co? — Matur zamrugał. Ostatnią rzeczą, której by się spodziewał w tej kamiennej szklance, była żona.

— Oto twoja żona. Będzie ci posłuszna. — Sato wskazał na mnie. — Będzie szykować ci jedzenie, będzie ci dogadzać i urodzi ci dużo dzieci.

— Tak jest! — powtórzył Matur, a ja odczytałam z wyrazu jego twarzy niemy krzyk: „Tylko tego mi jeszcze brakowało!”.

— Powiedz mi — kontynuował Sato — ta kobieta, twoja żona, jest komuś potrzebna?

— Nie zrozumiałem... — Matur nachylił się tyle, na ile pozwolił mu gruby brzuch. — Komu może być potrzebna?

— Czy bardzo będą jej szukać?

Widziałam, jak w głowie dyrektora kręcą się trybiki aż iskry lecą — w żaden sposób nie mogłam zgadnąć, co kryje się za pytaniem Sato, co to za intryga? Co najlepiej odpowiedzieć? Jak zgadnąć?

Twarz Matura pokrył pot. Stojący za jego plecami Op-zwo zadrżał, czując ogromne napięcie.

— Kobieta... — powiedział Matur i zrobił pauzę w nadziei, że zobaczy coś na kamiennej twarzy Japończyka albo usłyszy podpowiedź Op-zwo. — O tej kobiecie już zapomnieli!

A więc postanowił poświęcić mnie, idiota! Gdyby oznajmił, że jestem Makedą, królową Saby albo panią Thatcher, wzmocniłby swoją pozycję. Ale doszedł do wniosku, że nie spodobałam się sierżantowi i umniejszając moje znaczenie przypodoba mu się.

Sato zwrócił się w moją stronę.

— Kobieto — dopytywał się — co sądzisz o mężczyźnie, którego dałem ci za męża? Czy jest tak samo nikim, jak ty? Czy o nim zapomniano tak samo, jak o mnie?

— Nigdy o nim nie zapomną — odpowiedziałam uprzejmie. — Całe wielkie Indie wstrzymując oddech nie odchodzą od ekranów telewizora i śledzą przebieg poszukiwań pana Matura! Myślę, że dzisiaj ściągną wszystkie eskadry lotnictwa z Bangkoku i Rangun. Zanim się tu znalazłam słyszałam, że do doliny zbliża się Drugi Batalion Somersecki.

Matur patrzył na mnie, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. Sato był przestraszony i zdezorientowany. Śledztwo załamało się...

— A ty? — zapytał.

— Mnie posłano, żebym przekazała panu Maturowi informacje od generała dowodzącego operacją ratunkową.

— Ha! — zakrzyknął radośnie Sato. — A ty wpadłaś w moją pułapkę!

— Ale spełniłam swój obowiązek.

— Powiedziałaś?

— Poinformowałam o wszystkim wielkiego Matura. Teraz nie jestem już nikomu potrzebna. Mogę umrzeć.

— Nie — powiedział Matur. I zamilkł.

Być może powiedziałam wszystko tak jak trzeba? A może to było złe posunięcie i Matur zostanie rozstrzelany?

Nie chciałabym być na jego miejscu.

Sato wyciągnął zza pasa pistolet, potem wetknął go z powrotem na miejsce.

— Niech spróbują! — oznajmił. — Niech szukają! Nie znajdą mnie tutaj nawet za sto lat!

I ruszył wzdłuż brzegu, gdzie nadzy dzikusy wykonywali dziwne ruchy, będące, ich zdaniem, musztrą. Zbliżając się do nich zaczął krzyczeć, żądając by wyżej podnosili nogi i trzymali się prosto.

— A pan co, Maturze? — zapytałam. — Zachciało się być kapralem?

— Szanowna pani, proszę mnie dobrze zrozumieć! — strachliwy dyrektor zaczął się tłumaczyć. — Chciałem jak najlepiej, chciałem, żeby nie zwrócił na panią uwagi. — Mówiąc to patrzył na moje obnażone piersi i poruszał ustami przypominając, że jest moim mężem.

Chciałam rąbnąć go pięścią w szczękę, ale wtedy zawołał go Sato.

— Do szeregu! — krzyknął. — Ale już, do szeregu!

Zignorowałam Sato i poszłam w drugą stronę. Musiałam pomyśleć. Pomaga w tym kąpiel. Moja sytuacja miała pewną zaletę — nie musiałam się przebierać.

Weszłam do zimnego jeziora. Dno opadało stromo. Po pięciu krokach byłam już zanurzona do pasa i, odbiwszy się od kamienistego dna, zanurkowałam.

Wynurzyłam się na środku jeziora. Stamtąd, z odległości pięćdziesięciu metrów widziałam, jak nadzy ludzie przerwali musztrę i podbiegli na brzeg najwyraźniej sądząc, że utonęłam. Sato wszedł nawet do wody, ale na widok mojej głowy natychmiast cofnął się i pognął dzikich pod ścianę, by kontynuowali ćwiczenia.

Nad kamienną szklanką zawisły ciemne chmury, przesuwały się powoli jak oczekujące na dojenie krowy. Ochłodziło się. Tylko patrzeć jak zacznie się ulewa. Wiem co to monsun — spada jak lawina, na całe tygodnie zalewa doliny Ligonu, a tutaj, w górach, nagim ludziom będzie nielekkko. Kim są naprawdę? Skąd przybyli? Co to za sekta? O dziwo, nie mogłam wymyślić nic lepszego niż sekciarskie pochodzenie nagich ludzi.

Zaciekawiło mnie, czy jezioro jest głębokie. Zanurkowałam. Nie udało mi się sięgnąć do dna, ale ku swemu zdumieniu, na głębokości dziesięciu metrów, odkryłam ruch wody. Jeśli to źródło, to musi być bardzo silne, jeśli nurt jest w stanie mnie znieść. Ale gdzie podziewa się woda? Czy rzeczywiście gdzieś ma ujście?

Gdy wynurzyłam się, było jeszcze ciemniej. Zauważyłam, że Sato i Matur z trwogą patrzą na niebo. Rozumieli, co oznacza początek deszczu. Ale dzicy, dla których nadejście monsunu powinno być ważnym wydarzeniem, zupełnie ignorowali chmury. Strasznie umęczeni musztrą rozsiedli się na brzegu jeziora i gapili się na mnie. Może nie umieją pływać? Albo boją się wody?

Widziałam jak Sato schylił się i znikł w podziemnym przejściu, którym przyszliśmy tutaj z dużej jaskini. A dokładniej, wszyscy przyszli, a mnie przyniesiono.

Dopłynęłam do brzegu i wyszła z wody. Powietrze było parne, wilgotne, jakby zmoczone przez nadchodzący deszcz. Matur podszedł do mnie jak zbity pies.

— Proszę o wybaczenie, pani Anito — wyszeptał, patrząc w stronę przejścia, z którego mógł wyskoczyć straszny Sato. — Ale przecież wszystko co mówiłem, mówiłem po to, żeby go oszukać. Rozumie pani?

— Nie, nie rozumiem — odparłam.

Udało mi się porozmawiać z nagimi ludźmi po obiedzie. Jeśli można nazwać obiadem jedzenie rozdzielane osobiście przez Sato. Do tego postępował niesprawiedliwie, nagradzając faworytów i poniżając słabych. Matur w nagrodę dostał dodatkową cebulę, a gdy nadeszła moja kolej, starszy sierżant popadł w zadumę. Nie był przekonany, że jestem tak nic nie znaczącą osobą, jak twierdził Matur. Jednak mimo wszystko dał mi mniejszą porcję niż tłumaczom–telepatom i staruszkowi o imieniu Po–dyrek. Najmniej dostał grajek, który zaczął marudzić, a ja pomyślałam, że nie jest całkiem normalny.

Miałam sposobność przyjrzeć się towarzyszom niedoli. Byłam przekonana, że znajdują się tu nie z własnej woli, lecz podobnie jak ja, są więźniami sierżanta. Chociaż nie wiedziałam jeszcze jak to się mogło stać i do czego są potrzebni Japończykowi. Było ich siedmioro. W tym trzy kobiety: jedna w nieokreślonym wieku, postawna, powiedziałabym seksowna, dama imieniem Nie–mi i dwie młode — obdarzona jędrnym biustem i wystającymi kośćmi policzkowymi Nie–świa–mi i szczupła tłumaczka Mi–ła.

Sato często oddalał się do jaskini — być może wychodził na zewnątrz sprawdzić, jak przebiegają poszukiwania bezcennego Matura, a może sprawdzał tajne przejścia i korytarze. Korzystając z jego kolejnej nieobecności nawiązałam rozmowę z nagimi ludźmi. Wymyśliłam niezłe rozwiązanie: rozmawiałam z nimi po polsku. Przecież tłumaczom–telepatom było wszystko jedno w jakim języku mówię, jeśli potrafię myśleć. Ale za to Matur nie rozumiał ani słowa, mimo że siedział nadstawiając uszu, żeby potem donieść o wszystkim japońskiemu władcy.

Wystarczyło, że zadałam Op–zwo pierwsze pytanie, a już wtrącił się zaniepokojony Matur:

— O czym rozmawiacie?

— O pogodzie — odpowiedziałam. — Ciekawi mnie, czy w okolicach skąd pochodzą, monsuny są silne.

— Można było zapytać po angielsku — zwrócił mi uwagę Matur.

— Panie mężu — odpowiedziałam — czy pozwolisz mi mówić w moim barbarzyńskim, ojczystym języku?

— I co powiedzieli o monsunie? — zapytał.

— Interesuje cię to?

— Oczywiście, że interesuje! — szczerze zakrzyknął Matur. — Lada moment zacznie się ulewa i ani jeden helikopter nie wzbije się w powietrze! Jak nas znajdą?

— Uciekniemy — powiedziałam z przekonaniem.

— Zastrzeli nas!

— Nie, jeśli się zjednoczymy.

— Z nimi? — w głosie Matura brzmiała pogarda. Wtedy właśnie wrócił Sato i musieliśmy przerwać rozmowę.

Ale szybko podjęliśmy ją na nowo, bo Sato znowu znikł w jaskini i to na długo, a Op-zwo w tajemnicy poinformował mnie, że wódz poszedł spać.

— Świetnie — powiedziałam — możemy się podkraść i związać go.

— Nie — odpowiedział Op-zwo. — Po pierwsze, to nieetyczne, a po drugie, on śpi jak zając pod miedzą, cały czas wszystko słyszy.

— Dziękuję za informację — powiedziałam. — A może teraz opowiesz mi, skąd się tutaj wzięliście?

— Muszę naradzić się z pozostałymi — powiedział Op-zwo, a ja nie przeszkadzałam mu podczas trwającej pół godziny dyskusji.

— Oznajmiłem moim przyjaciółom — powiedział w końcu Op-zwo — że w twoim sercu nie ma nic, co by nam zagrażało.

— Dziękuję za komplement — odpowiedziałam. — I żeby nie było żadnych nieporozumień najpierw opowiem wam, dlaczego tu jestem i jak was znalazłam.

Usiedli wokół mnie. Trzy razy zaczynał siąpić deszcz, ale zaraz rozptywał się w ciepłym powietrzu. Matur chrapał. Op-zwo potwierdził, że nie kłamię i dopiero wtedy opowiedzieli mi w końcu o tym, jak się uratowali przed samobójstwem i o dalszych, smutnych wydarzeniach. I tak stałam się pierwszym człowiekiem na Ziemi, który wiarygodnie spotkał się z kosmitami i, co więcej, rozmawiał z nimi.

Przybysze z Domu oznajmili, że po wszystkich stratach, które stały się ich udziałem, życie nic dla nich już nie znaczy. I jeśli zamierzam oddać ich w ręce władz, to już jutro w Związku Galaktycznym będzie wiadomo o ich tchórzliwym zachowaniu, ich planeta zapłaci gigantyczną karę za naruszenie umów międzynarodowych, a specjaliści likwidatorzy przybędą tutaj, by zatrzeć po nich wszelki ślad. Tak więc, jeśli mogą z dwóch wariantów wybrać mniejsze zło, to wolą zostać ze starszym sierżantem i cicho zginąć w górach.

Sytuacja była bez wyjścia.

Z jednej strony zamierzałam wydostać się stąd i miałam nadzieję, że z pomocą nagich ludzi pokonam jednego maniaka. Z drugiej strony musiałam zrozumieć uczucia nieszczęsnych kosmitów. Wcale nie chciałam, żeby takich miłych, inteligentnych i, niestety, gołych ludzi zniszczyli likwidatorzy ze służb kosmicznych.

Jakie to dziwne, myślałam, wysłuchując żalów przybyszów z innej planety, że wzięliśmy ich od razu za dzikich! Mieliśmy klapki na oczach sądząc, że mieszkają tu dzicy, a kosmici nie przylatują. Nasza opinia była nieobiektywna od samego początku — powiedziano nam, co powinniśmy zobaczyć i to właśnie widzieliśmy.

Po policzku Nie-mi płynęły łzy, gdy opowiadała mi jak zgwałcił ją ten wojskowy maniak, pozostałe kobiety milczały, ale w ich oczach wyczytałam, że im także nie udało się uniknąć tego

straszego poniżenia.

— O, tam siedzi Po–bie — powiedział kapitan, wskazując na grubego muzykanta. — Czy można w nim dojrzeć wysublimowanego znawcę poezji, dialektyka i mistrza słowa?

— O kim mówicie? — zapytał Po–bie i zaczął dmuchać w fujarkę. Dźwięk był przenikliwy i jednostajny.

— O tobie nieszczęsny, o tobie — powiedział Po–be–be.

— Nie narzekam — powiedział nawigator — w końcu jestem wolny i zjednoczony z przyrodą.

Wydał z siebie taki tryl, że musieliśmy zamilknąć i poczekać, aż nawigator nacieszy się wolnością.

— Mnie też los nie oszczędził — powiedział kapitan.

— Ani mnie! — wtrącił się młody i przystojny Po–be–be.

— A może wystarczyłoby związać tego bandytę i zostawić go w jaskini? Niech odpoczywa — zaproponowałam.

— I zgubić niewinnego człowieka?

Nie, byli humanistami, a tego rodzaju humaniści są groźni, bo potrafią znaleźć wytłumaczenie dla każdego postępu. Teraz walczą o prawo każdego człowieka do życia. A jutro mogą z takim samym entuzjazmem rzucić się do walki przeciw reakcjonistom.

— Nie trzeba go gubić — powiedziałam. — Wystarczy unieszkodliwić.

— Ale to nie do pomyślenia, by wiązać sznurkiem rozumne stworzenie! — oznajmiła Nie–mi.

— Ja też nie widzę w tym sensu — poparł ją kapitan Po–dyrek. — Nie damy sobie sami rady.

Zrozumiałam, że w jego słowach kryje się smutna prawda. No dobrze, rozprawię się z ich dręczycielem i zostawię znowu wolnych — tak jak na początku podróży. I gdzie się podzieją? Przecież utopia się w tej kamiennej szklance, zabłądzą w lesie albo po dotarciu do cywilizacji zostaną zdemaskowani i wpadną w łapy likwidatorów. Ale co z nimi zrobić? Nie miałam pojęcia. Sądziłam nawet, że nie wymyślę nic bez zasięgnięcia rady bardziej doświadczonych i życzliwych kolegów. Chociażby Jurija Wspólnego — tego miłego mężczyzny z ambasady rosyjskiej — zna miejscowe języki i obyczaje. Albo profesora Nicholsona...

— Z nadejściem nocy chyba stąd ucieknę — powiedziałam.

— Postaram się odszukać dobrych i mądrych ludzi.

— Niebezpiecznie jest uciekać od pana Sato — powiedział Op–zwo. — Pan Sato może ukarać.

— Może nas karać tylko wtedy, gdy mu na to pozwolicie — oznajmiłam kosmitom.

Wszyscy zgodzili się ze mną, bo byli przekonani, że mam rację.

— Ale on nie pyta nas o zgodę — powiedziała pełna życiowej mądrości Nie–mi.

— Wy też go nie pytajcie — powiedziałam i po tych słowach nasza dyskusja zabrnęła w ślepą uliczkę. Nadzy ludzie symbolizowali jakby większą i lepszą część ludzkości, która wolała podporządkować się mającej władzę mniejszości i dzięki temu przeżyła ciężkie czasy. Ale ja należę do buntowników, którym nie jest pisane długie życie.

— Sytuacja zmieniła się — oznajmiłam. — Nie jesteście już sami. Jestem z wami.

Nikt o nic nie pytał, tylko Op–zwo delikatnie zauważył, że Matura można traktować jako stronnika Sato.

Przysięgam, że z Maturem dam sobie radę sama i dopiero wtedy zaczął się rozłam w szeregach pokornych niewolników. Na moją stronę przeszedł młodzieniec Po–be–be, który zakrzyknął:

— Nie można cały czas się cofać! Tracimy przewagę intelektualną nad tym małym potworem.

Głupiejemy, bo w niewoli każdy głupiejel!

— Tylko nie to! — zawołała przerażona Nie-świa-mi.

— Rozbroimy go, gdy uśnie — oznajmił Po-be-be. — I zwiążemy! — poparła go Nie-świa-mi.

— Będziemy czekać, aż przybędziesz z pomocą — zgodził się w końcu kapitan.

Ucieszyłam się, że udało się ruszyć sprawę z martwego punktu.

— Tylko nie wycofywać się, nie rezygnować, nie tchórzyc — zażądałam. — Gdy okażecie słabość, Sato zrobi się trzy razy bardziej arogancki.

Wtedy wszyscy złożyli wielką, tradycyjną na planecie Dom, przysięgę doliny Kłujących Róż, że będą wspólnie walczyć przeciwko samowoli i wyzyskowi i nie zrezygnują, nawet jeśli zagrozi im śmierć.

Trudno powiedzieć, która była godzina, ale dzień zbliżał się ku zachodowi. Chmury wisiały tak gęsto i nisko, że w szklance panował półmrok.

Kazałam kosmitom spokojnie czekać na nadejście wieczoru. Wezmę na siebie napad na Sato. Rozbroję go. Pozostali powinni w miarę możliwości pomagać mi, albo przynajmniej nie przeszkadzać. Jeśli zajdzie taka potrzeba — zneutralizować Matura. Chociaż nie sądzę, żeby ten tchórz odważył się wtrącić do walki.

Na tym zakończyło się przygotowanie spisku — strasznie chciało mi się jeść.

Ale Sato gdzieś schował zapasy — pewnie w podziemnym korytarzu, a nie chciałam zaczynać działań wojennych przed czasem. Nie wierzyłam do końca tym, których planowałam uwolnić. A nuż rozbiegną się w decydującym momencie?

...Sato wyszedł z podziemnego korytarza i uważnie obejrzał brzeg. Włoczyli się tam kosmici, poszukujący nędznych płodów ziemi. A ja ułożyłam się za krzakiem z zamiarem, by się nieco zdrzemnąć.

Dzięki temu Matur nie zauważył mnie, gdy zobaczywszy Sato ruszył pochylony w jego stronę.

— Panie Sato! — wyszeptał Matur. — Ciebie pif-paf!

Pokazał jak ktoś celuje do Sato i strzela. Sato zrozumiał.

I zapytał po angielsku:

— Kto? — znał kilka angielskich słów, być może pamiętał je z czasów wojny, a może usłyszał gdzieś w lesie.

Uniosłam głowę obserwując Matura. Wyraziście nakreślił dłońmi moją figurę i pokazał, kręcąc palcami nad głową, że mam krótkie, kręcone włosy.

— Tak — powiedział Sato. — Dobrze.

— Ja — powiedział Matur, pokazując na siebie palcem — przyjaciel. — Potem wskazał palcem pierś oficera. — Sato — znowu palec w akcji — przyjaciel Matur. Sato da Matur kamienie.

— Kamienie?

Matur podniósł kilka leżących u jego stóp kamyków i popatrzył przez kamyczek na niebo.

— Kamienie! — powtórzył. — Rubiny. W woreczku. Daj mnie. Ja — dobry.

Sato nie zrozumiał albo udawał, że nie rozumie. Znudziło mi się podsłuchiwanie i powiedziałam po japońsku:

— Dyrektor Matur prosi, żebyś podzielił się z nim kamieniami, które masz w woreczku.

Sato wcale nie zdziwił się, że leżę tak blisko, chrząknął i powiedział:

— Powiedz mu, że gdy będzie moim dobrym przyjacielem przez wiele nocy, wtedy dam mu kamienie. Ale nie dzisiaj.

Oznajmiłam to Maturowi. Ku wielkiemu niezadowoleniu Hindusa. Przy czym odniosłam wrażenie, że najbardziej niezadowolony był z tego, że usłyszałam ich rozmowę i donos Matura na mnie.

Sato obszedł krzak dookoła i stanął nade mną.

— Chciałaś mnie zabić? — zapytał.

— Nie — odpowiedziałam.

— On mówi, że chciałaś.

— Niech sobie mówi.

Całym ciałem czułam zbliżające się niebezpieczeństwo. No cóż, może lepiej nie czekać na zapadnięcie ciemności?

Leżałam dalej, żeby wyglądać niegroźnie. Ale najwyraźniej moja nagość podsunęła Sato typową dla niego, genialną myśl.

— Matur! — zawołał. — To twoja żona.

— Tak, panie.

Matur też czuł, że coś się święci, ale był w trudniejszej sytuacji niż ja. Chciał i przeżyć, i zdobyć woreczek rubinów. Do tego musiał się domyślać, że życie pod rządami sierżanta nie będzie wieczne. Kiedyś trzeba będzie wrócić do cywilizacji, a tam ja jestem doktorem Uniwersytetu Wrocławskiego, a on — zarządcą butelek w naszej tymczasowej stołówce.

— Nakazuję ci dogodzić sobie — rozkazał Sato.

— To znaczy?

— To twoja kobieta. Pokaż jej, że należy do ciebie. Koniec. Zaczyna się ostatni akt. Matur niepewnie przestępował z nogi na nogę, nie mając odwagi podejść bliżej. Nadzy ludzie stali w pobliżu.

— Panowie — powiedziałam po polsku, żeby zrozumieli mnie tylko Op-zwo i Mi-ła — przygotujcie się do akcji.

Moje słowa wprawiły ich w rozterkę. Bali się porażki.

— Idź! — Sato znęcał się nad Maturem.

— Za pozwoleniem, wolałbym poczekać do nocy. W naszych stronach jest przyjęte brać ślub w nocy, rozumie pan?

— Rozumiem — powiedział Sato. — Powiedziałeś, że jesteś moim sługą. Co to za zachowanie?

— Poczekał, dobrze?

Wtedy Sato wsunął rękę do kieszeni szortów i wyjął z niej niewielką, skórzaną sakiewkę.

— Wiesz co tutaj mam? — zapytał.

— Nie — odpowiedział Matur.

— W takim razie patrz.

Sato cofnął się o krok, żeby Matur nie mógł go dosięgnąć, rozwiązał woreczek i wyjął z niego garść kamyków — każdy wielkości ziarna grochu. Wziął zamach jak siewca i wrzucił je do jeziora. Matur kwiknęła.

Sato zawiązał woreczek i schował do kieszeni.

— I co? — zapytał Matura.

Tłuste palce Matura wykonywały zupełnie niepotrzebne ruchy w okolicach brzucha, jakby rozpiął i zdejmował niewidzialne spodnie.

Był w transie.

— Matur! — zawołałam groźnie. Było mi wstyd za tego starego człowieka.

— Tak, oczywiście — odpowiedział od razu. — Proszę mi wybaczyć, pani Anito. Wcale tego nie chcę, przysięgam, bardzo panią szanuję, ale przecież to prośba pana Sato. A ja mam żonę i dzieci i bardzo ich kocham.

— W takim razie nie potrzebujesz drugiej żony — nie chciałam, żeby znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

— Ma pani całkowitą rację — zgodził się Matur. — Ale proszę wytrzymać, to nie potrwa długo, zrobię co trzeba i pójdę sobie, przecież nie jest pani dziewicą, prawda?

— Na takie tematy rozmawiam tylko z ukochanym mężczyzną — zabrzmiała moja odpowiedź. — I nie w obecności grupy.

Zaczął nachylać się do przodu i musiałam krzyknąć na niego:

— Idź precz, draniu!

Nadal zbliżał się do mnie, tak że dalsze leżenie na piasku było niebezpieczne.

— Panowie! — zwróciłam się do kosmitów. — Teraz ja zajmę się Sato, a wy rzućcie się na Matura. Jest niegroźny.

— Co? Co ona mówi? — trzeba przyznać Sato, że miał diabelną intuicję.

— Ona nie chce — niepewnie powiedział Matur, jak chłopczyk skarżący się mamie na koleżankę, która nie chce mu dać zabawki.

— Zaraz zechce — powiedział Sato i wyciągnął zza pasa pistolet.

— Łapcie Matura! — krzyknęłam do pozostałych, a sama podskoczyłam tak, by Matur znalazł się między mną a Sato.

Straciwszy mnie z oczu, Sato zaczął wodzić lufą pistoletu, a wtedy — wszystko działo się w ułamku sekundy — skoczyłam na Sato tak, by wybić mu z ręki pistolet. Udało się.

Sato zdołał odskoczyć i utrzymać się na nogach. A moi nadzy współnicy stracili rezon i zatrzymali się, chociaż Matura można było wziąć gołymi rękami. Przez tę kolejną zdradę straciłam przewagę zaskoczenia. Matur przechwycił pistolet i trzęsącą się ręką skierował go na zastygłych w rozpacz kosmitów. Zobaczyłam jak Sato wyciąga rękę do Matura, żeby zabrać mu pistolet i rozumiałam, że mój los jest przesądzony. Nie miałam innego wyjścia jak tylko ucieczka.

Miałam do wyboru dwa kierunki — podziemny korytarz albo jezioro.

Wąski korytarz z pewnością zamieni się w pułapkę, gdy będę się przez niego przedzierać, Sato zdąży zastrzelić mnie pięć razy, a jeśli nawet cudem uda mi się uniknąć postrzału, to już na pewno złapie mnie, gdy będę podnosić kamienną płytę.

Jezioro także nie dawało nadziei na ratunek, ale lepsze ono, niż nic.

Tak więc zanurkowałam i postarałam się jak najdłużej nie pokazywać się na powierzchni. Płynąc pod wodą zastanawiałam się, czy mam ukryć się na drugim brzegu, czy zanurkować...

Wynurzyłam się na środku jeziora, żeby nabrać powietrza do płuc i natychmiast kula świsnęła mi koło ucha: Sato stał na brzegu i celował we mnie. Nie miałam żadnych szans ukryć się na drugim brzegu.

A więc — w dół.

Nabrałam głęboko powietrza i w myślach pożegnałam się z Anitą Kraszewską, lat trzydzieści jeden (słowo!), rozwiedziona, piękną i zdolną.

W dole porwał mnie nurt, a ja nie walczyłam z nim, by jak najdłużej zachować powietrze w płucach.

Znosiło mnie coraz szybciej, że dwa razy uderzyłam o kamienie, raz prawie ugrzęzłam na jakimś zakręcie, ale nie bardzo czułam uderzenia z zewnątrz, bo myślałam tylko o jednym — żeby nie napić się wody... Było to straszne i odpychające, w pewnej chwili moje głupie płuca pozbawiły mnie kontroli nad sobą, łyknęłam wody i zaczęłam tracić przytomność... Nie wiem, jak potok wyniósł mnie na stromy brzeg i wyrzucił na kamienie, co najprawdopodobniej uratowało mnie — na skutek uderzenia zaczęłam kaszleć, wyrzucając z płuc wodę i starając się wciągnąć nosem powietrze... Potem długo leżałam na czymś kłującym, ciesząc się z tego, że na świecie są kłujące zarośla i prawdziwe powietrze i przysięgałam, że nie zbliżę się do innej wody niż w umywalce. Leżałam tak, aż poczułam, że mam dość sił, by iść dalej.

Potok, wydostający się spod skały, płynął dalej po kamieniach w dół i wpadał do Prui nieco poniżej naszego obozu. Musiałam więc przedostać się przez rzekę, ale na szczęście znalazłam szeroki bród i ruszyłam ścieżyną ku namiotom, prawie nie wierząc, że jeszcze niedawno żyłam w miniaturowym imperium strachu.

Podeszłam do obozu nie zauważona przez nikogo i widziałam już przez liście bambusa plac i rozstawione na nim namioty, gdy nagle zatrzymałam się jak rażona gromem. Przypomniałam sobie, jak wyglądałam!

Przede mną, spokojnie spacerując po trawie, rozmawiali Wspólny i Nicholson, nieco dalej kilku żołnierzy — bez wątplenia było ich więcej niż przedtem — wsłuchiwało się w oddalony dźwięk silnika helikoptera.

Nie mogłam wyjść z lasu. Nie mogłam do nich podejść. Mogę umrzeć, ale nie zrobię ani kroku dalej.

Może to się wydać dziwne — mogłam zakryć się liściem bananowca, krzyknąć, żeby mężczyźni odwrócili się... Nie, stałam jak słup, cały tupet i pewność siebie, które pomogły mi przetrwać w skalnej szklance, gdzieś się ulotniły. I ani ciężki los nagich ludzi, ani niepokój o ich życie, ani litość nad tym draniem Maturem — nic nie mogło zmusić mnie, abym opuściła kryjówkę i pokazała się moim kolegom i żołnierzom jak Afrodyta, której zabrakło morskiej piany.

Usiadłam i czekałam aż placyk opustoszeje.

W dolinie było bezwietrznie, zaczęły mnie gryźć komary i inne latające stworzenia. Musiałam zejść nad rzekę i przez jakiś czas, męczona głodem i rozpaczą, podskakiwałam na brzegu. Na brzeg oczywiście przyszli po wodę żołnierze, więc musiałam ukryć się w najbardziej kłujących na świecie zaroślach, gdzie oprócz mnie mieszkał jeszcze gigantyczny pajak ludożerca. Zresztą niezbyt dobrze znam się na entomologii, być może był zwykłym słoniożercą. Pajak patrzył na mnie, ja na pajaka, w końcu pajak doszedł chyba do wniosku, że nie jestem zdobyczą odpowiednią do jego rozmiarów i apetytu i wyruszył na prawdziwe polowanie. Gdy odzyskałam przytomność, poczołgałam się do wody, weszłam do niej i siedziałam zanurzona po szyję jakieś dziesięć minut, aż zsiniałam z zimna.

Ale pomogło mi to pozbierać się, a gdy wróciłam w pobliże obozu zaczął kropić lekki deszczyk i komary odleciały do swych schronów.

Ściemniało się, miałam nadzieję, że za pół godziny lub w najgorszym przypadku za godzinę uda mi się wrócić do namiotu, do miłego szlafroka i kapci.

Ale nic z tego nie wyszło.

Przede mną na polanie pojawił się inny gość — dyrektor Matur!

Nie ukrywał nagości. Szczycił się nią jak gorący żreback wątpliwej krwi. Co za gość!...

Nie miałam do niego żalu — on też był o krok od śmierci, poniżano go i niemal zmuszono, by

mnie zgwałcił, co, jak wiecie, nie jest możliwe bez akceptacji z mojej strony.

Wszyscy rzućli się do niego.

Matur stał na skraju polany chwiejąc się. Natychmiast złapano go pod pachy i zaprowadzono do dużego namiotu z zamiarem jak najszybszego położenia go w śpiworze i leczenia lub ewakuacji do Tangi. Ale Matur trzymał się dzielnie. W wieczornej ciszy słyszałam każde słowo wymówione przez mego towarzysza niedoli.

— Co się stało? — pytał major Tilwi Kumtaton, a pozostali uczestnicy ekspedycji wtórowali mu. Nawet Nicholson, który odnosił się do Matura z pogardą jak czystej krwi ogier do żaby, współczuł dyrektorowi.

— Byłem tam! — zawołał Matur. — Złapano mnie!

Potem nastąpiła krótka runda walki między felczerem a Maturem, podczas której dyrektor odmawiał przyjęcia lekarstw i kontynuował swą rozdzierającą duszę historię.

Opowieść Matura zajęła dobre pół godziny, muszę więc przekazać ją w skrócie.

Okazało się, że kamienie, po które Matur ruszył na nocną wyprawę nie miały nic do rzeczy. W rzeczywistości zwabiono go przy pomocy pięknej dzikuski, która podkraǳła się do jego namiotu i błagała, by przyszedł z pomocą jej maleńkiemu narodowi, który dostał się w łapy japońskiego żołnierza.

No dobrze, pomyślałam, nie można złościć się o to na Matura. Ukrywa swoje bogactwo, swą zdobycz... Bardziej interesowało mnie, jak udało mu się wydostać z kamiennej szklanki? Jest uciekinierem czy szpiegiem?

Potem Matur dość kłamliwie, ale za to z pasją opowiadał, jak postanowił uwolnić gołych dzikusów spod władzy Japończyka, jak dotarł wraz z dzikuską do ukrytego w górach jeziora, gdzie okrutny Japończyk wyzyskiwał dzikich.

Matur stoczył dramatyczną walkę z Japończykiem, było to niełatwe zadanie, gdyż Japończyk był uzbrojony w automat i granaty, a Matur walczył gołymi rękami. Ta tytaniczna walka zakończyła się w końcu zwycięstwem Matura, który wygnał japońskiego militarystę, ale niestety w tym czasie niewdzięczni nadzy ludzie rozbiegli się po dolinie i, być może, odeszli za przełęcz, w stronę Chin.

Wtedy profesor Nicholson, który cały czas udawał, że wierzy w ledwie trzymającą się kupy wersję Matura zapytał, czy podczas tej bohaterkiej wyprawy Matur nie spotkał czasem kobiety — Anity Kraszewskiej.

Matur szczerze zapłakał.

— Nigdy! — zakrzyknął. — Nigdy nie wybaczę sobie, że nie zatrzymałem tej dziewczyny. Tak, była w niewoli u Japończyka, błagałem ją, by wytrzymała jeszcze trochę, ale ona przestraszyła się i rzuciła się do jeziora... i utonęła!

Już miałam roześmiać się, ale w ostatniej chwili zrezygnowałam, przecież Matur tutaj akurat nie kłamał: rzeczywiście widział jak zanurkowałam w jeziorze i nie widział, jak się z niego wydostałam. A to znaczy, że utonęłam.

W czasie gdy wojskowi uprzejmie, ale zdecydowanie przesłuchiwali Matura, usłyszałam, jak do zarośli, w których się ukrywałam, podeszli Nicholson i Jura Wspólny. Nagle, ku swemu zdziwieniu usłyszałam, że Wspólny płacze. Ten ogromny, gruby, biały dżentelmen w okularach płakał jak mały chłopiec, zapomniał o angielskim i powiedział po rosyjsku:

— Pójdę jej poszukać, może jednak żyje.

— Zaraz zrobi się ciemno — odpowiedział Nicholson. — Rano pójdziemy razem. W pełni

podzielał pańskie uczucia.

— A może Matur kłamie? — zapytał Wspólny.

— Niestety, nie widzę żadnego powodu, dla którego miałby kłamać.

— Tak — zgodził się Wspólny — Nie ma potrzeby kłamać.

Targana sprzecznymi uczuciami już byłam gotowa wyjść z krzaków, ale nagle zaniepokoiła mnie jedna myśl: a jeśli Matur coś ukrywa i dlatego kłamie? Co wydarzyło się w kamiennej szklance? Może to jakiś diabelski podstęp Sato, który czai się gdzieś w pobliżu, aby w nocy poderznąć gardła moim towarzyszom, w tym także miłemu i wzruszającemu Jurijowi Wspólnemu?

Wiedziałam, co zrobię — szybko pobiegnę do jaskini i dowiem się, gdzie rzeczywiście znajdują się kosmici, czy żyją, czy coś im grozi... Tak będzie znacznie szybciej niż organizować wojskową ekspedycję ratunkową.

Znowu zrezygnowałam z przytulnego namiotu i gorącej kawy, bo żal mi było tych niezdarnych kosmitów, o których nikt nie powinien wiedzieć, że są kosmitami.

Było jeszcze widno, a drogę do jaskini znałam bardzo dobrze.

* * *

Duchy gór sprzyjały mi. Nieoczekiwanie roz pogodziło się, chmury odpłynęły. Okazało się, że słońce dopiero co skryło się za górami i ich wierzchołki są jeszcze oświetlone żółtym światłem zachodu. Tak więc miałam dość czasu, żeby dojść do jaskini nie łamiąc po drodze nóg.

Czułam się dziwnie idąc doliną. W ciągu ostatnich dni poznałam ją tak, jakbym mieszkała tu od miesiąca. Wracałam do dziwnego, nikomu nieznanego świata, o którym jeszcze wczoraj miałam tylko mgliste pojęcie.

Gdy wchodziłam na plac przed jaskinią i odwróciłam się od odkrytej ubicacji kosmitów, ostatnie promienie słońca oderwały się od wierzchołka najwyższej góry, dolina pogrążyła się w wieczornym mroku. Nie miałam ochoty podnosić ciężkiej, kamiennej płyty wewnątrz ciemnej jaskini ani przedzierać się przez wąski korytarz prowadzący do jeziora, ale nie miałam innego wyjścia.

Na szczęście nie musiałam tego robić.

Gdy tylko weszłam pod nawis skalny, wewnątrz jaskini rozległy się radosne głosy, a w mojej głowie zabrzmiały słowa Miły:

— Patrzcie, kto do nas przyszedł!

— Nie może być! — powiedział Op-zwo. — Przecież utonęłaś.

— Na szczęście, cudem nie utonęłam — odpowiedziałam. — I żeby wam czasem do głowy nie przyszło, że jestem duchem.

— Nie porzuciłaś nas! Nie zapomniałaś o nas! — jęczeli kosmici stając dookoła mnie. Przyzwyczaiałam się do ich nagości i nie bałam się jej. Nawet widok Po-bie, grającego na fujarce, prawie mnie ucieszył.

— Byłam ciekawa — powiedziałam — bo spotkałam dyrektora Matura.

— I co powiedział? — zapytał kapitan Po-dyrek. Jego głos był pełen rezerwy.

— Nie widział mnie, rozmawiał z pozostałymi. Powiedział, że namówił was na spotkanie z

ludźmi, ale uciekliście.

— Nie uwierzyłaś mu? — zapytała pełna życiowej mądrości Nie-mi.

— Oczywiście, że nie — powiedziałam. — Powiedział jeszcze, że Sato przed nim uciekł.

— Mamy latarkę — powiedział kapitan. — To twoja latarka. Potem zabrał ją Sato. A teraz to nasza latarka.

Wyciągnął do mnie latarkę, ale nie od razu zrozumiałam po co.

— Zapal — wyglądał na przygnębionego, a ja stałam, bezmyślnie trzymając w ręku zgaszoną latarkę.

Potem zapaliłam ją.

Promień latarki musnął twarze kosmitów. Mrużyli oczy i odwracali twarze od jasnego światła. Potem zatrzymał się w głębi jaskini na leżącej bez ruchu postaci.

Sato miał zamknięte oczy, policzki zapadnięte i pociemniałe, nos wydawał się bardziej ostry — nawet nie od razu go poznałam.

— Gdy zginęłaś pan Sato bardzo się złościł. Nawet wszedł do wody, żeby cię znaleźć — opowiadał w tym czasie Op-zwo.

— Chciał mnie uratować? — byłam zaskoczona niekonsekwencją tego człowieka.

— Bardzo się złościł, ale nie chciał, żebyś utonęła. Zdjął pas i spodnie i zanurkował. Nie znalazł cię, a gruby człowiek Matur złapał woreczek, skórzany woreczek z czerwonymi kamieniami i chciał uciec. Sato wyszedł z wody i ruszył za nim podziemnym korytarzem.

— A potem usłyszeliście dobiegające stamtąd strzały.

— Tak — powiedział Op-zwo. — Usłyszeliśmy strzały i przestraszyliśmy się. Siedzieliśmy i czekaliśmy. Czekaliśmy długo...

— A potem zaczął jęczeć... — powiedziała Mi-ła.

— Kto? — nie rozumiałam.

— Pan Sato. Poczułam, że żyje, ale bardzo go boli. Poszliśmy tam, żeby mu pomóc — odpowiedziała Mi-ła.

Wyobraziłam sobie tę scenę — nadzy kosmici tłoczą się koło czarnej dziury prowadzącej do podziemnego korytarza i wsłuchują się w dochodzące spod ziemi jęki.

— Znaleźliśmy go bardzo blisko jaskini. Najwyraźniej dogonił Matura, gdy ten podnosił kamienną płytę. Wynieśliśmy pana Sato na górę i położyliśmy tutaj. Nie sprawiliśmy mu bólu. Ale on i tak umarł. Rany były śmiertelne. — Mi-ła mówiła głosem pełnym poczucia winy, chociaż chyba mi się wydawało, przecież mówiąc w myślach nie można wyrazić poczucia winy. Ale kosmici czuli się winni.

Kapitan nawet zwerbalizował to:

— Gdybyśmy nie zwalili się mu na głowę i nie zburzyli porządku panującego w jego życiu, nadal polowałby, wspinał się po górach, a może nawet wróciłby kiedyś do starej Japonii. Ale stanowiliśmy pokusę. Zmienił swe życie.

— Mylicie się — powiedziałam. — Gdyby was nie było, Matur też by się tutaj pojawił, a jeśli nie on, to jakiś inny kurier niosący rubiny. Przecież wiemy, że Sato zabił przemytnika i zabrał woreczek z kamieniami. Winne są rubiny, winni są przemytnicy, winna jest chciwość Matura...

Ale wydaje mi się, że nie przekonałam ich.

Zbili się w stadko, jak zmoknięte kociaki i cicho buczeli — może śpiewali, może płakali, a ja nie wiedziałam, co dalej robić.

W końcu wymyśliłam.

Planowałam wrócić do obozu, ale nie byłam do tego w pełni przekonana — jeśli nie wiesz, po co idziesz, to wcale nie masz ochoty przedzierać się przez pogrążony w nocy las.

Postanowiłam więc zostać z nimi.

Znieśliśmy w jedno miejsce siano rozrzucone po jaskini, ułożyliśmy się przytulając do siebie nawzajem i spróbowaliśmy przykryć się kocem Japończyka. Starczyło tylko dla kobiet, które leżały w środku.

Tylko Po-bie nie chciał spać. Siedział nad ciałem Sato i grał, na szczęście niezbyt głośno, na swej fujarce. Spałam w objęciach Mi-ły, przytulona do Nie-świa-mi, kosmici pachnieli dziwnie, ale nie nieprzyjemnie, a mnie przez całą noc śniły się dziwne sny.

* * *

O świcie obudził mnie chłód. Okazało się, że pozostali już wstali. Kocem nakryli Sato.

Ktoś zszedł nad jezioro i przyniósł stamtąd zapasy. Zjadłam coś razem z kosmitami.

— Postanowiliśmy... — powiedział kapitan. — Pójdziemy przez góry. Odejdziemy stąd. A co potem — zobaczymy.

Zaczęłam udowadniać im, że warto poczekać jeszcze jeden dzień, pomówię z kolegami i razem coś wymyślimy.

Ale kosmici nie chcieli czekać, bo wyczuwali moją niepewność.

Postanowili ruszyć w górę rzeki — tam jest mniej ludzi.

Chcieliśmy pożegnać się, ale nikt nie miał odwagi zrobić pierwszego kroku.

Staliśmy tak, na skraju polany, patrząc na dolinę Prui, nad którą unosiła się poranna mgła.

Nagle, z daleka, rozległ się dźwięk dzwoneczka. Taki cichy, melodyjny dźwięk. Umilkł.

— Idą — wyszeptał Op-zwo, ale zamilkł natychmiast, bo nie potrafił wyjaśnić kto idzie.

Potem rozległ się cichy głos.

Kilkoro ludzi niespiesznie schodziło ku dolinie.

Podeszłam do samego brzegu polany i zobaczyłam ludzi, których nadejście usłyszeliśmy.

Byli to młodzi, bardzo młodzi ludzie, dziwnie ubrani, a niektórzy w ogóle nie ubrani. Część z nich miała ogolone głowy, inni pozostawili warkoczyki, ktoś miał na sobie różową narzutkę z gazy, a ktoś był ubrany tylko w podarte kąpielówki. Każdy z nich miał przewieszoną przez ramię torbę zebraczą, wszyscy byli bosi... Na przedzie szedł mnich buddyjski, także ogolony, ubrany w pomarańczową togę.

Dałam kosmitom znak, aby pozostali na swoich miejscach, przywołałam do siebie Mi-łę i zaczęłam ostrożnie schodzić w dół, ku wodzie, bo wędrowcy właśnie tam zatrzymali się na odpoczynek.

Zatrzymałyśmy się za krzakami, żeby nie wystraszyć ludzi swym wyglądem i Mi-ła powiedziała:

— Nie myślą o niczym, zmarzli w nocy. Są tu obcy.

— Zapytaj tego tam, starego człowieka w pomarańczowym ubraniu, kim są i dokąd idą.

Słyszając głos w głowie buddyjski mnich wcale się nie przestraszył ani nie zdziwił, tylko

odpowiedział po ligońsku:

— To bezimienni pielgrzymi. Idą nad Ganges. Przyszli do naszego górskiego klasztoru Manudauntok, czyli Skarb Trzech Bodisatw, wyleczyliśmy ich i nakarmiliśmy. A teraz prowadzę ich do klasztoru we wsi Linili. Dotrzemy tam pojutrze.

Pielgrzymi zamilkli. Rozumieli, że ich przewodnik z kimś rozmawia i dlatego zrobili się czejni.

Było cicho, tylko poranne ptaki śpiewały. Pielgrzymi rozmawiali ze sobą po cichu.

— Z kim papla? — zapytała goła do pasa, ogolona dziewczyna z płaskimi piersiami, która powinna raczej nosić biustonosz wypchany watą niż spacerować nago.

— Z pewnością jest tu dużo bezcielesnych istot astralnych — odpowiedział młodzieniec z długim nosem i cienkim warkoczykiem na karku. — Bławacka uprzedzała w swych pracach, że w pobliżu Indii trzeba być podwójnie ostrożnym.

— Straciłem równowagę duchową — kapryśnie powiedział wychudzony chłopaczyna w różowej koszulce — jedynym fragmencie odzieży, jaki przypadł mu w udziale.

Zdziwiło mnie, że bez trudu rozumiem młodych pielgrzymów. Nazwisko Bławackiej skądś znałam. O Matko Boska! Przecież mówią po rosyjsku!

Byłam tak zdziwiona i ucieszona, że wyskoczyłam zza krzaka i znalazłam się wśród młodych ludzi.

Początkowo rozbiegli się na wszystkie strony, bardziej z zaskoczenia niż ze strachu. Ale nie odeszli daleko. Niełatwo było ich zadziwić.

— Cześć! — powiedziałam do nich. — Skąd się tu wzięliście?

Młodzieniec z długim nosem, który ostrzegał o ciałach astralnych, popatrzył na mnie podejrzliwie:

— A ty co, mieszkasz tutaj?

— Na razie mieszkam.

— Dla zasady? — zapytało dziewczę z ogromnym brzuchem, w jakimś ósmym miesiącu ciąży. Miała obrażony wyraz twarzy, jakby zaproszono ją na spacer, a potem zmuszono do noszenia niewyobrażalnych ciężarów.

— Nie, jestem tu przejazdem.

Mi—ła poczuła, że od młodych ludzi nie emanuje niebezpieczeństwo, więc także wyszła zza krzaków i dołączyła do nas, nie wywołując u nikogo najmniejszego zdumienia. Tylko mnich spoglądał cały czas do góry, na krzaki, jakby czekał, że wyjdą stamtąd kolejne leśne wróżki. Potem przypomniał sobie, że jest mnichem a nie miłośnikiem erotycznych przedstawień, więc schylił głowę i zaczął uporczywie przekładać paciorki różańca. Różaniec był rubinowy, bezcenny. Jak dobrze, że Matur jest daleko stąd.

— Dokąd was droga prowadzi? — zapytałam. Z pewnością zabrzmiało to nienaturalnie, ale w żaden sposób nie mogłam znaleźć tonu odpowiedniego do rozmowy z tak dziwnymi stworzeniami. Kiedy mieszkałam w Moskwie, takich jeszcze się nie spotykało.

— Do Waranasi — odpowiedział długonosy — najwyraźniej ich przywódca. — Do świętego miasta.

— A po co?

— Czeka tam na nas guru, Nilakanta Shastri.

— Długo poczeka — powiedziałam.

— Dlaczego? Dlaczego? — zapytał długonosy.

— Bo droga do Waranasi jest bardziej na prawo — oznajmiłam. — A tędy niedługo dojdziecie do Zatoki Syjamskiej.

Nagle dotarło do mnie, że nie przykładali się w szkole specjalnie do geografii i nie widzą żadnej różnicy między Zatoką Syjamską a Kanałem Panamskim.

— Nie słuchaj jej, Denisie — powiedziała ciężarna. — To typowa prowokacja. Zapytaj się lepiej, w jakiej szkole CIA nauczyła się tak mówić po rosyjsku?

Wszyscy pielgrzymi popatrzyli na mnie nagle jak na wroga, a ja spieszenie odpowiedziałam:

— W żadnym CIA! Przybyłam tu z ekspedycją.

— No widzisz, Wasyliso! — powiedział człowiek z grzywką.

— A cóż to za ekspedycja? — dziewczę w ciąży nie poddawało się. (A propos, jeśli w ciąży, to po rosyjsku już nie dziewczę, prawda?).

— Szukamy tronu króla Salomona — przyznałam się.

— Żyd — wyjaśnił pozostałym ponury typ z grzywką.

— No nie, powiedz, naprawdę zboczyliśmy z trasy? — zapytał wychudzony chłopaczyna.

— Jak długo idziecie? — zapytałam.

— Wierzymy w wielkiego Krysznę i wieczne szczęście. W zbawienie przez dobro! — krzyknęło brzemiennie dziewczę. Najwyraźniej miała już dość tego wszystkiego.

— Ale czy długo idziecie? — zapytałam.

— Jesteśmy z Lubierec. Dołączyliśmy się do wycieczki do Mongolii — powiedział długonosy.

— Nie wydano nam zgody na wjazd do Indii — powiedziała ciężarna, a ponury typ wyjaśnił:

— Mongolia należy do krajów obozu socjalistycznego.

Wychudzony chłopaczyna pokazał mi solidną pałkę, całą pokrytą nacięciami.

— Sześćset siedemdziesiąt dni — powiedział. — Szczególnie ciężko było w Chinach. Ale pracowaliśmy w komunie.

— Wszystkich bym powiesiła — zawołała ciężarna.

— Wasyliso, Wasyliso — towarzysze starali się ją uspokoić. — Gdzie twoja pokora?

— Nie — powiedziałam. — Nie możecie iść dalej w takim stanie. Nie wytrzymacie drogi do Waranasi.

— Co robić? — pisnęła ogolona dziewczica z płaskimi piersiami. — Jesteśmy skrajnie wyczerpani.

— Szkodzi mi odżywianie się samymi warzywami, do tego niemytymi! — poparła ją ciężarna.

— W takim razie posłuchajcie mojej rady. Idźcie za tym dobrym, buddyjskim mnichem, który zaprowadzi was do klasztoru. Zatrzymajcie się w klasztorze, pomieszkajcie tam jakiś czas, miesiąc albo dwa. A potem podejmiecie decyzję. Być może ktoś będzie chciał wrócić do domu, a ktoś inny przejdzie na buddyzm.

— Tylko nie to! — zawołał długonosy.

— A jeśli nas nie przyjmą? — pisnął chudy chłopaczyna.

— Przyjmą. — Zwróciłam się do mnicha, który nie podnosił oczu, i z pomocą Mi-ty zapytałam czy mnisi w klasztorze w Linili są dobrzy i gościnni. Mnich odpowiedział, że klasztor słynie z troski o wędrowców, można tam zamieszkać jako pomocnik, zbierać owoce w sadzie, wykonywać drobne naprawy i prace gospodarcze — co kto umie.

Przetłumaczyłam to byłym rosyjskim turystom, a obecnie wyznawcom Kryszny szukającym Waranasi i, być może, świętej pamięci guru Nilakanta Shastri.

Z pewnością domyślacie się, że podczas rozmowy z rosyjskimi pielgrzymami, wpadłam na pomysł.

— Pójdzie z wami jeszcze sześcioro wyznawców Kryszny — powiedziałam. — Dołączą do waszej grupy.

— Tylko tego brakowało! — oburzyła się ciężarna, ale długonosy był zainteresowany moją pomocą i powiedział:

— Jeśli nie będą zżerać naszych zapasów, niech idą. I niech pamiętają, że komunikujemy się wyłącznie po rosyjsku! Wszędzie.

— Dobrze! — powiedziała mądra Mi-ła.

Pomknęła jak rączka kozica do jaskini, żeby podzielić się informacjami z towarzyszami podróży.

Niestety, nie mogłam dać im na drogę pieniędzy, ale zapobiegliwa Nie-mi zebrała rubiny, które wysypały się z woreczka, słusznie zakładając, że jeśli mieszkańcy Ziemi cenią te kamyczki, to warto się w nie zaopatrzyć. Przekonałam Op-zwo i Mi-łę, by podczas wszelkich transakcji z rubinami byli niezwykle ostrożni.

Poradziłam kosmitom, by rozdzielili między siebie ubranie zmarłego Sato i rozebranego Matura. Widok był dziwny, ale właśnie ów dziwaczny przydzwiek przyczynił się do zgody między rosyjskimi wyznawcami Kryszny i przybyszami z planety Dom. Lubiącemu popisywać się Po-be-be dostała się marynarka Matura, Nie-mi wzięła szorty Sato, kapitan wciągnął na siebie dhoti Matura, a Op-zwo dostał jego bieliznę...

Gdy stojąc na zboczu patrzyłam na tę dziwną grupę, wydała mi się całkiem homogenicznym tworem, jakby wszyscy razem przemierzali Chiny. Dopiero potem pomyślałam o sobie, ale nie miałam siły ani odwagi iść podziemnym korytarzem i szukać ubrania nad jeziorem, dlatego ograniczyłam się do przepaski biodrowej z podartego worka.

Przeszłam razem z pielgrzymami trzy mile oddzielające jaskinię od wojskowego obozu.

Po drodze mówiliśmy mało i cicho. Uprzedziłam Rosjan, że żołnierze zorganizowali zasadzkę, wyłapują wszystkich wyznawców Kryszny i odsyłają do domu. Dlatego dosłownie szli na palcach.

A gdy ścieżyna, omijając obóz, skręciła ku rzece, pożegnałam się z kosmitami. Pożegnanie nie było zbyt wylewne, bo nie wiedziałam jak u nich, na Domu, wygląda serdeczne pożegnanie. Obiecałam przyjechać do klasztoru i wesprzeć ich radą, ale miałam nadzieję, że razem z pielgrzymami dotrą może nawet do Waranasi.

Potem pożegnałam się, życzyłam ciężarnej Wasylisie wspaniałego syna, na co wychudzony chłopaczyna odparł, że wolałby dziewczynkę. Nie podejrzewałam, że to on jest ojcem rodziny, więc zamilkłam.

Długa procesja skąpo odzianych ludzi znikwała, człowiek za człowiekiem, w bananowych zaroślach. Nagle ciężarna Wasylisa, kołysząc się jak kaczka zawróciła i wsunęła mi do ręki jakąś pałeczkę.

— Anito — wyszeptała — towarzyszko Kraszewska! Reprezentowany przeze mnie Związek Radziecki liczy na domyślność polskich towarzyszy.

I podreptała za pozostałymi, błyskając czarnymi piętami.

Okazało się, że Wasylisa zostawiła mi mocno skręcony kawałek cienkiej, suchej kory, na której zapalką albo pałeczką wytłoczono:

Ścisłe tajne. Do rąk własnych przedst. KGB.

*Idziemy do Waranasi. Kont. obserwację. CIA zaangaż. sześćcioro agentów. Nast. przesyłka okazją.
Major Pupyszczy.*

Gdy dotarłam do obozu ranek dobiegał już końca. Polana była zalana słońcem. Była pusta, jeśli nie liczyć wartowników stojących w pewnej odległości. Z dużego namiotu, w którym znajdowała się stołówka, dochodziły głosy.

Zmęczona dotarłam do namiotu i odchyliłam połę. Nie miałam zamiaru nikogo zadziwić, chciałam tylko coś zjeść i położyć się spać.

Ale nie wiadomo dlaczego wszyscy, jeden za drugim, odwrócili się w moją stronę i na wszystkich twarzach pojawił się ten sam wyraz ogromnego zdumienia.

Wszyscy milczeli.

Milczenie przerwał dyrektor Matur.

— O nie! — wrzasnął na całą dolinę. — Zgiń, przepadnij, zły duchu gór!

Przez chwilę przewracał czekoladowymi oczami i w końcu zemdlał, ciągnąc za sobą obrus razem z serwisem do kawy i garnkiem z owsianką i zostawił mnie, drań, bez śniadania...

Jurij Sidorowicz Wspólny

Pojawienie się Anity Kraszewskiej, którą zdążyliśmy już pochować i opłakać, na kilka minut przed wyruszeniem kolejnej wyprawy na poszukiwanie jej ciała, spowodowało szok w namiocie, gdzie jedliśmy śniadanie. Ta miła, młoda kobieta była obnażona jak Afrodyta, wynurzająca się z morskiej piany.

Pierwszy równowagę odzyskał profesor Nicholson.

Gdy Matur stracił przytomność, ciągnąc za sobą obrus, Nicholson sprawnym ruchem przechwycił ów obrus i narzucił go na Anitę.

Anita zrozumiała o co chodzi, uśmiechnęła się mimo widocznego zmęczenia i powiedziała:

— Dziękuję, jest pan niezwykle uprzejmy, sir.

I tak udrapowała na sobie obrus, że wyglądała jak prześliczna Greczynka, ubrana według najlepszych, homeryckich wzorców.

Okazało się, że major Kumtaton od samego początku podejrzewał Matura o powiązania z przemytnikami i bez większego trudu odnalazł doczesne szczątki zabitego przez Japończyka posłańca.

Nie powinienem tego wiedzieć, ale kiedy mieszka się w namiocie trzeba mówić szeptem. Dlatego usłyszałem, jak major przesłuchuje Matura. Obiecał mu wolność w zamian za zwrot rubinów zabranych Sato. Major był o tym przekonany, bo w podziemnym korytarzu znalazł dwa albo trzy kamyki.

Ale Matur był twardy jak skała. Przesłuchiwano go cały dzień, ale bez skutku.

Matur był uparty jak bawół dopóki major nie zawołał zmartwychwstałego świadka — Anity. Anita zeznała, że nie widziała jak Matur zabijał Sato, ale widziała nieszczęsny woreczek z rubinami.

Nie wiem jak się dogadali — przecież oboje byli cudzoziemcami, a ja nie mam prawa wtrącać się w ich wewnętrzne sprawy, ale — o ile wiem — Matur oddał woreczek z rubinami, a sprawę śmierci bezdomnego Japończyka zamknęto.

O nagich ludziach, którzy wyparowali bez śladu, też nikt więcej nie wspominał — jakby wszyscy umówili się, że nadzy ludzie odeszli w nieznanym kierunku.

Wersja Anity Kraszewskiej, że są to przybysze z innej planety, ukrywający się w jakimś górskim klasztorze, nie została potwierdzona. W Ligonie są tysiące klasztorów. Ani mnisi, ani ich pomocnicy nigdy w życiu nie mieli żadnych dokumentów — i jak tu zgadnąć, kto jest mnichem, kto kosmitą, a kto rosyjskim wyznawcą Kryszny.

Istnienie tych ostatnich z pewnością nie jest owocem wyobraźni Anity, jak można by podejrzewać. Od razu pierwszego wieczoru, Anita w tajemnicy przed pozostałymi przekazała mi zwinętą w trąbkę korę z doniesieniem majora Pupyszczenko (albo Pupyszczewa). Zarzekałem się, że nie znam nikogo z tej organizacji, ale Anita zbagatelizowała mój sprzeciw i odpowiedziała:

— Znasz, kochany, znasz. Sam jesteś stamtąd.

Ale powiedziała to bez złości, żartem.

Oczywiście, miała rację. Wiem, komu przekazać doniesienie.

Co do kosmitów, to mam nadzieję, że znaleźli sobie miejsce na Ziemi i stopniowo przyzwyczaili się do ligońskich realiów. Czasami, spotykając na bazarze albo na ulicy ludzi o zielonkawym odcieniu skóry, będę się zastanawiał: a może to jeden z rozbitków? Zresztą nie tracę nadziei, że kiedyś odnajdę ich ślady. Może to się zdarzyć, gdy dotrą do nas nowe doniesienia od major Aleksandry Iwanowny Pupyszczenko. Tym razem z dokładnymi współrzędnymi.

Ligon, 1977

Dodatek

Dzisiaj, gdy odprowadzałem uczestników konferencji, która miała bardzo owocny przebieg i przyniosła szereg nowych odkryć, ale niestety, nie zakończyła się odkryciem nowego, zacofanego plemienia, spotkałem na lotnisku majora Kumtatona i profesora Manguczoka.

Major poinformował mnie, że odpowiednie ligońskie organa zapoznały się z moim rękopisem i uznały go za bardzo interesujący, mimo że opowiada o nieprawdopodobnych wydarzeniach. W świetle tego postanowiono, żeby w imię dalszego rozwoju przyjaźni między naszymi narodami udzielić mi zgody na publikację rękopisu o „nagich ludziach”, pod warunkiem, że będę wymieniony jako jego autor (choć mogę użyć dowolnego pseudonimu), a dokumentalna opowieść zostanie określona jako „powieść fantastyczna”.

Początkowo zareagowałem oburzeniem. Nie mogłem pozwolić, aby starannie udokumentowana, w stu procentach faktograficzna, opierająca się wyłącznie na wspomnieniach żyjących świadków praca została świadomie ogłoszona bajką.

W takim razie, niestety, oznajmił profesor, interesy Republiki Ligon wymagają rezygnacji z opublikowania książki w jakiegokolwiek formie.

— A książka Matura! Jemu pozwoliliście!

— Był to jeden z warunków naszej umowy — uśmiechnął się major. — Oddał rubiny i uzyskał zgodę na publikację książki. Ale proszę wziąć pod uwagę, że nawet nie podejrzewa, że nadzy ludzie są przybyszami z innej planety i nie może zagrozić ich bezpieczeństwu. Po drugie, tyle tam nakłamał, że słowa „powieść dokumentalna” umieszczone na stronie tytułowej przez dziennikarza, który napisał książkę na podstawie opowieści Matura, wyglądają jak parodia.

— Proszę posłuchać przyjacielskiej rady majora — powiedział profesor Manguczok. — Ci, którzy mają uszy — usłyszą, a ci którzy mają oczy — zobaczą. Lepszy wróbel w garści niż skowronek na dachu. Nie chcemy żadnych nieprzyjemności. Ani ze strony japońskiego konsula, ani, nie daj Boże, tak zwanego Związku Galaktycznego.

— Więc wierzycie mi? — zapytałem.

— Dlaczego mielibyśmy nie wierzyć? — odparł major.

— A może odszukaliście kosmitów?

— Są to wybitni uczeni, którzy mogą okazać się bardzo pomocni dla naszego biednego, rozwijającego się kraju — zagadkowo odpowiedział major.

— Znaleźliście czy nie? — zawołałem drżąc z emocji.

— W rejonie Tangi nie ma wcale tak dużo buddyjskich klasztorów — powiedział profesor.

— Ó propoz — zakończył rozmowę major Kumtaton — proszono mnie, bym to panu przekazał.

— I wyciągnął w moją stronę trójkątny kawałek papieru.

Napisano na nim po rosyjsku:

Śc. tajn. Przedst. KGB

Znajduję się w klaszt. (dalej wykreślone). Jedzenie bez mięsa. Ucieknę. Ze mną dwóch od Kryszn. Czekam na instr. Pupyszcz.

— Ale to jest wiadomość dla kogoś zupełnie innego! — oburzyłem się. — Nie znam żadnego majora Pupyszczenko.

— Już uciekli — powiedział Tilwi Kumtaton. — Przekazałem mu instrukcje. Jutro będzie w Ligonie. Chciałbym, żeby ambasada opłaciła majorowi Pupieneczenko....

— Pupyszczenko! Aleksandra Iwanowna Pupyszczenko!

— No właśnie, żeby ambasada opłaciła major Pupyszczenko i jej nowo narodzonej córeczce Saraswatii Siemionownie bilet na samolot.

Na tym zakończyliśmy rozmowę.

Nigdy więcej nie słyszałem o nagich ludziach.

* IV Międzynarodowa Konferencja „Prymitywne społeczności w Azji” (Ten, i wszystkie pozostałe przypisy pochodzą ode mnie — J. Wspólny)

* Czytelnik domyśla się, że dyrektor Matur pełnił podczas kongresu niezbyt istotną rolę przedstawiciela firmy dostarczającej napoje chłodzące.

* Oczywiście kłamstwo Matura. Swego czasu major miał wszelkie powody, by ukłęcić łeb Maturowi. Nie zrobił tego tylko dlatego, że Matur miał wysoko postawionych protektorów.

* Z dalszego przebiegu wydarzeń wynika jasno, że dyrektor Matur jak zwykle kłamie, pragnąc przedstawić się w lepszym świetle niż na to zasługuje.

* Publikuję zapiski Anity Kraszewskiej bez skrótów, mimo że Anita pozwoliła mi dokonywać dowolnych zabiegów redakcyjnych. Wielkość historyka i zbieracza starych rękopisów zależy od jego bezstronności. Co było, to było. Nie będę przecież teraz martwił się myślami, które przyszły Anicie do pięknej główki ponad dwa lata temu!

* Ale nigdy nie biorą na pokład ludzi. Kontakty z przedstawicielami innych planet są wymysłem psychopatów, oszustów i prasy brukowej. Z dumą chciałbym zauważyć, że w mojej ojczyźnie wszyscy świetnie rozumieją, że na latające talerze nie należy zwracać uwagi, a nasza prasa milczy na ten temat. Mam nadzieję, że nasz kraj będzie istniał jeszcze setki lat i nawet w społeczeństwie zwycięskiego komunizmu nikt nie będzie zwracać na talerze uwagi.

* Pojawienie się nagich ludzi w dolinie Prui było bolesnym ciosem dla zwolenników ufologii, opowiadających o zielonych ludzikach czy trzynogich konikach polnych. Na szczęście, zatriumfowała teoria panspermii, mówiąca, że w całej Galaktyce żyje tylko jeden gatunek homo sapiens — człowieka rozumnego. Fakt, który nie podlega dyskusji dla każdego przedszkolaka w bezkresnej Galaktyce, dla nas okazał się odkryciem równie ważnym, co odkrycie prawa powszechnego ciężenia. Oczywiście, natchnął przede wszystkim przedstawicieli różnych religii, ale my, ateści, możemy teraz z pogardą odrzucić wszelkie domysły i przesady i odważnie oznajmić: wszyscy ludzie w kosmosie są braćmi! Nie tylko braćmi w rozumie, ale i w chromosomach!

* Pradziadkiem Anity był znany i bardzo płodny autor powieści historycznych — Ignacy Kraszewski.